

Daphne  
du Maurier

---

PTAKI

przełożył Marek Cegiela

Prószyński i S-ka

Warszawa 1997

# Spis treści

|                               |     |
|-------------------------------|-----|
| Ptaki.....                    | 5   |
| Monte Verita.....             | 37  |
| Jabłonka.....                 | 95  |
| Prowincjonalny fotograf.....  | 135 |
| Pocałuj mnie jeszcze raz..... | 173 |
| Stary.....                    | 195 |

# Ptaki

Trzeciego grudnia w nocy zmienił się wiatr i nastąpiła zima. Dotychczas panowała jesień, ciepła i łagodna. Żółtawoczerwone liście jeszcze trzymały się na drzewach, a żywopłoty w dalszym ciągu zachowywały zieloną barwę. Tam, gdzie pług odwrócił skibę, ukazywała się żywna gleba.

Nat Hocken, jako inwalida wojenny, żył z renty i tylko przez trzy dni w tygodniu pracował na farmie. Wykonywał lżejsze zajęcia: strzygł żywopłoty, łątał dachy, przeprowadzał drobne naprawy budynków gospodarskich.

Choć żonaty i miał dzieci, z usposobienia był odludkiem. Najbardziej lubił pracować sam. Przyjemność sprawiało mu budowanie wału albo reperowanie bramy na końcu półwyspu, gdzie z obu stron widział morze. W południe robił sobie przerwę, siadał na skraju urwiska i jedząc kulebiak, upieczony przez żonę, obserwował ptaki. Do tego jesień była najlepsza, nawet lepsza niż wiosna. Wiosną ptaki zdecydowanie odfrwały w głąb lądu wiedząc, dokąd i w jakim celu, wyznaczał to bowiem rytm ich życia, nie pozwalający na żadną zwłokę. Jesienią te, które na zimę nie odlatywały za morze, ogarniała ta sama gorączka, co ich migrujących pobratymców. Wielkimi stadami przybywały na półwysep i nerwowo, w nieustannym ruchu, to krążyły po niebie, to znów siadały na ziemi, by szukać pożywienia w świeżo odwróconej glebie, lecz zdawały się jeść bez przekonania, jakby nie z głodu. Coś kazało im ponownie wzbijać się w niebo.

Czarne kawki i białe mewy mieszały się ze sobą w dziwnym partnerstwie, sprawiając wrażenie, że dążą do jakiegoś wyzwolenia, nigdy nie zadowolone, ciągle niespokojne. Stada szpaków, z trzepotem przypo-

minającym szelest jedwabiu, sfruwały na ziemię, wiedzione tą samą potrzebą ruchu, a mniejsze ptaki, zięby i skowronki, pierzchały z drzewa na żywopłot, jakby pod przymusem.

Nat obserwował je wszystkie, nie wyłączając ptaków morskich, które w dole czekały na odpływ. Wydawały się cierpliwse. Ostrygojady, brodźce krwawodziobe, piaskowce i kuliki uważnie patrzyły na skraj wody. Kiedy morze się cofnęło, pozostawiając pas wodorostów i spienionego błota, natychmiast tam się znalazły. Jednakże później również ogarnęła ta sama nieprzeparta chęć do latania. Z krzykiem, piskiem i skrzeczeniem poderwały się z brzegu spokojnego morza i nabierając szybkości, pośpiesznie odfrunęły nad ląd, lecz nie wiadomo dokąd ani w jakim celu. Jesienny niepokój rzucał na nie jakiś urok, który sprawiał, że musiały się zbierać, krążyć i skrzykiwać w nieustannym ruchu przed nadejściem zimy.

Żując kulebiak na skraju urwiska, Nat pomyślał, że jesienią ptaki być może otrzymują jakąś wiadomość, coś w rodzaju ostrzeżenia: nadchodzi zima. Zimą wiele z nich ginie, więc zachowują się niczym ludzie, którzy czując nadchodzącą śmierć, rzucają się w wir pracy albo popadają w szaleństwo.

Tego roku ptaki okazywały większe podniecenie niż zwykle na jesieni, co jeszcze bardziej kontrastowało ze spokojnymi dniami. Kiedy traktor zaczynał swoją mozolną wędrówkę w górę i w dół po stokach wzgórz, maszynę i sylwetkę farmera, siedzącego na miejscu kierowcy, natychmiast przysłaśniała ogromna chmura krążących i skrzeczących ptaków. Nat miał pewność, że było ich znacznie więcej niż zwykle. Jesienią zawsze towarzyszyły orce, ale nie takimi chmarami ani z takim krzykiem. Skończywszy strzyc żywopłot, napomknął o tym farmerowi.

- Owszem, ptaków jest więcej niż zazwyczaj - odparł tamten. - Ja też to zauważyłem. I są śmielsze. Niektóre nie boją się traktora. Dziś po południu jedna czy dwie mewy latały tak blisko mojej głowy, aż się bałem, że zrzucą mi czapkę! Prawie nie widziałem, gdzie jadę, bo słońce miałem w oczy, a one nade mną fruwały. Czuję, że zmieni się pogoda. Pewnie będzie ciężka zima i dlatego ptaki są niespokojne.

Wracając do domu przez pola, a potem drogą, która prowadziła do jego chaty, Nat wciąż widział stada ptaków nad wzgórzami w blasku zachodzącego słońca. Panowała bezwietrzna pogoda, morze było szare i gładkie, powietrze łagodne, a w żywopłotach jeszcze kwitły firletki. Jednakże farmer miał rację, bo właśnie tej nocy pogoda się zmieniła. Nata, który spał w pokoju od wschodu, tuż po drugiej obudził

wiatr. Nie żaden sztorm ani wichura z południowego zachodu, niosąca deszcze, lecz wiatr od wschodu, zimny i suchy. Głucho wył w kominie i grzechotał obluzowaną dachówką. Nat wyteżył słuch i do jego uszu dotarł ryk morza w zatoce. Nawet w niewielkiej sypialni wyraźnie się oziębiło - ze szpary pod drzwiami wiało prosto na łóżko. Mężczyzna podciągnął kołdrę, przytulił się do pleców śpiącej żony, lecz już nie zasnął i czuwał z napiętymi zmysłami, tknięty złym przeczuciem.

Nagle coś zastukało w szybę. Ścian chaty nie porastały żadne pnącza, więc to nie mogła być gałązka. Nat przez chwilę nasłuchiwał. Stukanie nie ustawało. Wreszcie, zirytowany denerwującym dźwiękiem, wyskoczył z łóżka, podszedł do okna i je otworzył, a wtedy coś otarło mu się o rękę, uderzyło w kostki dłoni i zadrasnęło skórę. Wówczas dostrzegł trzepoczące skrzydła, które z furkotem zniknęły w mroku.

A więc to ptak, lecz Nat go nie rozpoznał. Pomyślał, że prawdopodobnie wiatr go zmusił do szukania schronienia na parapecie.

Zamknawszy okno, wrócił do łóżka i wtedy poczuł na dłoni wilgoć - zadraśnięcie krwawiło. Trochę się zląkł, ale doszedł do wniosku, że oszołomiony ptak, szukający schronienia, ze strachu dziobnął go w ciemności. Nat ponownie ułożył się do snu.

Jednakże znów odezwało się stukanie, tym razem głośniejsze, bardziej natarczywe, aż obudziło żonę, która się odwróciła i powiedziała:

- Sprawdź, co tam stuka w okno.

- Już sprawdziłem. Jakiś ptak próbuje się tu dostać. Nie słyszysz wiatru? Dmie ze wschodu i ptaki szukają przed nim schronienia.

- Odgońje. Przez ten hałas nie mogę spać.

Nat jeszcze raz podszedł do okna. Kiedy je otworzył, na parapecie zobaczył nie jednego, lecz kilka ptaków, które natychmiast zaatakowały jego twarz. Krzyknął i wywijając rękami w końcu je odpędził, a gdy podobnie jak pierwszy zniknęły w mroku, szybko zamknął okno.

- Słyszałaś takie rzeczy? Rzuciły się na mnie. Chciały wydziobać mi oczy.

Stał przy oknie, spoglądając w ciemność, ale niczego nie widział. Jego zaspana żona mruknęła lekceważąco.

- Wcale mi się nie wydaje - odparł ze złością. - Mówię ci, że ptaki siedziały na parapecie i chciały się dostać do środka.

Nagle w pokoju po drugiej stronie korytarza, gdzie spały dzieci, rozległ się przeraźliwy krzyk. Żona poderwała się i usiadła.

- To Jill - stwierdziła. - Idź do niej.

Nat zapalił świecę, kiedy jednak otworzył drzwi, przeciąg w korytarzu zdmuchnął płomień.

Znowu rozległ się krzyk strachu, tym razem obojga dzieci. Wpadając do ich pokoju, mężczyzna poczuł na ciele uderzenia skrzydeł. W ciemności dostrzegł otwarte okno, przez które wlatywały ptaki. Początkowo wpadały na sufit i ściany, a później rzucały się na dzieci, leżące w łóżkach.

- Spokojnie! Tu jestem! - zawołał.

Dzieci zerwały się z krzykiem, podbiegły do ojca i mocno do niego przywarły, a on pośpiesznie wypchnął je na korytarz i zatrzasnął drzwi. Został w sypialni sam na sam z ptakami.

Chwycił kołdrę z najbliższego łóżka i zaczął gwałtownie nią wywijać we wszystkie strony. Słyszał trzepot skrzydeł i uderzenia spadających ciał, ale ptaki wciąż go atakowały, dziobiąc w ręce i głowę. Czuł ukłucia małych dziobów, ostrych jak widelec. W końcu owinał sobie głowę kołdrą i w jeszcze większych ciemnościach tłukł ptaki gołymi rękami. Myślał o ucieczce na korytarz, ale nie chciał otwierać drzwi w obawie, że ptaki ruszą za nim.

Nie umiałyby powiedzieć, jak długo walczył z nimi w ciemnościach, w końcu jednak się wycofały. Mimo grubej kołdry miał wrażenie, że jest widno. Czekał nasłuchując. Nie docierały doń żadne dźwięki, oprócz płaczu któregoś z dzieci. Ustał trzepot i furkot skrzydeł.

Nat zdjął z głowy kołdrę i rozejrzał się dokoła. Pokój wypełniało szare światło zimnego poranka. Świt i otwarte okno wywabiły z izby żywe ptaki - martwe zostały, a ich widok zaszokował i przeraził mężczyznę. Był to ptasi drobiazg wszelkiej maści. Na podłodze leżało około pięćdziesięciu zabitych rudzików, zięb, wróbli, sikorek i skowronków, które zgodnie z prawami natury trzymają się własnego stada i własnego terytorium, lecz się połączyły we wspólnym boju i zginęły albo z ręki człowieka, albo od uderzenia w ściany sypialni. Niektóre w walce straciły pióra, inne miały na dziobach krew - jego krew.

Natowi zrobiło się niedobrze. Podszedł do okna i przez ogród spojrział na pola.

Było bardzo zimno i ziemia wyglądała na zmarzniętą. Nie pokrywał jej szron, który by lśnił w porannym słońcu - suchy wiatr ze wschodu nie przynosił ze sobą białego mrozu. Strome fale na morzu, dodatkowo wzburzonym przez przypływ, miały białe grzywy, gwałtownie załamując się w zatoce. Po ptakach zniknął wszelki ślad. Wróble nie ćwierkały w żywopłocie za bramą ogrodu i ani jeden drozd czy kos nie

szukał w trawie robaków. Znikąd nie dochodziły żadne dźwięki, oprócz szumu wiatru i morza.

Nat zamknął okno, potem drzwi pokoju dzieci i wrócił do swojej sypialni. Żona siedziała na łóżku, a obok niej spało dziecko. Młodsze, z obandażowaną głową, trzymała na ręku. Okno było szczelnie zasłonięte, jednak w żółtawym blasku płonącej świecy Nat wyraźnie widział twarz żony, która ruchem głowy nakazała mu zachowywać się cicho.

- Już śpi, ale dopiero teraz zasnął - szepnęła. - Coś musiało go skaleczyć, bo w kącikach oczu miał krew. Jill twierdzi, że to ptaki. Powiedziała, że kiedy się obudziła, one były w pokoju.

Uważnie spojrzała na męża, szukając w jego twarzy potwierdzenia. Nat spostrzegł przerażenie żony i nie chciał, by wiedziała, że on też się boi, że jest wstrząśnięty i oszołomiony wydarzeniami z ostatnich kilku godzin.

- Są tam ptaki, tylko że martwe. Prawie pięćdziesiąt. Rudziki, sikorki... takie małe ptaki z okolicy. Jakby powariowały od wschodniego wiatru. - Usiadł na łóżku obok żony i wziął ją za rękę. - Wszystko przez tę ciężką pogodę. Tak, to ta pogoda. Chyba one nie są stąd. Pewnie wiatr je przygnał z głębi kraju.

- Ależ, Nat, pogoda się zmieniła dopiero tej nocy. I nie padał śnieg, żeby je oslepił. Poza tym jeszcze nie mogły być głodne. Jest dla nich dość jedzenia tam, na polach.

- A ja ci mówię, że to przez tę pogodę.

Miał twarz ściągniętą i zmęczoną, jak jego żona. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Zejdę na dół i zrobię herbatę - odezwał się końcu.

Widok kuchni dodał mu otuchy - równo poustawiane filiżanki i spodeczki na kredensie, stół z krzesłami, kłębek wełny w koszyku do robótek i w kącie szafka z zabawkami dzieci.

Kląnął, rozgarnął pogrzebaczem żar i na nowo rozpałił ogień. Płonące drewno stwarzało wrażenie normalności, a woda parująca w czajniku i brązowy dzbanek do herbaty dawały poczucie bezpieczeństwa. Nat wypił swoją herbatę, a potem zaniósł filiżankę żonie. Później pozmywał naczynia i włożywszy buty, otworzył drzwi prowadzące do ogrodu.

Niebo pokrywały ciężkie, ołowiane chmury. Brązowe wzgórza, jeszcze wczoraj jaśniejące w słońcu, teraz wydawały się ciemne i nagie. Wschodni wiatr obnażył drzewa, zrywając z nich liście, z szelestem miotane we wszystkie strony przy każdym podmuchu. Nat dźgnął zie-

mię obcasem. Okazała się twarda. Zamarzła. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by zmiana pogody nastąpiła tak nagle. Zima nadeszła w ciągu jednej nocy.

Dzieci już się obudziły. Jill nerwowo coś mówiła, a mały Johnny znowu płakał. Nat usłyszał pocieszające słowa żony. Wszyscy troje schodzili teraz na śniadanie. Rozpoczynały się zwykłe, codzienne zajęcia.

- Odgoniłeś ptaki? - spytała Jill, której przywrócił spokój nowy dzień, ogień w kuchni i śniadanie, zawczasu przygotowane przez ojca.

- Tak, wszystkie już odleciały. Przywiał je tutaj wschodni wiatr. Przerazone straciły orientację i szukały schronienia.

- Ale one nas atakowały. Johnny'emu próbowały wydziobać oczy.

- Robiły to ze strachu. W ciemnym pokoju niczego nie widziały.

- Mam nadzieję, że nie wrócą - powiedziała Jill. - Jeśli na parapecie zostawimy im okruchy chleba, to może je zjedzą i odlecą.

Skończywszy śniadanie, poszła po kurtkę z kapturem i tornister. Nat milczał, lecz porozumiał się z żoną spojrzeniami.

- Odprowadzę ją do autobusu. Dziś mam wolny dzień - rzekł, a kiedy córka zmywała naczynia, powiedział do żony: - Pozamykaj wszystkie okna i drzwi. Pójdę na farmę i się dowiem, czy w nocy czegoś nie słyszeli.

Później wyszedł z córką na drogę. Dziewczynka jakby zapomniała o nocnych przeżyciach. Płasała przed nim, goniąc liście, aż zaróżowiły się jej policzki.

- Tatusiu, czy będzie padał śnieg? - spytała. - Jest dość zimno.

Spojrzał na smutne niebo.

- Nie, śnieg nie będzie padał. To czarna zima.

Cały czas szukał wzrokiem ptaków w żywopłotach, na polach, w niewielkim zagajniku koło farmy, w którym się zbierały gawrony i kawki. Nie widział ani jednego.

Na przystanku czekały dzieci, opatulone i w kapturach, jak Jill. Miały blade twarze z policzkami różowymi od mrozu.

Jill podbiegła do nich, machając ręką.

- Mój tata mówi, że nie będzie śniegu! - wykrzyknęła. - Ma być czarna zima.

O ptakach nie wspomniała. Zaczęła się przepychać i szarpać z jakąś dziewczynką. Pojawił się autobus, wolno jadący pod górę. Nat wsadził do niego córkę, odwrócił się i ruszył na farmę. Tego dnia nie musiał pracować, ale chciał sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Na podwórku krzątał się Jim, pastuch krów.



- Jest szef? - spytał Nat.
- Pojechał na targ. Przecież dziś wtorek, no nie?

Jim zniknął za rogiem szopy - nie miał czasu na rozmowy. Nata uważano za lepszego, bo czytał książki i inne rzeczy, a tu zapomniał, że to wtorek. Fakt ten wskazywał, jak bardzo nim wstrząsnęły wydarzenia ostatniej nocy. Podeszedł do kuchennych drzwi domu i usłyszał, że pani Trigg śpiewa.

- Proszę pani! - zawołał.

Drzwi otworzyła tęga kobieta z dobrodusznym uśmiechem.

- Dzień dobry, panie Hocken. Mógłby mi pan wyjaśnić, skąd się wziął ten ziab? Przypadkiem nie z Rosji? Nigdy nie widziałam aż takiej zmiany. W radiu mówili, że to się przeciągnie i podobno ma coś wspólnego z kręgiem polarnym.

- Dziś rano nie włączaliśmy radia - odparł Nat. - Prawdę powiedziawszy, w nocy mieliśmy pewne kłopoty.

- Dzieciaki się pochorowały?

- Nie...

Nat nie wiedział, jak to wytłumaczyć. Teraz, za dnia, nocna walka z ptakami wydawała się absurdalna. W końcu opowiedział pani Trigg, co się wydarzyło, ale po jej oczach widział, że uważa jego historię za koszmarny sen.

- Czy na pewno były to prawdziwe ptaki z piórami? - zapytała z uśmiechem. - Nie te cudaki, jakie mężczyźni widzą w soboty po zamknięciu pubu?

- Proszę pani, w dziecinnym pokoju na podłodze leży pięćdziesiąt martwych ptaków. Strzyżyków, sikorek i tak dalej. Atakowały mnie. Johnny'emu chciały wydziobać oczy.

Pani Trigg spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Cóż, w takim razie sędzę, że przygnała je ta pogoda. Kiedy znalazły się w sypialni dzieci, nie wiedziały, gdzie są. Może to jakieś obce ptaki zza kręgu polarnego?

- Nie, codziennie się je widuje w okolicy.

- Dziwne - odparła pani Trigg. - Naprawdę nie wiem, jak to wytłumaczyć. Niech pan napisze do „Guardiana”. Oni pewnie znajdą jakieś wyjaśnienie. No, na mnie już czas. Muszę brać się do roboty.

Skinęła głową, uśmiechnęła się i wróciła do kuchni.

Nat w złym humorze ruszył w stronę bramy. Gdyby nie martwe ptaki, które należało pozbierać z podłogi i gdzieś zakopać, sam uznałby tę historię za niewiarygodną.

Przy bramie stał Jim.

- Miałeś jakiegokolwiek kłopoty z ptakami? - spytał go Nat.

- Z ptakami? Z jakimi ptakami?

- Przyleciały do nas ostatniej nocy. Było ich całe mnóstwo. Wpadły do sypialni dzieci. Wściekle je atakowały

- O? - zdziwił się Jim, do którego wszystko docierało bardzo powoli. Wreszcie oznajmił: - Nigdy nie słyszałem, żeby ptaki tak się zachowywały. Czasem nawet się oswajają. Nieraz widziałem, jak przylatują do okien po okruchy.

- Te w nocy nie były oswojone.

- Nie? Może z powodu zimna. Albo z głodu. Sypnij im trochę okruchów.

Jim nie okazywał większego zainteresowania niż pani Trigg. „Zupełnie jak z nalotami w czasie wojny”, pomyślał Nat. „Tutaj nikt nie miał pojęcia, co widzieli i przeżywali mieszkańcy Plymouth. Trzeba to odczuć na własnej skórze”. Wróciwszy do domu, w kuchni zastał żonę z synem.

- Widziałeś się z kimś? - spytała.

- Z panią Trigg i Jimem. Chyba mi nie uwierzyli. W każdym razie tam nic złego się nie wydarzyło.

- Mógłbyś wynieść tamte ptaki. Chciałam pościelić łóżka, ale nie miałam odwagi wejść do sypialni, póki tego nie zrobisz. Boję się.

- Teraz nie ma się czego bać. Przecież są martwe, prawda?

Wszedł na górę z workiem, do którego powrzucił sztywne ciałka. Rzeczywiście było ich pięćdziesiąt - przeliczył je. Taki zwykły, pospolity ptasi drobiazg, żyjący w żywopłotach. Żaden nie okazał się większy nawet od drozda. Na pewno strach sprawił, że się tak zachowywały. Natowi nie chciało się wierzyć, że niewielkie ptaszki mogły z taką siłą kłuć go w twarz i ręce tymi malutkimi dziobkami. Wyniósł worek do ogrodu i stanął przed nowym problemem: ziemia, twarda jak kamień, utrudniała kopanie. Była zamrznięta, bo jeszcze nie spadł śnieg, ale w ciągu ostatnich godzin zaszła jedna zmiana - zerwał się wschodni wiatr - rzecz dziwna i nienaturalna. Specjaliści od pogody niewątpliwie mieli rację. Owa zmiana musiała się wiązać z kręgiem polarnym.

Natowi, który niepewnie stał, trzymając worek, wydawało się, że wiatr przeszywa go na wylot. Widział białe grzywy bałwanów, łamiących się w zatoce. Postanowił znieść martwe ptaki na brzeg i tam je zakopać.

Kiedy dotarł do plaży, wichura omal nie ścięła go z nóg. Oddychanie sprawiało mu ból, ręce miał zsiniałe. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zimą panował aż taki mróz. Był odpływ. Nat z trudem dobrnął po żwirze do miękkiego piasku, odwrócił się plecami do wiatru i obcasem wykopał dół. Chciał wrzucić do niego ptaki, ale gdy otworzył worek, porwał je wiatr i wydawało się, że znowu fruwały. Silne podmuchy rozrzuciły po plaży pięćdziesiąt martwych, zamarznętych ptaków niczym pióra. Widok ten miał w sobie coś nieprzyjemnego. Natowi się nie podobało, że wiatr wyrwał mu ptaki.

- Przypływ je zabierze - mruknął pod nosem.

Spojrzał na morze; obserwował bałwany przeczesujące zieloną toń. Fale wznosiły się i załamywały, lecz wskutek odpływu szum przyboju dochodził z większej odległości i nie ogłuszał.

I wtedy Nat je zobaczył. Mewy. Pływały po morzu.

To, co początkowo wziął za białe grzywy bałwanów, okazało się setkami, tysiącami, dziesiątkami tysięcy mew... Z głowami skierowanymi do wiatru wznosiły się i opadały na falach niby flota stojąca na kotwicy w oczekiwaniu przypływu. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widział mewy. Gdyby morze było spokojne, pokrywałyby zatokę niczym biała chmura - głowa przy głowie, ptak przy ptaku. Jedynie fale, wzniesione przez wschodni wiatr, ukrywały mewy przed wzrokiem obserwatora z brzegu.

Nat odwrócił się i ruszył stromą ścieżką do domu. Ktoś powinien się o tym dowiedzieć. Należałoby kogoś zawiadomić. Zmiana pogody sprawiła coś, czego nie rozumiał. Zastanawiał się, czy z budki telefonicznej koło przystanku autobusowego nie zadzwonić na policję. Jednakże co oni mogą zrobić? Co ktokolwiek może zrobić? Dziesiątki tysięcy mew pływa po zatoce, bo jest sztorm i są głodne. Policjanci uznają go za wariata czy pijanego, albo też bardzo spokojnie przyjmą jego informację: „Dziękujemy, ale tę sprawę już nam zgłaszano”. Rozejrzał się dokoła. Nie widział żadnych innych ptaków. Może mróz wygnał je w głąb lądu?

Kiedy zbliżał się do chaty, żona wyszła mu na spotkanie i stanęła w prog.

- Mówią o tym w radiu! - zawołała podniecona. - Właśnie podawali specjalne wiadomości! Wszystko zapisałam.

- A co mówili?

- O ptakach. Że to nie tylko tutaj, ale wszędzie. W Londynie. W całym kraju. Że coś się stało z tymi ptakami.

Razem weszli do kuchni. Nat przeczytał kartkę, która leżała na stole.

*Komunikat Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, opublikowany dziś o godzinie jedenastej. Od kilku godzin z całego kraju nadchodzą meldunki, że w miastach i wsiach pojawiły się ogromne stada ptaków, które zakłócają spokój publiczny, wyrządzają szkody, a nawet atakują ludzi. Zdaniem specjalistów, arktyczne powietrze, obecnie zalegające nad wyspami brytyjskimi, jest przyczyną masowych migracji ptaków na południe. Ptaki te, zmuszone głodem, mogą atakować ludzi. Właściciele domów powinni zabezpieczyć okna, drzwi i kominy oraz przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności w celu zapewnienia bezpieczeństwa dzieciom. Wkrótce zostanie ogłoszony następny komunikat.*

Nat z triumfem spojrział na żonę.

- No i proszę - rzekł. - Mam nadzieję, że na farmie będą go słuchali i pani Trigg się dowie, że mówiłem prawdę. To się dzieje w całym kraju. Od samego rana się zastanawiam, że coś jest nie tak, a przed chwilą z plaży spojrziałem na morze i zobaczyłem tysiące, a właściwie dziesiątki tysięcy czekających mew. Jest ich tak dużo, że między nie chybabyś nie wetknęła palca.

- Nat, a na co one czekają?

Popatrzył na żonę i znowu przeniósł wzrok na kartkę.

- Bo ja wiem? - odparł powoli. - Tu piszą, że są głodne.

Podszedł do szafki i otworzył szufladę, w której trzymał narzędzia.

- Co chcesz zrobić? - spytała żona.

- Zabezpieczyć okna i kominy, tak jak radzili.

- Sądzisz, że wróble, sikorki i inne ptaszki dostaną się do środka, choć okna są zamknięte? Jakim sposobem?

Nie odpowiedział. Myślał nie o sikorkach czy wróblach, lecz o mewach...

Wszedł na górę, gdzie do południa zabijał deskami okna w sypialniach i przewody kominowe. Dobrze się stało, że miał wolny dzień i nie musiał pracować na farmie. Zajęcie to przypomniało mu początek wojny. Wtedy jeszcze nie był żonaty i akurat przygotowywał dom matki w Plymouth do zaćmienia, a także budował schron. Niestety, wszystkie te zabiegi okazały się próżne. Nat się zastanawiał, czy na farmie podejmują jakieś środki ostrożności. Bardzo wątpił. Harry Trigg i jego żona niczym się nie przejmują. Może się z tego wszystkiego śmieją i poszli na tańce albo na partyjkę wista.

- Obiad! - zawołała z kuchni żona.

- Dobrze, dobrze! Już schodzę!

Był zadowolony ze swojego dzieła. Deski dokładnie pasowały do ram okiennych i wlotów przewodów kominowych.

Po obiedzie, kiedy żona zmywała, włączył radio, by posłuchać dziennika o pierwszej. Powtórzono komunikat, który żona spisała rano, uzupełniony nowymi wiadomościami.

„Stada ptaków wszędzie zakłócają spokój. O dziesiątej rano w Londynie pojawiło się ich tak wiele, że przypominały ogromną czarną chmurę, wiszącą nad miastem. Ptaki obsiadły dachy, parapety i kominy. Są wśród nich kosy, drozdy, zwykłe wróble, a także, czego należałoby oczekiwać w dużym mieście, liczne gołębie i szpaki oraz mewy śmieszki, częste bywalczyńie Tamizy. Widok był tak niezwykły, że na wielu trasach doszło do zatrzymania ruchu kołowego. Pracownicy sklepów i biur wylegli na ulice, gdzie na jezdniach i chodnikach stały tłumy ludzi obserwujących ptaki”.

Szczegółowo relacjonowano rozmaite wypadki, ponownie wymieniono zimno i głód jako prawdopodobną przyczynę i powtórzono ostrzeżenie dla właścicieli domów. Spiker czytał to wszystko głosem równym i spokojnym. Nat odniósł wrażenie, że ten człowiek traktuje całą sprawę jako zmyślny żart. Pewnie znajdzie się wielu jemu podobnych, którzy nie mają pojęcia, co to znaczy walczyć ze stadem ptaków w ciemnościach. Rozbawieni, będą się zbierać wieczorem na ulicach Londynu, jak w dniu wyborów, pokrzykując, śmiejąc się głośno, pijąc i wołając: „Chodźcie popatrzeć na ptaki!”

Nat wyłączył radio i wziął się do zabezpieczania okien w kuchni. Żona, której mały Johnny nie odstępował ani na krok, spytała:

- Na dole też zabijasz okna? Po co? Tylko będę musiała wcześniej zapalać lampę. Tutaj nie ma potrzeby tego robić.

- Lepiej zrobić, niż później żałować - odparł. - Nie chcę żadnego ryzyka.

- Powinni wezwać wojsko, żeby strzałami odstraszyło te ptaszyska.

- Niech spróbują, ale ciekawe, czy im się uda.

- Z dokerami się udaje. Kiedy oni strajkują, statki rozładowują żołnierze.

- Zgoda, tylko że w Londynie mieszka osiem milionów ludzi albo nawet więcej. Pomyśl, ile tam jest budynków, mieszkań i domów. Uważasz, że mają dość żołnierzy, by strzałami zdołali przegonić ptaki ze wszystkich dachów?

- Nie wiem, ale powinni coś zrobić. Naprawdę powinni coś zrobić.

Nat w duchu powiedział do siebie, że w tej chwili „oni” bez wątpienia zastanawiają się nad tą sprawą, lecz to, co zrobią w Londynie i dużych miastach, nie pomoże ludziom mieszkającym kilkaset kilometrów od stolicy. Tutaj każdy właściciel domu sam musi dbać o swoje interesy.

- Jak wyglądamy z jedzeniem? - spytał.

- No i co jeszcze wymyślisz?

- Dobra, dobra. Powiedz, co masz w spizarni.

- Wiesz, że jutro jest dzień zakupów. Nie robię wielkich zapasów i wszystko się kończy. Mięso przywiozą dopiero pojutrze, ale jutro mogę coś kupić, kiedy będę w mieście.

Nat nie chciał straszyć żony, więc nie odpowiedział. Pomyślał jednak, że kto wie, czy jutro uda jej się pojechać do miasta. Zajrzał do kredensu, w którym trzymała puszki, a także do spizarni. Brakowało chleba.

- A piekarz?

- On też przyjedzie jutro.

Zobaczył, że jest mąka. Wystarczy żonie na jeden bochenek, jeśli piekarz się nie zjawi.

- Kiedyś lepiej nam się powodziło - mruknął. - Dwa razy w tygodniu kobiety piekły chleb i mieliśmy solone sardele. W razie czego cała rodzina mogłaby przetrwać oblężenie.

- Próbowałam dawać dzieciom ryby z puszki, ale im nie smakowały.

Nat dalej zabijał okna deskami. Świece! Również ich brakowało. To kolejna rzecz, którą jutro żona powinna kupić. Cóż, nie ma rady, dziś trzeba wcześniej położyć się spać. To znaczy, jeśli...

Podniósł się, wyszedł kuchennymi drzwiami, stanął w ogrodzie i patrzył w stronę morza. Od rana nie zaświeciło słońce, a teraz, o trzeciej, już robiło się ciemno. Niebo pokrywały ciężkie, ponure chmury, barwy szarej soli. Nat słyszał, jak wściekle morze bije w skały. Zszedł do połowy ścieżki prowadzącej na brzeg. Przystanął. Widział, że zaczął się przypływ. Skałę, która przed południem sterczała z wody, obecnie całkowicie zalało morze, ale nie ono przykuło uwagę mężczyzny, tylko mewy. Już nie pływały na falach, lecz tysiącami szybowały w powietrzu, szeroko rozpościerając skrzydła na wietrze. To właśnie ptaki sprawiły, że niebo pociemniało. W ogóle nie krzyczały. Po prostu krążyły, wzbijając się i opadając w zmaganiach z silnym wiatrem.

Nat odwrócił się i pobiegł do chaty.

- Idę po Jill - oznajmił. - Zaczekam na nią na przystanku.
- Co się stało? - spytała żona. - Jesteś błąd jak kreda.
- Niech Johnny siedzi w domu. Nie zostawiaj otwartych drzwi. Zapal lampę i zaciągnij firanki.
- Przecież dopiero minęła trzecia.
- Nie szkodzi. Rób, co powiedziałem.

Zajrzał do szopy z narzędziami, stojącej w ogrodzie, nieopodal kuchennych drzwi. Nie znalazł niczego, co by się nadawało. Łopata za ciężka, a z wideł żaden pożytek. Wziął motykę - jedyne poręczne narzędzie, a przy tym dość lekkie, żeby je nieść.

Ruszył polną drogą do przystanku autobusowego, co chwila oglądając się przez ramię.

Teraz mewy wzbily się wyżej i zataczały szersze kręgi, wielkimi stadami szybując po niebie.

Nat przyśpieszył kroku, choć wiedział, że przed czwartą autobus nie pojawi się na szczycie wzgórza. Po drodze nikogo nie spotkał, z czego był zadowolony, bo nie miał czasu na pogawędki.

Do przystanku dotarł o wiele za wcześnie. Musiał czekać jeszcze pół godziny. Wschodni wiatr hulał po polach. Mężczyzna przytupywał i chuchał w dłonie, by je rozgrzać. W oddali widział białe kredowe wzgórza, wyraźnie rysujące się na tle szarego nieba. Nagle za nimi pojawiło się coś ciemnego, początkowo jakby smuga czarnego dymu, która później spęcniała, tworząc chmurę, a ta zaczęła się rozprzestrzeniać we wszystkie strony świata, lecz to wcale nie była chmura, tylko ptaki. Obserwował je, kiedy sunęły nad nim w odległości kilkudziesięciu metrów. Szybkość i kierunek lotu wskazywały, że ptaki zmirzają w głąb lądu. Nie obchodzą ich mieszkańcy półwyspu. Nat dostrzegł wśród nich gawrony, kawki, sroki, wrony i sójki, zwykle polujące na mniejsze gatunki, ale tego popołudnia dokądś leciały z jakimś innym zadaniem.

„Ich celem są miasta”, pomyślał. „Wiedzą, co mają zrobić. My, mieszkańcy półwyspu, niewiele ich obchodzimy. Nas obsłużą mewy. Reszta frunie do miast”.

Wszedł do budki telefonicznej i podniósł słuchawkę. Wystarczy zadzwonić do centrali. Telefonistka przekaze wiadomość dalej.

- Mówię z automatu koło przystanku autobusowego. Chciałem zameldować, że duże stada ptaków kierują się w głąb lądu. Mewy zbierają się w zatoce.

- Przyjęłam - lakonicznie odpowiedział zmęczony głos.
- Tylko niech pani na pewno to przekaże, komu trzeba.
- Tak, tak, oczywiście - odparła zniecierpliwionym tonem i od razu się wyłączyła.

„Następna, która ma to w nosie”, stwierdził w duchu Nat. „Chyba cały dzień musiała odbierać telefony, a teraz się śpieszy na randkę, bo pewnie chce iść do kina. Ścisnie rękę swojego faceta i wskazując niebo, zawoła: Popatrz, ile ptaków!, a teraz nic jej to nie obchodzi”.

Autobus powoli wjechał na wzgórze. Jill wysiadła z czworgiem innych dzieci.

- Tatusiu, po co ci ta motyka?

Dzieci go otoczyły, śmiejąc się i wytykając palcami.

- Wzięłam ją ot tak - odparł. - No, chodźcie już. Wracamy do domu. Jest zimno, więc tu nie stójmy. Słuchajcie, mam propozycję. Zobaczymy, kto z was pierwszy przebiegnie przez pola.

Koledzy Jill pochodzili z różnych rodzin, mieszkających w domach komunalnych. Droga polami byłaby krótsza.

- Jeszcze chcemy się pobawić na drodze - bąknęło któreś dziecko.

- Nie ma mowy. Idźcie prosto do domu, bo jak nie, to powiem waszym mamom.

Zdziwione dzieci chwilę poszeptały między sobą i w końcu ruszyły biegiem przez pola. Jill wydeła usta i spojrzała na ojca.

- Zawsze bawimy się na drodze - oznajmiła.
- Nie dziś. No, chodź. Dość guzdrania.

Widział mewy, coraz niżej krążące nad polami. W dalszym ciągu nie wydawały żadnego dźwięku.

- Popatrz, tatusiu, jak dużo mew. O, tam!
- Widzę. Pośpiesz się!
- Dokąd one lecą i po co?
- Przypuszczam, że w głąb łąd. Tam jest cieplej.

Chwyciwszy córkę za rękę, pociągnął ją za sobą.

- Nie tak szybko! Nie nadażam!

Mewy, zupełnie jak gawrony i kawki, podzieliły się na grupy. Ogromnymi stadami leciały we wszystkie strony świata.

- Tatusiu, co to? Co te mewy robią?

Nie zmierzały tak zdecydowanie w jednym kierunku jak wrony czy sroki. Lecąc niżej od tamtych, zataczały na niebie kręgi. Wydawały się czekać na sygnał, jakby jeszcze nie miały wyraźnego rozkazu.

- Jill, nie chcesz, żebym cię ponosił? No, wskakuj na barana!



Sądził, że w ten sposób zdoła iść szybciej, ale się mylił. Dziewczynka była ciężka i stale się zsuwała. Prócz tego zaczęła płakać. Udzielił się jej niepokój ojca.

- Chciałabym, żeby te mewy odfrunęły. Nie lubię ich. Latają coraz bliżej drogi.

Nat postawił Jill na ziemi i ruszył biegiem, ciągnąc córkę za rękę. Kiedy skręcali przy farmie, zobaczył właściciela, tyłem wyjeżdżającego samochodem z garażu.

- Czy mógłby pan nas podwieźć?! - zawołał.

- A o co chodzi? - spytał pan Trigg, odwrócił się i spojrzał na nich. Na jego rumianej twarzy pojawił się uśmiech. - Wyglądacie, jakbyście bawili się w berka. Widzieliście mewy? Jedziemy z Jimem trochę sobie do nich popukać. Wszyscy zwariowali na punkcie ptaków i o niczym innym nie rozmawiają. Słyszałem, że w nocy mieliście jakieś kłopoty. Chce pan strzelbę?

Nat przecząco pokręcił głową.

W niewielkim samochodzie brakowało wolnego miejsca. Zmieściłaby się tam jedynie Jill, a i to tylko na kanistrach, zajmujących tylne siedzenie.

- Nie chcę strzelby, ale byłbym zobowiązany, gdyby pan odwiózł moją córkę do domu. Boi się tych ptaków - wyjaśnił Nat krótko, nie chcąc przy niej rozmawiać na ten temat.

- Dobra - zgodził się właściciel farmy. - Może pan na nas zaczeka i razem sobie postrzelamy? Ale będą fruwały pióra!

Jill wsiadła do samochodu, kierowca zawrócił i pojechał drogą. Nat ruszył ich śladem. „Ten Trigg chyba oszalał”, pomyślał. „Co da strzelba, skoro niebo jest pełne ptaków?”

Kiedy już nie musiał martwić się o Jill, mógł się rozejrzeć. Ptaki w dalszym ciągu krążyły nad polami - przeważnie mewy siodłate, lecz zauważył wśród nich także śmieszki. Zwykle trzymają się osobno, teraz jednak coś kazało im się zjednoczyć. Nat słyszał, że mewy siodłate atakują mniejsze ptaki, a nawet nowo narodzone jagnięta, i choć nigdy tego nie widział na własne oczy, przypomniał sobie o tym, patrząc w niebo. Ptaki, prowadzone przez mewy siodłate, kierowały się w stronę farmy. Wciąż krążąc, obniżyły lot. Najwyraźniej ich celem była farma.

Nat przyspieszył kroku. Zobaczył wracający samochód, który po chwili zatrzymał się koło niego.

- Córka jest już w domu, pod opieką żony - powiedział właściciel

farmy, a później spytał: - No i co pan o tym sądzi? W mieście mówią, że to wszystko przez Rosjan. Podobno dali ptakom truciznę.

- W jaki sposób?

- Nie mam pojęcia, ale wie pan, jak to z plotkami. No co, jedzie pan z nami postrzelać?

- Nie. Idę do domu. Żona by się martwiła.

- Moja twierdzi, że to nasze polowanie miałoby sens, gdyby mewa nadawały się do jedzenia. Wówczas za darmo byśmy mieli mewy pieczone, duszone i peklowane. Niech pan zaczeka, aż parę razy do nich puknę. Uciekną gdzie pieprz rośnie.

- Zabezpieczył pan okna? - spytał Nat.

- Nie. Przecież to jedna wielka bzdura. W radiu lubią straszyć ludzi. Miałem dziś coś lepszego do roboty, niż zabijać deskami okna.

- Na pańskim miejscu ja bym się natychmiast do tego zabrał.

- Po cholere? Widzę, że ma pan pietra. Może przenocujecie u nas?

- Nie, dziękuję.

- Dobra. No, to do jutra. Poczęstuję pana mewą na śniadanie.

Trigg się zaśmiał, odsłaniając zęby, i odjechał.

Nat pośpiesznie ruszył dalej. Minał zagajnik, starą stodołę i od domu dzieliło go tylko jedno pole.

Kiedy przechodził przez ogrodzenie, usłyszał furkot skrzydeł. Zobaczył nurkującą mewę siodłątą, która go zaatakowała, ale nie trafiła, bo zrobił unik. Wzbiła się w powietrze i po zwrocie przypuściła następny atak. W jednej chwili dołączyły do niej inne, siodłate i śmieszki, najpierw kilka, a potem coraz liczniej. Cisnął nieprzydatną motykę i zerwał się do biegu, osłaniając głowę rękami. Wciąż nurkowały na niego z powietrza, nie wydając żadnego dźwięku. Nat słyszał tylko potworny trzepot skrzydeł. Na dłoniach, ramionach i karku czuł spływającą krew. Ciosy dziobów rozrywały mu ciało. Najważniejsze to chronić oczy. Nic innego się nie liczyło. Za wszelką cenę trzeba osłaniać oczy. Mewy jeszcze się nie nauczyły siadać na ramionach, zdeierać ubranie ani zespołowo atakować głowę. Z każdą chwilą stawały się jednak coraz śmielsze, lecz w ogóle nie myślały o sobie - w czasie chaotycznych ataków zderzały się w powietrzu i z połamanymi skrzydłami spadały na ziemię. Biegając Nat deptał i kopał bezwładne ptaki.

Wreszcie trafił do drzwi i zaczął w nie walić krwawiącymi rękami. Okna, zabite deskami, nie przepuszczały światła, a na dworze było ciemno.

- Otwieraj! To ja, Nat! Otwieraj!

Wołał bardzo głośno, żeby przekrzyczeć furkot skrzydeł.

I wtedy nad głową zobaczył głuptaka, który zawisł w powietrzu przed nurkowaniem. Mewy się wycofały i teraz krążyły nad polem, przecinając sobie drogę w locie i walcząc z wiatrem. Pozostał jedynie głuptak. Nagle złożył skrzydła i zaczął spadać jak kamień. Nat krzyknął. W tym samym momencie żona mu otworzyła. Wpadł do środka, potykając się o próg. Kobieta całym ciałem zatrzasnęła drzwi.

Usłyszeli głuchy odgłos, kiedy ptak uderzył w ziemię.

Żona opatrzyła Natowi rany. Nie były zbyt głębokie. Najbardziej ucierpiały dłonie. Mewy nie pokaleczyły mu głowy, bo miał kapelusz, w przeciwieństwie do głuptaka, który pewnie rozbił sobie czaszkę.

Oczywiście, dzieci płakały. Przeraził je widok krwi na rękach ojca.

- Już dobrze - pocieszał je. - Nic mi nie jest. To tylko zadrapania. Jill, pobaw się z Johnnym. Mamusia obmyje mi skaleczenia.

Przymknął drzwi łazienki, żeby dzieci niczego nie mogły zobaczyć. Żona, z poszarzałą twarzą, odkreśliła kran.

- Widziałam, jak te ptaki latały - szepnęła. - Zaczęły się zbierać, kiedy pan Trigg przywiózł Jill. Błyskawicznie zatrzasnęłam drzwi, aż się zakleszczyły i dlatego początkowo nie mogłam ich otworzyć, kiedy ty przyszedłeś.

- Dzięki Bogu nie zdążyły zaatakować Jill. Ona od razu by się przewróciła. Wystarczyłby jeden ptak.

Kiedy żona bandażowała Natowi ręce i szyję, porozumiewali się szeptem, nie chcąc trwożyć dzieci.

- Lecą w głąb łądy tysiącami. Wrony, gawrony, wszystkie większe ptaki. Widziałem je z przystanku. Lecą do miast.

- Ale po co?

- Żeby atakować ludzi na ulicach i w domach. Do mieszkań będą próbowały się dostać przez okna i kominy.

- Dlaczego władze nic nie robią? Można by użyć wojska, karabinów maszynowych, czegokolwiek.

- Brak czasu. Nikt nie jest przygotowany. Zobaczymy, co powiedzą w wiadomościach o szóstej.

Oboje wrócili do kuchni. Johnny spokojnie bawił się na podłodze, ale Jill była wyraźnie zdenerwowana.

- Słyszysz ptaki - powiedziała. - Posłuchaj, tatusiu.

Nadstawił uszu. Zza okien i drzwi dobiegały stłumione szmery, trzepot skrzydeł, drapanie, jakby ktoś szukał wejścia. Takie odgłosy

towarzyszą stłoczonym ptakom, przepychającym się na parapetach. Co pewien czas rozlegał się głuchy trzask, gdy któryś nurkując uderzał w deskę i spadał na ziemię. „W ten sposób kilka zginie, ale jest ich zbyt dużo”, pomyślał Nat.

- Wszystko w porządku - odezwał się w końcu. - Zabiłem okna deskami, Jill. Ptaki nie mogą się tu dostać.

Choć pracę wykonał dokładnie, podszedł do okien i zaczął je sprawdzać. Nie zauważył żadnych szczelin, ale dla pewności wyjął ze skrzynki z rupieciami jakieś niepotrzebne kliny, kawałki starej blachy, paski metalu i listwy, po czym wzmocnił nimi deski. Nie chciał, by żona i dzieci słyszały szuranie pazurami, uderzenia dziobów i najbardziej złowróźbny z odgłosów - brzęk tłuczonej szyby - więc zagłuszał to wszystko, z całej siły waląc młotkiem.

- Włącz radio - rzekł licząc, że i ono pomoże zagłuszyć te dźwięki.

Wszedł na górę wzmocnić okna w sypialniach. Nieustanne szmery, dochodzące z dachu, świadczyły, że tam również jest pełno ptaków.

Postanowił, że będą nocowali na materacach w kuchni i bez przerwy palili ogień. Obawiał się, że nie wytrzymają deski, którymi zablokował przewody kominowe w pokojach na piętrze. W kuchni ogień zapewni bezpieczeństwo. Nat uznał, że najlepiej zrobi, proponując dzieciom zabawę w rozbijanie obozu. W najgorszym razie, gdyby ptaki dostały się do sypialni kominami, zdołają sforsować drzwi dopiero po kilku godzinach, a może nawet dniach. Uwięzione w pokojach, nie wyrządzą tam żadnej szkody. W ogromnym ścisku poduszają się i padną.

Nat zaczął znosić materace. Na ich widok żona ze strachu wytrzeszczyła oczy. Myślała, że ptaki już się włamały do pokojów.

- Wszystko w porządku - powiedział wesoło. - Dziś wszyscy śpiemy razem w kuchni. Dzięki ogniewi jest tu przytulniej. No i te głupie ptaszyska nie będą nam przeszkadzały stukaniem w okna.

Poprosił dzieci, by mu pomogły przestawić meble, a potem, na wszelki wypadek, wspólnie z żoną przesunął kredens pod okno, jako dodatkowe zabezpieczenie. Teraz mogli rozłożyć materace, jeden obok drugiego, na miejscu kredensu.

„No, już jesteśmy dość bezpieczni, choć trochę tu ciasno, jak w schronie przeciwlotniczym, ale wytrzymamy”, pomyślał Nat. „Martwi mnie tylko niedostatek jedzenia. Jedzenia i węgla na opał. Starczy nam na dwa, trzy dni. Do tego czasu...”

Uznał, że nie ma sensu tak daleko wybiegać w przyszłość. W radiu będą udzielali wskazówek. Powiedzą ludziom, co należy robić. Zasta-

nawiając się nad licznymi kłopotami, uświadomił sobie, że z głośnika płynie wyłącznie muzyka taneczna, a właśnie o tej porze powinni nadawać audycję dla dzieci. Spojrzał na skalę. Radio było nastawione na właściwą falę. Wiedział, dlaczego puszczają muzykę z płyt. Odstąpili od normalnego programu. Takie coś zdarza się tylko w wyjątkowych wypadkach, na przykład w okresie wyborów. Próbował sobie przypomnieć, jak to wyglądało w czasie wojny, gdy bombardowano Londyn. Oczywiście, że wtedy BBC nie nadawało z Londynu, bo stację tymczasowo dokądś przeniesiono. „Tutaj, w kuchni, gdzie okna i drzwi są pozabijane deskami, mamy się lepiej niż tamci w miastach”, skonstatował w duchu. „Dzięki Bogu, że nie jesteśmy w mieście”.

O szóstej muzyka się skończyła. Podano sygnał czasu. Mimo obaw, że wiadomości nastraszą dzieci, Nat musiał wysłuchać dziennika. Po sygnale zapadła cisza. Spiker odezwał się dopiero po chwili bardzo poważnym tonem, zupełnie innym niż w południe.

„Tu mówi Londyn. Dziś o szesnastej w całym kraju ogłoszono stan wyjątkowy. Podejmuje się wszelkie kroki dla zabezpieczenia ludności i jej dobytku, ale trzeba zrozumieć, że nie jest to łatwe, i nie należy oczekiwać natychmiastowych rezultatów ze względu na charakter obecnego kryzysu i trudności związane z przewidywaniem dalszego rozwoju wypadków. Właściciele domów powinni zabezpieczyć swoje budynki, a lokatorzy muszą podjąć odpowiednie środki ostrożności, aby uniemożliwić dostęp do mieszkań. Jest bezwzględnie konieczne, by wszyscy nocą pozostawali w domu i nikt nie przebywał na terenach otwartych, ulicach czy drogach. Ptaki ogromnymi stadami atakują każdego, kogo zobaczą, i próbują się dostać do budynków, które z tego powodu koniecznie trzeba odpowiednio chronić. Prosimy zachować spokój i nie ulegać panice. Z uwagi na wyjątkową naturę kryzysu stacje radiowe przerywają nadawanie wszelkich programów do godziny siódmej rano”.

Odegrali hymn narodowy i to wszystko. Nat wyłączył aparat. Wymownie popatrzył na żonę, a ona odpowiedziała mu takim samym spojrzeniem.

- Dziś już nie będzie żadnego programu - rzekł. - W BBC jest awaria.

- Przez ptaki? Czy to zrobiły ptaki? - dopytywała się Jill.

- Nie - odparł. - Po prostu wszyscy są bardzo zajęci, no i, naturalnie, muszą się pozbyć ptaków, które w miastach robią bałagan. Cóż, jeden wieczór jakoś przeżyjemy bez radia.

- Szkoda, że nie mamy adapteru - stwierdziła Jill. - Przynajmniej moglibyśmy puszczać sobie płyty.

Cały czas spoglądała na kredens, zasłaniający okno. Choć wszyscy próbowali nie zwracać uwagi na dźwięki dochodzące z zewnątrz, stale słyszeli szuranie, uderzenia dziobów, uporczywy trzepot skrzydeł.

- Zjedźmy wcześniejszą kolację - zaproponował Nat. - Zrobimy ucztę. Poproście mamusię. Kanapki z serem, hę? Coś, co wszyscy lubimy.

Wesoło mrugnął do żony. Pragnął, by strach przed tym, co ich czeka, zniknął z twarzy córki.

Kiedy pomagał żonie przygotować kolację, gwizdał, śpiewał i w ogóle zachowywał się hałaśliwie. Odniosł wrażenie, jakby szmery i uderzenia dziobów straciły na intensywności. Poszedł do sypialni na piętrze i zaczął nasłuchiwać. Z dachu już nie dochodziły odgłosy przepychania się ptaków.

„Przecież mają swój rozum i widzą, że tutaj trudno się dostać”, pomyślał. „Spróbują gdzie indziej. Nie będą na nas marnowały czasu”.

Kolacja minęła spokojnie, lecz później, gdy sprząтали ze stołu, do ich uszu dotarł nowy dźwięk, który wszyscy znali i rozumieli - jednostajny warkot silników.

Żona spojrzała w górę z nadzieją.

- To samoloty - rzekła. - Wystąpiły, żeby przegoniły ptaki. A nie mówiłam, że właśnie tak powinni zrobić? Teraz dobiórą im się do skóry. Czy to nie wystrzały armatnie? Nie słyszycie armat?

Nat nie miał co do tego pewności. Duże działa okrętowe mogłyby okazać się skuteczne, ale na morzu, lecz teraz mewy były nad lądem. Brzegu nie wolno ostrzeliwać ze względu na ludność.

- Prawda, jak miło słyszeć samoloty? - odezwała się żona.

Jill, której udzielił się entuzjazm matki, zaczęła podskakiwać z bratem wołając:

- Samoloty załatwią ptaki! Samoloty je wystrzelają!

W tym momencie, z odległości jakichś trzech kilometrów, dobiegł ich huk uderzenia w ziemię, a potem jeszcze dwa.

- Co to? - spytała żona. - Czyżby obrzucali ptaki bombami?

- Nie wiem - odparł Nat. - Nie sądzę.

Wolał jej nie mówić, że z takim hukiem rozbija się samolot. Nie miał wątpliwości, jak bardzo władze ryzykowały, wysyłając jednostki rozpoznawcze, lecz powinny przewidzieć, że to równa się samobój-

stwu. Co samolot może zrobić ptakom, które wprawdzie giną w zderzeniu ze Śmigłem i kadłubem, ale powodują, że maszyna spada na ziemię? Nat przypuszczał, że do podobnych wypadków dochodzi w całym kraju. Ktoś na górze musiał zupełnie stracić głowę.

- Tatusiu, dokąd odleciały samoloty? - spytała Jill.

- Wróciły do bazy. No, pora spać.

Podczas gdy żona zajmowała się rozkładaniem pościeli i przebieraniem dzieci, Nat obchodził wszystkie pomieszczenia, by sprawdzić, czy nic się nie oblużowało. Już nie słyszał warkotu silników ani wystrzałów dział okrętowych.

- Tylko szkoda ludzkiego życia i wysiłku - mruknął do siebie. - W ten sposób ich nie pokonamy. Zbyt duże koszty. Ale przecież zawsze pozostaje gaz. Może spróbują użyć gazu, na przykład iperytu. Oczywiście, uprzedzą nas, zanim to zrobią. Tak czy owak najęźsze umysły kraju będą się nad tym głowiły przez całą noc.

Ta myśl go trochę pocieszyła. W wyobraźni widział naukowców, przyrodników, inżynierów i rozmaitych konsultantów, naradzających się nad tą sprawą. To nie zajęcie dla rządu ani sztabu generalnego - one tylko wykonują rozkazy uczonych.

„Trzeba postępować bezwzględnie”, pomyślał. „Tam, gdzie sytuacja jest najgorsza, muszą zaryzykować i użyć gazu, choć zginą ludzie, a także zwierzęta gospodarskie. Gleba też zostanie skażona. Oby tylko nie wybuchła panika, bo dopiero byłby kłopot. Ludzie wtedy tracą głowę. BBC ma rację mówiąc nam, byśmy nie ulegali panice”.

W sypialniach na górze panowała cisza - żadnego drapania czy dziobania w okna. Chwilowa przerwa w bitwie, przegrupowywanie sił. Czyż nie tak to nazywali w komunikatach wojennych? Wiatr jednak nie osłabł. Nat wciąż słyszał jego wycie w kominach i szum przyboju. Wtedy przypomniał sobie, że zaczął się odpływ. Chyba właśnie z powodu odpływu nastąpiła przerwa w bitwie. Coś kierowało postępowaniem ptaków, a w tym wypadku był to wschodni wiatr i pływy.

Nat spojrzął na zegarek. Prawie ósma, a więc wysoka woda skończyła się przed godziną. To wyjaśniało ową przerwę: ptaki atakowały tylko podczas przypływu. Możliwe, że w głębi łądu wiatr i pływy nie oddziaływały, ale wydawało się, że na wybrzeżu tak. Obliczył, ile czasu potrwa spokój. Mieli przed sobą sześć godzin bez ataków. Około pierwszej dwadzieścia w nocy zacznie się przypływ i wówczas ptaki wrócą...

Mógł zrobić jedną z dwóch rzeczy. Albo odpocząć i z całą rodziną złapać jak najwięcej snu, nim znowu wszystko się zacznie, albo wyjść,

zobaczyć, jak sobie radzą ci z farmy, i sprawdzić, czy działa telefon, żeby czegoś dowiedzieć się w centrali.

Cicho zawołał żonę, która właśnie położyła dzieci. Kiedy weszła do połowy schodów, szeptem przedstawił jej swoje zamiary.

- Nigdzie nie pójdziesz! Nie zostawisz mnie samej z dziećmi! Ja bym tego nie wytrzymała! - odparła natychmiast, histerycznie podnosząc głos.

- No dobrze, już dobrze - powiedział, chcąc ją uciszyć i uspokoić.  
- Zaczekam do rana. O siódmej włączymy radio i posłuchamy wiadomości, ale gdy zacznie się następny odpływ, spróbuję wybrać się na farmę. Może dadzą nam trochę chleba i ziemniaków, a także mleka.

Znów zaczął gorączkowo myśleć, przygotowując się na najgorsze. Oczywiście wieczorem nie wydojono krów i teraz czekają na podwórku, a gospodarze siedzą w domu, tak jak on i jego rodzina, jeżeli zdążyli pozabijać okna i drzwi deskami. Przypomniał sobie, jak Trigg śmiał się do niego z samochodu. Teraz nie udałoby mu się postrzelać. Na pewno nie nocą.

Dzieci spały. Żona, jeszcze nie rozebrana, obserwowała go, siedząc na materacu. Nagle zmrużyła oczy i spytała:

- Co ty chcesz zrobić?

Nie odpowiedział. Cichutko, skradając się, podszedł do drzwi od ogrodu, otworzył je i wyrzął.

Było ciemno choć oko wykol. Lodowaty, porywisty wiatr dał od morza. Na progu leżała sterta ptaków. Nogą zrzucił je na ziemię. Gdziekolwiek spojrzął, wszędzie leżały martwe ptaki - pod oknami, przy ścianie. Zginęły w samobójczych atakach na dom. Nie widział ani jednego żywego. Kiedy zaczął się odpływ, żywe odleciały w stronę morza. Teraz mewy zapewne pływają po falach, tak samo jak przed południem.

W oddali, na wzgórzu, gdzie dwa dni temu orał traktor, coś się paliło - jeden z rozbitych samolotów. Ogień, podsycany przez wiatr, oświetlał pobliski stóg.

Nat popatrzył na martwe ptaki i wtedy wpadł na pomysł, że jeśli ułoży je warstwami we wnękach okiennych, mogą się okazać dodatkowym zabezpieczeniem, wprawdzie niezbyt pewnym, ale to zawsze coś. Kiedy żywe znowu zaatakują, muszą je stamtąd usunąć, by dostać się do szyb. W mroku zabrał się roboty. Dotykał ptasich trupów z obrzydzeniem - były jeszcze ciepłe i miały pióra pozlepiane krwią. Czuł wzbierające mdości, ale pracował dalej. Ze smutkiem spostrzegł, że wszystkie szyby



są wybite i tylko deski powstrzymywały ptaki przed dostaniem się do wnętrza chaty. Wpychał zakrwawione ciała między ramy.

Skończywszy wrócił do domu i dla pewności zabarykadował drzwi. Pozdejmował bandaże, lepkie od krwi - nie jego własnej, tylko ptasiej - i opatrzył ręce plastrem.

Żona zrobiła mu kakao, które łąpczywie wypił. Był bardzo zmęczony.

- Wszystko w porządku - rzekł z uśmiechem. - Nie martw się, przetrwamy.

Położył się na materacu i zamknął oczy. Natychmiast usnął. Spał niespokojnie, bo cały czas dręczyło go wrażenie, że coś zaniedbał, jakby przeoczył ważną rzecz. Czuł, że wie, czego nie zrobił, lecz nie potrafił tego sobie przypomnieć. Miało to jakiś związek z płonąącym samolotem i stogiem na wzgórzu. Mimo wszystko spał dalej. Wreszcie się obudził. Żona potrząsała go za ramię.

- Znowu się zaczęło - oznajmiła z płaczem. - Przyleciały jakąś gozdzinę temu. Już nie mogę tego słuchać. W dodatku czuć swąd. Coś się pali.

Wtedy sobie przypomniał. Nie rozniecił ognia. Natychmiast wstał i włączył lampę. Słyszał walenie dziobów w okna i drzwi. Jednakże nie to przykuło jego uwagę, lecz woń tłących się piór, wypełniająca kuchnię. Od razu się zorientował, że ptaki próbują dostać się przez komin.

Chwyciwszy kawałek papieru i kilka patyków, położył je na żarze. Sięgnął po bańkę z naftą.

- Cofnij się! - krzyknął do żony. - Musimy zaryzykować.

Chlusnął naftą na palenisko. Buchnęły płomienie, aż zaszumiało w kominie, i po chwili do ognia spadły opalone, poczerniałe ciała ptaków.

Z płaczem obudziły się dzieci.

- Co to? - spytała Jill. - Co się stało?

Nat nie miał czasu na odpowiedź. Pogrzebaczem wyciągał martwe ciała na podłogę. Ogień wciąż szumiał i płomienie na pewno odpędzą żywe ptaki od komina, ale istniała obawa, że martwe, stłoczone w dolnej części, w końcu go zatkają. Nat i z tym sobie poradzi, tak jak zdołał, choć z trudem, odeprzeć atak na okna i drzwi. Niech biją skrzydłami, niech giną, łamiąc dzioby i szyje, niech płoną, ale nie dostaną się do wnętrza jego domu. Dziękował Bogu, że mieszkają w starej chacie o małych oknach i grubych ścianach, nie w nowych domach komunalnych. Ci, którzy je zajmują, muszą się polecić opiece niebios.

- Przestańcie płakać! - zawołał do dzieci. - Nie ma się czego bać!  
Przestańcie płakać!

Dalej wyciągał spalone ptaki i rzucał je na podłogę, gdzie jeszcze się tliły.

„Ciąg i płomień je załatwia”, pomyślał Nat. „Nic nam nie grozi, dopóki komin się nie zatka. Należałoby mnie za to rozstrzelać. Wszystko przez moją nieuwagę. Na koniec powinienem być rozniecić ogień. Czułem, że o czymś zapomniałem”.

Nagle, wśród odgłosów drapania i dziobania w okna, zabrzmiały znajome uderzenia zegara. Trzecia. Do najwyższej wody zostało jeszcze trochę ponad cztery godziny. Nat nie miał pewności, kiedy dokładnie zaczyna się odpływ. W przybliżeniu obliczył, że między siódmą trzydzieści a za dwadzieścia ósma.

- Zapal prymus - zwrócił się do żony. - Zrób nam herbatę, a dzieciom kakao. Nie ma sensu siedzieć tak beczynn timer.

Właśnie o to chodziło, żeby coś ich wszystkich zająć. Niech się ruszają, jedzą, piją. Zawsze najlepiej coś robić.

Czekał przy palenisku. Płomień zaczęły przygasać, ale poczerniałe ptasie ciała już nie wypadały. Sięgnął pogrzebaczem najgłębiej, jak tylko mógł, lecz niczego nie znalazł. Pusto. Stwierdziwszy, że przewód kominowy jest odetkany, otarł z czoła pot.

- No, Jill, przynieś mi trochę patyków - rzekł. - Teraz rozpalamy ogień jak trzeba.

Córkajednak bała się do niego zbliżyć. Stała ze wzrokiem utkwionym w stertę osmalonych martwych ptaków.

- Nie zwracaj na nie uwagi. Kiedy uporam się z ogniem, wyrzucimy je na korytarz.

Minęło niebezpieczeństwo związane z kominem. Jeśli ogień będzie stale płonął, podobne zagrożenie już nigdy nie powstanie.

„Jutro przyniosę z farmy więcej opału”, pomyślał Nat. „Tego, co mamy, nie wystarczy, choć jakoś sobie poradzę. Wszystko da się zrobić i załatwić podczas odpływu. Po prostu musimy się przystosować i tyle”.

Pili herbatę i kakao, a także jedli chleb z rosołem z kostki. Nat zauważył, że pozostało ledwie pół bochenka. „Trudno, muszą się tym obyć”, stwierdził w duchu.

- Psestańcie! - powiedział mały Johnny, wskazując łyżką okno. - Psestańce, wstlętne ptasyska!

- Racja! - rzekł Nat z uśmiechem. - Nie chcemy tych starych drani, prawda? Mamy ich powyżej uszu.

Zaczęli wznosić radosne okrzyki słysząc, jak ciała ptaków samobójców głucho uderzają w chatę.

- Następny się wykończył, tatusiu! - zawołała Jill. - Już po nim!

- Dobrze mu tak - odparł Nat. - O jednego natręta mniej.

W ten sposób należało reagować. To świadczyło, że nie stracili ducha. Gdyby w takim nastroju udało im się dotrzeć do siódmej, kiedy radio poda pierwsze wiadomości, byłoby całkiem niezłe.

- Daj mi papierosa - poprosił żonę. - Dym usunie swąd spalonych piór.

- W kieszeni są tylko dwa. Miałam zamiar kupić ci kilka paczek w spółdzielni.

- No więc wypalę jednego, a drugi zostanie na czarną godzinę.

Nie było sensu zmuszać dzieci do spania. Nie sposób zasnąć, kiedy ptaki drapią i dziobią w okna. Siedzieli na materacach, opatuleni kołdrami. Nat jedną ręką obejmował Jill, a drugą żonę, która trzymała Johnny'ego na kolanach.

- Trudno nie podziwiać wytrwałości tych drani - rzekł. - Można by sądzić, że w końcu się zmęczą, a tu ani trochę.

Nie podziwiał ich zbyt długo. Stukanie w okna nie ustawało, ale pojawił się nowy odgłos, bardziej zgrzytliwy, jakby do akcji włączyły się ptaki o ostrzejszych dziobach niż dotychczas. Nat próbował sobie przypomnieć nazwy rozmaitych gatunków, które dziobią w taki sposób. To na pewno nie dzięcioły, bo one uderzają lżej i z większą częstotliwością. Sytuacja wyglądała na poważną, odgłosy bowiem wskazywały, że wkrótce drewno pójdzie w drzazgi. I wtedy Nat pomyślał o jastrzębiach. Czyżby one zastąpiły mewy? A może na parapetach siedzą rybołowy i używają nie tylko dziobów, lecz także szponów? Zapomniał o gatunkach drapieżnych, o jastrzębiach, rybołowach, pustułkach i sokołach, a także o tym, jakie są silne. Jeszcze trzy godziny czekania i cały czas będzie słychać, jak szpony rozszarpują drewno.

Nat rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu mebla, którym by można podeprzeć drzwi. Okna, zastawione kredensem, były bezpieczne, ale co do drzwi nie miał pewności. Ruszył na górę. Kiedy tam dotarł, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Z sypialni dzieci dochodziły jakieś szmery. A więc ptaki już tam są... Przyłożył ucho do drzwi. Pomyłka wykluczona. Najwyraźniej słyszał szelest skrzydeł i ciche dreptanie po podłodze. Druga sypialnia była jeszcze wolna od ptaków. Wszedł do niej i zaczął wynosić meble, żeby zabarykadować nimi korytarz przy

schodach - na wszelki wypadek, gdyby drzwi do pokoju dzieci zostały sforsowane, choć te przygotowania mogły się okazać zbędne.

- Zejdz, Nat! - zawołała żona. - Co ty tam robisz?!

- Po prostu sprzątam. Już schodzę.

Nie chciał, by weszła na piętro i usłyszała dreptanie ptaków.

O wpół do szóstej, pragnąc czymś zająć coraz bardziej przerażoną żonę i podenerwowane dzieci, zaproponował, by zjedli śniadanie, składające się z boczku i grzanek. Na szczęście sypialnia dzieci nie znajdowała się bezpośrednio nad kuchnią, w przeciwnym razie bowiem żona z pewnością by usłyszała szmery na górze i głuchoe odgłosy uderzeń, gdy te durne ptaki w samobójczych atakach rozbijają się o ściany. Nat zdawał sobie sprawę, że mewy srebrzyste są głupie, w przeciwieństwie do siodłatych, które dobrze wiedzą, co robią. Tak samo jak rybołowy i jastrzębie...

Przyłapał się na tym, że bez przerwy patrzy na zegarek. Miał wrażenie, jakby wskazówki obracały się po tarczy wolniej niż zwykle. Wiedział, że czeka ich nieuchronna porażka, jeśli jego przypuszczenia się nie potwierdzą i atak nie ustanie, gdy zacznie się odpływ. Nie przetrwają długiego dnia bez powietrza, bez odpoczynku, bez opału, bez... Gorączkowo myślał o tym, że potrzebują tylu rzeczy, by przetrzymać oblężenie. Nie byli dostatecznie przygotowani. W ogóle nie byli przygotowani. Może się okazać, że mimo wszystko w miastach jest bezpieczniej. Gdyby tylko udało mu się skorzystać z telefonu na farmie, zawiadomiłby kuzyna, który mieszka niedaleko, w odległości krótkiej podróży koleją. Jeżeli pożyczą samochód, dotrą tam nawet szybciej. Tak, w czasie odpływu trzeba pożyczyc samochód...

Zmożony nagłą potrzebą snu, już zapadał w drzemkę, ale natychmiast się otrząsnął, usłyszawszy swoje imię, wypowiedziane przez żonę.

- Co jest? O co ci teraz chodzi? - zapytał ostrym tonem.

- O radio. Spojrzałam na zegar. Zbliża się siódma.

- Nie kręć gałką! - warknął, po raz pierwszy zniecierpliwiony. - Zostaw tam, gdzie jest, na pierwszym programie. Zaraz się odezwą.

Czekali. Zegar wybił siódmą. Cisza. Ani sygnału, ani muzyki. Po kwadransie przełączyli na drugi program. Znowu nic.

- Pewnieśmy się przesłyszeli i zaczną nadawać dopiero o ósmej - rzekł Nat.

Kiedy zostawili radio włączone, pomyślał o akumulatorze. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie dostarczał prąd. Zwykle go doła-

dowywał, kiedy żonajechała do miasta po zakupy. Jeżeli się wyczerpie, stracą możliwość słuchania komunikatów.

- Robi się jasno - szepnęła żona. - Nie widzę tego, ale tak uważam. Ptaki już tak nie walą.

Miała rację. Wszystkie odgłosy, towarzyszące ich obecności, powoli zamierały. Zaczynał się odpływ. O ósmej nie słyszeli już nic, prócz szumu wiatru. Dzieci, ukołysane ciszą, w końcu zasnęły. O wpół do dziewiątej Nat wyłączył radio.

- Co ty wyprawiasz? Nie usłyszymy wiadomości - powiedziała żona.

- Nie będzie żadnych wiadomości. Musimy polegać wyłącznie na sobie.

Podszedł do drzwi i wolno odsunął meble, którymi je zabarykadował. Odciągnął zasuwę, nogą zrzucił z progu martwe ptaki, głęboko odetchnął zimnym powietrzem. Miał przed sobą sześć godzin pracy, a wiedział, że w żaden sposób nie wolno mu marnować sił, lecz powinien je zachować na najważniejsze rzeczy, to znaczy na zapewnienie rodzinie jedzenia, światła i opału. Jeśli to wszystko uda mu się zdobyć w wystarczającej ilości, będą mogli przetrwać kolejną noc.

Wyszedł do ogrodu i wówczas zobaczył żywe ptaki. Mewy odfrunęły nad morze, jak przedtem, by się posilić przed następnym atakiem. Ptaki lądowe jednak zostały na miejscu - czekając obserwowały. Widział je na żywopłotach i drzewach, a także na trawie i polu - gęstymi rzędami siedziały cicho i spokojnie.

Nat dotarł do końca niewielkiego ogrodu. Nawet się nie poruszyły, tylko dalej go obserwowały.

- Muszę zdobyć żywność - powiedział do siebie. - Trzeba iść na farmę i znaleźć coś do jedzenia.

Zawrócił. Uważnie obejrzał okna i drzwi domu. Wszedłszy na górę, otworzył sypialnię dzieci. Była pusta; jedynie na podłodze leżały martwe ptaki - żywe wyniosły się do ogrodu i na pola. Zszedł na dół.

- Idę na farmę - oznajmił.

Żona kurczowo się go uczepliła.

- Zabierz nas ze sobą - błagała. - Nie możemy tu zostać bez ciebie. Wolałabym raczej umrzeć, niż zostać tu sama.

Po chwili namysłu skinał głową.

- W takim razie chodźcie - rzekł. - Weź parę koszyków i wózek Johnny'ego. Będzie można więcej załadować.

Dał przenikliwy wiatr, więc włożyli rękawiczki i szaliki. Żona wsadziła Johnny'ego do wózka.

- Ptaki - płaczkliwie odezwała się Jill, gdy Nat wziął ją za rękę. - Wszystkie są tam, na polach.

- Nic nam nie zrobią - odparł. - Nie w biały dzień.

Ruszyli przez pole do przejścia w ogrodzeniu. Ptaki ani drgnęły. Czekały z dziobami skierowanymi pod wiatr.

Kiedy dotarli do miejsca, gdzie się skręcało w stronę farmy, Nat przystanął i kazał żonie ukryć się z dziećmi za żywopłotem.

- Ale ja chcę się zobaczyć z panią Trigg - protestowała. - Jeśli wczoraj pojechali na targ, możemy pożyczyć od nich mnóstwo rzeczy, chleb i...

- Poczekajcie tu - przerwał jej mąż. - Niedługo wrócę.

Krowy ryczały, niespokojnie krążąc po podwórku. Spostrzegł, że owce, pozostawione bez nadzoru, wyłamały dziurę w płocie i teraz włóczyły się po ogrodzie przed domem. Z kominów nie wydobywał się dym. Nata ogarnęły złe przecucia. Nie chciał, by żona czy dzieci wchodziły na farmę.

- Już nie marudź - rzekł ostrym tonem. - Rób, co powiedziałem.

Cofnęła się z wózkiem za żywopłot, by znaleźć dla siebie i dzieci osłonę przed wiatrem.

Nat wszedł na farmę. Przeciskał się przez stado porykujących krow, które z pełnymi wymionami kręciły się w tę i w tę. Przy bramie spostrzegł samochód nie odstawiony do garażu. Wszystkie szyby w oknach domu były wybite, a wokół, pod ścianami, zauważył mnóstwo martwych mew. Żywe ptaki obsiadły kępę drzew za farmą i dach domu. Zachowywały się spokojnie i tylko obserwowały Nata.

Na podwórku znalazł Jima... a właściwie to, co z niego zostało. Kiedy ptaki zrobiły swoje, ciało stratowały krowy. Nieopodal leżała dubeltówka. Drzwi domu były zamknięte na zasuwę, ale dostanie się do środka przez okna pozbawione szyb nie sprawiało najmniejszych trudności.

Trigg leżał przy telefonie. Zapewne próbował połączyć się z centralą, gdy ptaki go dopadły. Z aparatu oderwanego od ściany zwisała słuchawka. Ani śladu pani Trigg. Prawdopodobnie jest na górze. Nat uznał, że nie ma sensu tam wchodzić. Czuł wzbierające mdłości - wiedział, co zastanie.

- Dzięki Bogu, nie mieli dzieci - powiedział do siebie.

Zmusił się do wejścia na piętro, lecz w połowie drogi zawrócił - zobaczył nogi pani Trigg wystające z otwartych drzwi pokoju. Obok niej leżały martwe mewy siodłate i złamana parasolka.

„Nic tu po mnie”, pomyślał. „Mam tylko pięć godzin, albo i mniej. Muszę zabrać, co tylko się da. Triggowie by to zrozumieli”.

Ciężkim krokiem wrócił do żony i dzieci.

- Wezmę samochód - rzekł. - Zapakuję do niego naftę do prymusa i węgiel. Odwieziemy to do domu i wrócimy po następny ładunek.

- Co z Triggami? - zapytała żona.

- Pewnie są u sąsiadów.

- W takim razie może pójde ci pomóc?

- Nie, tam jest straszny bałagan. Krowy i owce łążą po całym gospodarstwie. Zaczekaj, sprowadzę samochód, to sobie wsiadziecie.

Nieporadnie wyjechał tyłem z podwórka na drogę. Stamtąd ani żona, ani dzieci nie mogły dostrzec ciała Jima.

- Zostańcie tu. Nie przejmujcie się wózkiem. Zabierzemy go później. No, biorę się do ładowania.

Przez cały czas żona wodziła za nim oczami. Sądził, że wszystkiego się domyśliła, bo w przeciwnym wypadku by nalegała, że mu pomoże w szukaniu chleba i zapasów żywności.

W sumie trzykrotnie obracali między swoją chatą a farmą, nim uznał, że już mają to, czego potrzebowali. Zdumiewające, że kiedy człowiek dobrze się zastanowi, tyle rzeczy okazuje się niezbędnych, a jedną z najważniejszych były deski. Szukając ich, nieźle się nachodził. Pragnął na nowo pozabijać wszystkie okna. Bardzo długa lista zawierała jeszcze między innymi świece, naftę i konserwy. Na koniec wydoił trzy krowy. Pozostałe, niestety, będą musiały cierpieć.

W czasie ostatniego kursu pojechał na przystanek autobusowy. Tam wysiadł i wszedł do budki telefonicznej. Kilka minut potrzasał słuchawką, ale na linii panowała głucha cisza. „Niedobrze”, pomyślał. Wdrapał się na górkę, skąd popatrzył na okolicę, lecz nigdzie nie dostrzegł żadnego śladu życia. Na polach widział jedynie ptaki, czekające i obserwujące. Niektóre spały, wetknawszy dzioby pod skrzydła.

- Można by sądzić, że nie powinny tak tkwić, tylko szukać pożywienia - mruknął pod nosem.

I wtedy zrozumiał, że wcale nie są głodne. Nocą najadły się do syta. Właśnie dlatego rano były takie niemrawe...

Z komina żadnego domu komunalnego nie unosił się dym. Nat przypomniał sobie mieszkające tam dzieci, które wczoraj biegły przez pola.

„Należało to przewidzieć”, pomyślał. „Powiniennem zabrać je do nas”.

Podniósł głowę i spojrzął w niebo. Było szare, blade. Pociemniałe, bezlistne drzewa wyginały się w podmuchach wschodniego wiatru. Zimno nie przeszkadzało ptakom na polach.

- Właśnie teraz najlepiej je załatwić - stwierdził Nat. - Są świetnym celem. I z pewnością tak siedzą w całym kraju. Dlaczego samoloty nie startują, żeby spryskać je iperytem? Na co ci faceci czekają? Przecież widzą to na własne oczy.

Wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą.

- Szybko przejeżdż obok tej drugiej bramy - szepnęła żona. - Tam leży listonosz. Nie chcę, żeby Jill go zauważyła.

Nat dodał gazu. Niewielki morris podskakiwał na wybojach. Dzieci aż piszczały z uciechy.

- Hopla, hopla! - pokrzykiwał mały Johnny.

Do chaty dojechali za kwadrans pierwsza. Została im ledwie godzina.

- Lepiej nie gotuj obiadu, a tylko odgrzej sobie i dzieciom trochę tej zupy - powiedział Nat. - Ja teraz nie mam czasu na jedzenie. Muszę rozładować samochód.

Przeniósł rzeczy do domku jak leci. Później się je posortuje. Będą mieli co robić w ciągu długich godzin, które ich czekały. Najpierw powinien się zająć drzwiami i oknami.

Obszedł dom, metodycznie je sprawdzając. Wdrapał się także na dach i zaślepił deskami wszystkie kominy, z wyjątkiem kuchennego. Było zimno nie do wytrzymania, ale musiał wykonać tę pracę. Od czasu do czasu podnosił głowę i daremnie wypatrywał na niebie samolotów, przeklinając nieudolność władz.

- Ciągłe to samo - mamrotał. - Zawsze nas zostawiają. Bałagan, bałagan od samego początku. Żadnego planu, brak organizacji. Nie obchodzi ich, co się z nami tutaj dzieje. No właśnie. Ludzie w dużych miastach mają pierwszeństwo. Na pewno tam wysłali wszystkie samoloty i używają gazu, a my musimy czekać i zdawać się na los.

Umilkł, skończywszy pracę przy kominie sypialni. Spojrzął na morze. Dostrzegł tam jakiś ruch. Coś szaro-białego przesuwano się wśród bałwanów.

- Stara, poczciwa marynarka. Nigdy nas nie zawodzi - rzekł uradowany. - Płyną kanałem, robią zwrot w zatoce.

Wyteżając wzrok, wpatrywał się w morze oczami załzawionymi od wiatru. Jednakże się pomylił. To nie były okręty, a tylko mewy zrywały się do lotu. Jednocześnie na polach stada ptaków z nastroszonymi



mi piórami tworzyły szyki i skrzydło w skrzydło wzbijały się w powietrzu.

Znów rozpoczynał się przypływ.

Nat zszedł po drabinie i ruszył do kuchni. Rodzina jadła obiad. Było tuż po drugiej. Zaryglował drzwi na zasuwę, ustawił przy nich barykadę i zapalił lampę.

- Jest noc - oznajmił mały Johnny.

Żona jeszcze raz włączyła radio, ale w eterze panowała cisza.

- Szukałam po całej skali, nawet stacji zagranicznych, i nic nie udało mi się złapać.

- Chyba mają te same kłopoty - odparł Nat. - Być może w całej Europie jest podobnie.

Nalała mu do talerza zupy Triggów, ukroiła dużą kromkę ich chleba i posmarowała ją przywiezionym od nich smalcem.

Jedli w milczeniu. Smalec ściekł Johnny'emu po brodzie i skapnął na stół.

- Zachowuj się! - powiedziała Jill. - Już powinieneś umieć wycierać sobie buzię.

Zaczęło się stukanie w okna i drzwi. Znowu szmery i przepychanki w walce o miejsce na parapetach. Pierwsze głucho uderzenia, gdy mewy spadały na próg po samobójczych atakach.

- Może Amerykanie coś zrobią? - spytała żona. - Zawsze byli naszymi sojusznikami, prawda? Oni na pewno sobie poradzą.

Nat nie odpowiedział. Myślał o tym, że okna i kominy są dostatecznie zabezpieczone, że opału i żywności wystarczy na kilka dni. Po obiedzie uporządkuje zapasy i tak je poukłada, by wszystko mieć pod ręką. Liczył na pomoc żony i dzieci. Będą już zmęczone, gdy kwadrans przed dziewiątą zacznie się odpływ, a wtedy położy je na materacach i postara się im zapewnić spokojny sen do trzeciej nad ranem.

Miał nowy plan: do desek, zabezpieczających okna od zewnątrz, przybić drut kolczasty, którego duży zwój zabrał z farmy. Niestety będzie musiał wykonać tę pracę po ciemku w czasie następnej przerwy, między dziewiątą a trzecią. Żałował, że nie pomyślał o tym wcześniej. Ważne jednak, że żona i dzieci śpią.

Teraz oknami zajęły się mniejsze ptaki. Poznał to po słabych uderzeniach dziobów i cichym trzepocie skrzydeł. Jastrzębie lekcewały okna - atakowały drzwi. Przysłuchując się odgłosom drewna rozłupywanego w drzazgi, Nat próbował odgadnąć, co te małe mózdzki za ostrymi dziobami i świdrującymi oczkami zmagazynowały w swojej

**pamięci przez miliony lat, że obecnie instynkt każe ptakom niszczyć ludzkość tak sprawnie i dokładnie, jakby to robiły automaty.**

**- Wypalę ostatniego papierosa - odezwał się do żony. - Ale ze mnie gapa. To jedyna rzecz, którą zapomniałem wziąć z farmy.**

**Sięgając po niego, włączył głucho radio. Cisnął pustą paczkę w ogień i obserwował, jak płonęła.**

# Monte Verita

Później mi powiedzieli, że nic nie znaleźli. Nigdzie żadnego śladu ludzi, żywych ni martwych. Ogarnięci gniewem, choć prawdopodobnie również strachem, wdarli się do tej zakazanej budowli, omijanej z daleka od niepamiętnych lat, a tam panowała głucha cisza. Mieszkańcy doliny, zdeorientowani i przerażeni, wpadli w furję widząc, że w celach ani na dziedzińcu nikogo nie ma, i uciekli się do prymitywnych metod, od wieków stosowanych przez chłopów: ognia i zniszczenia.

Przypuszczam, że tylko w ten sposób mogli zareagować na coś, czego nie potrafili zrozumieć. Później, ochłoniwszy z gniewu, zapewne zdali sobie sprawę, że najważniejszej rzeczy nie zniszczyli. Tłące się, poczerńnięte mury w końcu ich przechytrzyły tego mroźnego, rozgwieżdżonego ranka.

Oczywiście próbowano znaleźć choćby cokolwiek. Ludzie bardziej obeznani ze wspinaczką, nie zrażeni nagimi skałami szczytu góry, dokładnie przeszukiwali całej grzbiet z północy na południe i ze wschodu na zachód. Daremnie.

I to już właściwie koniec tej historii. Nic więcej nie wiadomo.

Dwóch wieśniaków pomogło mi znieść ciało Wiktora i pochować je w dolinie, u stóp Monte Verita. Chyba mu zazdrościłem, że już ma spokój. Zachował swoje marzenia.

Jeśli chodzi o mnie, odezwały się dawne wspomnienia. Na nowo przeżywałem drugą wojnę, która wstrząsnęła światem. Dziś, zbliżając się do siedemdziesiątki, jeszcze się łudzę, ale często myślę o Monte Verita i ciągle się zastanawiam, jaka jest ostateczna odpowiedź.

Mam trzy hipotezy, lecz każda z nich może mijać się z prawdą.

Według pierwszej - najbardziej fantastycznej - Wiktor mimo wszystko miał rację utrzymując, że mieszkańcy Monte Verita rzeczywiście osiągnęli pewien rodzaj nieśmiertelności, co pozwoliło im wstać do nieba, jak dawnym prorokom. Starożytni Grecy uważali, że taką mocą dysponują ich bogowie, Żydzi przypisywali ją Eliaszowi, a chrześcijanie Chrystusowi. W całej długiej historii religijnych zaborców, wynikających z łatwowierności, nieustannie powraca przekonanie, że niektóre święte osoby zdobywają moc pokonywania śmierci. Wiara w to jest szczególnie głęboka w krajach Wschodu i w Afryce, a tylko nasza zachodnia przemądrzałość sprawia, że uważamy znikanie ludzi z krwi i kości za niemożliwe.

Nauczyciele religii nie zgadzają się ze sobą, kiedy próbują wykazać różnice między dobrem a złem - to, co dla jednego jest cudem, dla drugiego może być czarną magią. Kamienowano nie tylko złych czarowników, ale także dobrych proroków. Słowa uważane za bluźnierstwo w jednym stuleciu, w następnym okazują się święte, a dzisiejsza herezja może jutro stać się wyznaniem wiary.

Nie jestem i nigdy nie byłem wielkim myślicielem, ale bez wątpienia wiem, że w czasie wspinaczek po górach znajdowaliśmy się bliżej Istoty kierującej naszym losem, bez względu na to, kim ona jest. W dawnych czasach najważniejsze rzeczy wypowiediano na szczytach gór - prorocy zawsze wchodzili na wzgórze. Święci, mesjasze przenesili się do wieczności w chmurach. Dla mnie jest rzeczą wiarygodną, że tamtej nocy owa Istota zapewniła bezpieczeństwo tym biedakom z Monte Verita.

Pamiętajcie, że oglądałem tę górę w czasie pełni księżyca, a także za dnia, w słońcu. To, co widziałem, słyszałem i czułem, było nie z tego świata. Mam tu na myśli skalną ścianę w blasku księżyca, śpiew dochodzący z muru, przełęcz w kształcie kielicha między dwoma wierzchołkami na szczycie góry. Wciąż słyszę tamten śmiech i widzę nagie, opalone ramiona, wyciągnięte do słońca.

Kiedy to sobie przypominam, wierzę w nieśmiertelność...

A choć dawno przestałem się wspinać i urok gór już się zatępnął w moich wspomnieniach, widzę też oczy, w które patrzyłem ostatniego dnia na Monte Verita. Były to oczy żywego człowieka - dotykałem rąk tej osoby, która mówiła jak człowiek z krwi i kości.

- Proszę, o nas się nie martw. Wiemy, co mamy zrobić.

A później ostatnie, dramatyczne słowa:

- Pozwól Wiktorowi zachować marzenia.

Wtedy powstała moja druga hipoteza. Dostrzegłszy odwagę tego biedaka zrozumiałem, że dla siebie i pozostałych wybrał najmądrzejszą drogę. Na niebie pojawiły się gwiazdy, zapadała noc. Wracając do Wiktora, gdy ludzie z doliny już się zbierali przed atakiem, ujrzałem niewielką grupkę wierzących, ostatnich poszukiwaczy Prawdy. Weszli na przełęcz między dwoma szczytami i zniknęli.

Moją trzecią hipotezę rozważam, kiedy jestem w cynicznym nastroju i czuję się samotny, gdy jadę do swojego mieszkania w Nowym Jorku po kolacji ze znajomymi, którzy niewiele dla mnie znaczą. Patrząc przez okno na rozjarzony, bajecznie kolorowy świat w nieustannym ruchu, pozbawiony czułości, nagle zaczynam tęsknić za spokojem, za zrozumieniem. Wówczas myślę, że być może mieszkańcy Monte Verita tak długo przygotowywali się nie do śmierci czy nieśmiertelności, a tamtej nocy zwyczajnie się przenieśli. Po kryjomu, w sekrecie, przez nikogo nie zauważeni ruszyli w dolinę i każdy z osobna znalazł sobie miejsce wśród ludzi. Spoglądając z mojego mieszkania na ten rozgorączkowany świat w wiecznym pośpiechu, zastanawiam się, czy niektórzy z nich są w tłumie na ulicy lub w zatłoczonym metrze, a także czy rozpoznaliby ich wśród przechodniów i w końcu znalazł potwierdzenie mojej hipotezy.

Czasami w podróży spotykam nieznaną osobę, która w jakiś szczególnie sposób odwraca głowę i ma frapujący wyraz oczu. Próbuje nawiązać rozmowę, ale osoba ta po chwili wahania odchodzi, jakby ostrzegał ją wewnętrzny głos - choć może tylko tak mi się wydaje. Bywa, że w pociągu lub na zatłoczonej ulicy mignie mi piękna twarz o niezemskim wdzięku. Pragnę podejść, wyciągnąć dłoń i grzecznie spytać: „Czy myśmy się nie widzieli na Monte Verita?“, ale nigdy nie mogę zdążyć. Oni zawsze odchodzi, rozplywają się w tłumie. I znowu jestem sam, a moja trzecia hipoteza pozostaje nie potwierdzona.

Starzeję się - jak wspomniałem, mam prawie siedemdziesiąt lat - słabnie mi pamięć i historia Monte Verita powoli się w niej zaciera, tracąc na wiarygodności. Dlatego też bardzo mi zależy na tym, by ją opisać, nim pamięć całkiem mnie zawiedzie. Może ktoś kochający góry tak samo jak ja przeczyta to, zrozumie tę historię inaczej i po swoim ją zinterpretuje.

Uprzedzam jednak, że w Europie istnieje mnóstwo gór i prawdopodobnie wiele spośród nich nosi nazwę Monte Verita. Znajdują się w Szwajcarii, Francji, Hiszpanii, we Włoszech i w Tyrolu. Wolę nie podawać dokładnej lokalizacji mojej. Obecnie, po dwóch wojnach

światowych, żaden szczyt nie wydaje się niedostępny. Na wszystkie można dotrzeć. Wspinaczka na żaden z nich nie grozi większym niebezpieczeństwem, jeśli zachowa się ostrożność. Mojej góry nigdy nie unikano dlatego, że ludzie obawiali się wysokości, oblodzenia czy śniegu. Drogę wiodącą na jej szczyt mógł pokonać każdy sprawny piechur, nawet późną jesienią. Nie góra napawała lękiem, ale to, co się tam działo.

Jestem niemal pewien, że moja Monte Verita została już naniesiona na mapy wraz z innymi górami o tej samej nazwie. Może blisko wierzchołka są pola namiotowe, a w wiosce na wschodnich stokach nawet hotel, i turyści wjeżdżają na dwa wierzchołki kolejką linową. Mimo to lubię marzyć, że nie doszło do całkowitego zbezczeszczenia, że pionowa ściana niezmiennie lśni o północy, podczas pełni księżyca, a gdy nadchodzi zima z mrozem, śniegiem i wichurą, uniemożliwiająca ludziom wspinaczkę, dwa wierzchołki na szczycie góry - wciąż jeszcze nie sprofanowanej - błyszczą w słońcu i ze współczuciem spoglądają w ciszy na zaslepiony świat.

Wiktora znałem od dzieciństwa. Jako chłopcy obaj mieszkaliśmy w Mariborough i razem, w tym samym roku, zaczęliśmy studia w Cambridge. Byłem jego najlepszym przyjacielem, a choć po ukończeniu uniwersytetu rzadkośmy się widywali, to jedynie dlatego, że moja praca zmuszała mnie do częstych wyjazdów za granicę, Wiktor zaś prowadził własne gospodarstwo w Shropshire. Niemniej nasza przyjaźń przetrwała i kiedy dochodziło do spotkań, okazywało się, że różnica jej nie zmieniła.

Obu nas bardzo absorbowała praca, lecz mieliśmy dość pieniędzy i wolnego czasu, by się oddawać ulubionej rozrywce - wspinaczce. Dziś sięjszy alpinista, dysponujący nowoczesnym sprzętem i pomocą nauki, uznałby nasze wyprawy za amatorszczyznę. Patrząc na nie z perspektywy - a odbywały się w idyllicznych czasach, jeszcze przed pierwszą wojną światową - przyznaję mu rację. Z pewnością trudno mówić o fachowości dwóch mężczyzn, którzy wdrapują się na skały Cumberlandu i Walii, używając jedynie rąk i nóg, a zdobywszy pewne doświadczenie, decydują się na znacznie ryzykowniejszą wspinaczkę w górach południowej Europy.

Z upływem czasu staliśmy się mniej lekkomyślni, zaczęliśmy bardziej liczyć się z pogodą i nauczyliśmy się traktować góry nie jak wroga, którego należy pokonać, lecz sojusznika, którego trzeba zdobyć.

Obaj uprawialiśmy wspinaczkę nie dla dreszczyku emocji ani po to, by zdobywając kolejne szczyty dołączać je do listy naszych osiągnięć, lecz z miłości do gór.

Dając radość i emocję, ale także wielki spokój, góry potrafią być bardziej kapryśne i zmienne niż kobiety. Właściwie trudno wytłumaczyć pęd do wspinaczki. Prawdopodobnie w dawnych czasach wynikało to z pragnienia sięgnięcia do gwiazd. Dziś każdy, kiedy przyjdzie mu ochota, może kupić sobie miejsce w samolocie, by uważać się za pana nieba. Jednakże nie będzie miał skały pod nogami, na twarzy nie poczuje wiatru ani nie zazna ciszy panującej w górach.

Najpiękniejsze chwile w życiu spędziłem za młodu w górach. Ową chęć wyładowania się i myślenia wyłącznie o wspinaczce, gdy człowiek staje się nic nie znaczącą drobiną na tle nieba, nazywaliśmy z Wikto-rem gorączką górską. Na szczycie on szybciej przychodził do siebie, uważnie rozglądał się dokoła i metodycznie planował zejście, ja natomiast, oniemiały z zachwytu, czułem się jak we śnie, którego nie potrafiłem zrozumieć. Oto sprawdziliśmy naszą sprawność, pokonaliśmy górę, ale miałem nieodparte wrażenie, że czeka nas jeszcze coś nieuchwytnego, że kiedyś to zdobędziemy. Dotychczas nie było mi to dane, lecz jakiś wewnętrzny głos podpowiadał, że przyczyna leży we mnie. Były to jednak wspaniałe dni. Dla mnie najpiękniejsze...

Pewnego lata, wkrótce po moim powrocie do Londynu z Kanady, dokąd wyjechałem w interesach, otrzymałem list pisany drżąca ręką. Wiktor zawiadamiał, że ma narzeczoną i niedługo się żeni. Twierdził, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką widział, i pytał, czy nie chciałbym być jego pierwszym drużbą. Natychmiast odpisałem, wyrażając zachwyt i życząc wszystkiego najlepszego, co wypada zrobić przy takich okazjach. Jako zdeklarowany kawaler uznałem, że kolejny przyjaciel, tym razem najlepszy, jest stracony, ugrzęźnie bowiem w życiu rodzinnym.

Przyszła panna młoda okazała się Walijką, mieszkającą tuż za granicą Walii, niedaleko posiadłości Wiktora. *Chyba nie uwierzysz - pisał w swoim drugim liście - ale ona nigdy nawet nie postawiła nogi na Snowdoniel Muszę wziąć jej edukację w swoje ręce.* Z największą niechęcią wyobrażałem sobie niedoświadczoną dziewczynę, wspinającą się za mną na jakąś górę.

Trzeci list zapowiadał przyjazd Wiktora, a także jej, do Londynu, w całym tym rozgardiaszu, związanym z przygotowaniem do ślubu. Zaprosiłem ich oboje na obiad. Nie miałem pojęcia, jak ona wygląda.

Spodziewałem się zobaczyć niewysoką, ciemnowłosą i przypuszczalnie krępa kobietę o ładnych oczach. W każdym razie nie piękność, która wyciągnęła do mnie dłoń i powiedziała: „Jestem Anna”.

Przed pierwszą wojną światową młode kobiety się nie malowały. Anna nie używała szminki, złote włosy zaś miała upięte w dwa duże loki nad uszami. Pamiętam, jak wytrzeszczyłem oczy na widok tej niewiarygodnej urody i jak Wiktor, bardzo zadowolony, śmiejąc się powiedział: „A co, nie mówiłem?” Siedliśmy do obiadu i wkrótce wszyscy troje prowadziliśmy nieskrępowaną rozmowę. Anna zachowywała się z pewną rezerwą, co przydawało jej uroku, ale wiedząc, że jestem największym przyjacielem Wiktora, awansem mnie zaakceptowała i w dodatku polubiła. Czuję to.

Pomyślałem, że Wiktor jest na pewno szczęśliwy, a moje ewentualne wątpliwości co do tego małżeństwa mogłaby budzić tylko ona. Jeszcze nie minęła połowa obiadu, a już tematem rozmowy nieuchronnie stały się góry i wspinaczka - jakżeby inaczej w obecności takich alpinistów.

- No więc bierzesz ślub z mężczyzną, którego konikiem jest górską wspinaczka - powiedziałem do Anny. - Tymczasem nigdy nie weszłaś nawet na Snowdon.

- Nie... Rzeczywiście tam nie weszłam.

Zastanowiło mnie wahanie w jej głosie. Lekko zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? - spytałem. - Być Walijką i nie znać swojej najwyższej góry? Przecież to niemal zbrodnia.

- Anna się boi - wtrącił Wiktor. - Ilekroć proponuję wyprawę, za każdym razem znajduje jakąś wymówkę.

- Nie, Wiktorze - natychmiast zaprotestowała. - To nie tak. Ty po prostu tego nie rozumiesz. Wcale się nie boję wspinaczki.

- W takim razie co jest powodem? - nalegał.

Wyciągnął rękę i chwycił Annę za dłoń, leżącą na stole. Pojąłem, że uwielbia swoją narzeczoną i najprawdopodobniej będą szczęśliwi. Anna spojrzała na mnie badawczym wzrokiem. Instynktownie wyczułem, co powie.

- Góry są bardzo zaborcze - stwierdziła. - Wymagają poświęceń. Dla kogoś takiego jak ja rozsądniej jest trzymać się od nich z daleka.

Wiedziałem, o co jej chodzi, a przynajmniej tak mi się wydawało, lecz sądziłem, że skoro oni się kochają, byłoby najlepiej, gdyby dzieliли zainteresowania, kiedy ona już przełamie swoje początkowe obawy.

- Wspaniale, że masz do tego właściwy stosunek. Oczywiście, że



trzeba dać z siebie wszystko - przyznałem. - Niemniej z pomocą Wiktora na pewno sobie poradzisz. On ci nie pozwoli zrobić niczego, co mogłoby przekraczać twoje możliwości. Jest ode mnie ostrożniejszy.

Uśmiechnąwszy się, cofnęła dłoń.

- Obaj jesteście bardzo uparci, ale żaden z was mnie nie rozumie. Urodziłam się w górach. Mam o nich swoje zdanie.

W tym momencie do stolika podszedł nasz wspólny znajomy, żeby się przedstawić narzeczonej Wiktora i już więcej nie rozmawialiśmy o górach.

Ślub wzięli jakieś sześć tygodni później. Nie widziałem piękniejszej panny młodej. Świetnie pamiętam, że Wiktor był błydy z emocji, a ja myślałem o ciężającej na nim odpowiedzialności za uszczęśliwianie tej dziewczyny do końca życia.

W ciągu tych sześciu tygodni często ją widywałem i zakochałem się w niej tak samo jak Wiktor, choć on początkowo nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie pociągał mnie jej naturalny czar ani uroda, lecz dziwne połączenie obu tych cech, coś w rodzaju wewnętrznej emanacji. Jeśli idzie o ich przyszłość, obawiałem się jedynie, że Wiktor - z natury prostoduszny i otwarty - może trochę zbyt demonstracyjnie okazywać swoje szczęście i że z tego powodu Anna się w sobie zamknie. Oczywiście stanowili bardzo ładną parę, kiedy odjeżdżali po weselu, które wyprawiła stara ciotka, rodzice Anny bowiem już nie żyli. Rozrzewniony cieszyłem się na to, że zostanę w Shropshire i będę ojcem chrzestnym pierwszego dziecka.

Jednakże wkrótce po ślubie interesy zmusiły mnie do wyjazdu. Dopiero w grudniu otrzymałem od Wiktora list z zaproszeniem na święta Bożego Narodzenia. Z radością się zgodziłem.

Od wesela minęło już osiem miesięcy. Wiktor był niezwykle szczęśliwy i w doskonałej formie, Anna zaś, jak mi się zdawało, jeszcze ładniejsza niż przedtem. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Przywitani mnie bardzo serdecznie - zapowiadał się wspaniały tydzień w pięknym starym domu Wiktora, znanym mi z poprzednich wizyt. Rzuciło się w oczy, że to zdecydowanie udane małżeństwo, a choć nie nie wskazywało, że potomek jest w drodze, mieli na to jeszcze mnóstwo czasu.

Ukontentowani, całą trójką chodziliśmy na spacer, postrzelaliśmy sobie czasem, a wieczorami oddawaliśmy się lekturze.

Spostrzegłem, że mój przyjaciel dostroił się do spokojniejszego charakteru żony. Ten spokój, aczkolwiek w wypadku Anny to chyba nie

jest najwłaściwsze określenie, promieniował z niej, rzucając jakiś czar na cały dom. Pobyt w tym domu zawsze sprawiał mi przyjemność - wysokie, nieregularne pokoje, okna z kamiennymi słupkami - lecz teraz panująca tam spokojna atmosfera jeszcze się pogłębiła, jakby w każdym pomieszczeniu zalegała cisza, która skłania do zadumy, dla mnie niezwykła i o wiele bardziej kojąca niż dawniej.

Dziwne, ale spoglądając wstecz na tamten tydzień, niczego sobie nie przypominam z samych świąt. Nie pamiętam, cośmy jedli i pili ani czy poszliśmy do kościoła, jednak z pewnością tak, Wiktor był bowiem najznaczniejszym ziemianinem w okolicy. Pamiętam tylko ów nieopisany spokój, kiedy wieczorami, po zamknięciu okiennic, siadaliśmy przy kominku w jadalni. Moje podróże w interesach zapewne bardziej mnie męczyły, niż sądziłem, jako że siedząc u Wiktora i Anny, pragnąłem jedynie odpoczywać i poddawać się tej błogiej, kojącej ciszy.

W ich domu zaszła jeszcze jedna zmiana, którą sobie uświadomiłem dopiero po kilku dniach - brakowało w nim licznych drobiazków i mebli, zgromadzonych przez przodków Wiktora. Ogromne pokoje świeciły pustkami, a w jadalni, gdzie siadywaliśmy, znajdował się tylko długi stół i fotele przy kominku. Wydawało się jednak, że właśnie tak powinno być, choć to zastanawiające, że tej zmiany dokonała kobieta. Zazwyczaj młoda żona kupuje nowe firanki i dywany, aby wprowadzić element kobiecości do kawalerskiego domu męża. Zaryzykowałem i napomknąłem o tym Wiktorowi.

- Owszem, pozbyliśmy się mnóstwa gratów - odparł rozglądając się niepewnie. - To był pomysł Anny. Wiesz, ona nie przywiązuje wagi do własności. Nie, nic nie zostało sprzedane. Wszystkośmy rozdali.

Otrzymałem ten sam pokój, co zawsze. W nim nic się nie zmieniło. Miałem tam wszelkie dawne wygody, o które dbała troskliwa gospodyni: dzbanki z gorącą wodą, rano filiżankę herbaty, ciasteczka na nocnym stoliku, papierosy w ozdobnej szkatułce.

Jednakże pewnego razu, idąc długim korytarzem, prowadzącym do schodów, zauważyłem otwarte drzwi pokoju Anny. Wiedziałem, że niegdyś zajmowała go matka Wiktora, a wtedy stało tam piękne antyczne łóżko z baldachimem oraz kilka ciężkich, solidnych mebli, stylem pasujących do całego domu. Ze zwykłej ciekawości zerknąłem przez otwarte drzwi. Pokój okazał się niemal pusty. W oknach nie było zasłon, z podłogi usunięto dywan. Na gołych deskach stał tylko stół, krzesło i łóżko polowe, przykryte jedynie kocem. Za oknami, otwarty-

mi na oścież, zapadał zmrok. Odwróciwszy się, ruszyłem do schodów i natknąłem się na Wiktora. Z pewnością widział, jak zaglądałem do pokoju jego żony, więc nie mogłem udawać, że tego nie robiłem.

- Wybacz - rzekłem - ale przypadkiem zauważyłem, że dawna sypialnia twojej matki teraz wygląda zupełnie inaczej.

- Istotnie. Anna nie cierpi zbędnych przedmiotów ani ozdób. Idziesz na kolację? Anna właśnie wysłała mnie po ciebie.

W milczeniu zesłiliśmy po schodach. Jakoś nie mogłem zapomnieć o pustej sypialni, a porównując jej skromne wyposażenie z luksusem mojego pokoju sądziłem, że Anna uważa mnie za kogoś, kto nie potrafi żyć bez wygod i elegancji, które z jakiegoś powodu są jej całkiem zbędne.

Obserwowałem ją tamtego wieczora, kiedy siedzieliśmy przy kominu. Wiktor po coś wyszedł z jadalni i na kilka minut zostaliśmy sami. Jak zwykle obecność Anny wpływała na mnie kojąco. Wraz z ciszą ogarniał mnie dziwny spokój, jakiego nigdy nie zaznałem w moim codziennym, banalnym życiu. Ten spokój emanował z Anny, lecz jakby pochodził z innego świata. Pragnąłem jej o tym powiedzieć, ale nie mogłem znaleźć słów. Wreszcie się odezwałem:

- Coś zrobiłaś z tym domem, tylko że ja tego nie rozumiem.

- Nie? Myślę, że rozumiesz. Przecież oboje szukamy tego samego.

Nie wiem, dlaczego poczułem się nieswojo. Spokój stał się niemal przytłaczający.

- Nie wydaje mi się, żebym czegokolwiek szukał.

Słowa te zabrzmiały głupio. Spojrzałem w ogień, jednak moje oczy, jakby pod przymusem, skierowały się na Annę.

- Nie? - spytała.

Pamiętam, że bardzo się zmartwiłem. Po raz pierwszy zobaczyłem siebie jako nic nie znaczącego, bardzo pospolitego człowieka, który bez celu krąży po tym świecie i z takimi samymi ludźmi załatwia błahę sprawę jedynie po to, by mógł dobrze jeść, elegancko się ubierać i wygodnie mieszkać do śmierci.

Przypomniał mi się mój dom w Westminsterze, wybrany po długim namyśle i umeblowany z wielką starannością. W wyobraźni ujrzałem moje książki, obrazy, kolekcję porcelany i dwóch znakomych służących, którzy czekając, aż wrócę, utrzymują dom w nieskazitelnej czystości. Dotychczas wszystko to sprawiało mi ogromną satysfakcję, a teraz nie byłem pewien, czy ma jakąkolwiek wartość. Nagle usłyszałem swój głos:

- Co według ciebie powinienem zrobić? Sprzedać cały dobytek i rzucić pracę? A co potem?

Wracając myślą do naszej krótkiej rozmowy, nie pamiętam, żeby Anna jakimkolwiek słowem upoważniła mnie do zadawania takich pytań. Sugerowała, że czegoś szukam, lecz ja, zamiast potwierdzić lub zaprzeczyć, spytałem jej, czy muszę zrezygnować ze wszystkiego, co mam. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy, jakie to ważne. Wiedziałem tylko, że jestem głęboko poruszony i zakłopotany, choć przed chwilą odczuwałem spokój.

- Twoja odpowiedź może się okazać inna niż moja. Tak czy inaczej sama swojej dobrze nie znam. Jeszcze nie, ale przyjdzie taki dzień, że ją poznam.

Patrząc na Annę pomyślałem, że już ma tę odpowiedź, udziela jej bowiem urodą, spokojem i rozumem. Cóż więcej mogłaby osiągnąć? Chyba że idzie jej o brak dzieci i dlatego czuje się niedowartościowana.

Wrócił Wiktor, wnosząc solidność i ciepło do atmosfery panującej w jadalni. Stara marynarka smokingowa, którą włożył do wieczorowych spodni, kojarzyła mi się z czymś dobrze znanym i miłym.

- Straszny ziąb! - rzekł. - Wyrzałem na dwór. Temperatura spadła poniżej zera, ale wieczór jest piękny. Pełnia księżycy. - Przynasł swój fotel do kominka i czule uśmiechnął się do Anny. - Prawie tak zimno jak tamtej nocy, którą spędziliśmy na Snowdonie. Nigdy nie zapomnę tego wspaniałego nieba. - Odwrócił się do mnie i spytał: - Chyba ci jeszcze nie mówiłem, że Anna w końcu się zgodziła wejść ze mną na Snowdon?

- Nie - odpowiedziałem zdumiony. - Myślałem, że jest temu przeciwna.

Popatrzyłem na nią. Miała puste oczy, zupełnie bez wyrazu. Instynktownie wyczułem, że wołałaby nie rozmawiać na temat, który poruszył jej mąż. Wiktor jednak wcale się tym nie przejął.

- To cicha woda - oznajmił. - Tak samo dobrze potrafi się wspinać jak ty czy ja. W istocie cały czas rwała naprzód, a w końcu mi zginęła.

Pół żartem, pół serio zrelacjonował ich wyprawę ze wszystkimi szczegółami. Okazała się bardzo ryzykowna, bo wyruszyli na nią o wiele za późno, w nieodpowiedniej porze roku.

Rano, na początku wspinaczki, mieli sprzyjającą pogodę, lecz po południu nadeszła burza z piorunami, a w końcu rozszalała się śnieżnica i musieli spędzić noc pod gołym niebem.

- Chyba do końca życia nie pojmę, jak ją zgubiłem. Szła obok i nagle mi zniknęła. Mówię ci, miałem paskudne trzy godziny. Ciemno choć oko wykol i ta wichura...

Kiedy opowiadał, Anna nie odezwała się ani jednym słowem, jakby nieobecna. Przez cały czas nieruchomo siedziała w fotelu. Czułem się głupio i niezręcznie. Chcąc, żeby Wiktor szybciej skończył, wtrąciłem:

- W każdym razie zszedłeś i nikomu nic się nie stało.

- Tak, o piątej rano, zupełnie mokry i przerażony - rzekł ponurym głosem. - Anna wyłoniła się z mgły zdziwiona, że jestem wściekły. Nawet nie zmkła. Oświadczyła, że schroniła się za skałą. Cud, że nie złamała sobie karku. Powiedziałem jej, że następnym razem, kiedy pójdziemy w góry, ma iść przede mną.

- Chyba nie będzie następnego razu - zauważyłem spoglądając na Annę. - Tamto jej wystarczy.

- Ani trochę - odparł Wiktor wesoło. - Wiesz, już ustaliliśmy, że latem jedziemy w Alpy, Pireneje albo Dolomity. Jeszcze nie zdecydowaliśmy dokąd. Najlepiej zrobisz, jeśli się z nami wybierzesz, i będziemy mieli prawdziwą ekspedycję.

Z żalem pokręciłem głową.

- Bardzo bym chciał, ale to wykluczone. W maju muszę być w Nowym Jorku i wracam dopiero we wrześniu.

- O, do maja wiele się może zmienić. Pogadamy o tym w odpowiednim czasie.

Anna w dalszym ciągu milczała, a ja się zastanawiałem, dlaczego Wiktora nie dziwi jej zachowanie. Nagle wstała, życząc nam dobrej nocy, i poszła na górę. Moim zdaniem, najwyraźniej z powodu rozmowy o wspinaczce. Uznałem, że należy zmiłogować Wiktora.

- Słuchaj, dobrze się zastanów nad wakacjami w górach. Jestem przekonany, że Annie to się nie podoba.

- Nie podoba? - spytał zaskoczony. - Niby dlaczego? Przecież to jej pomysł.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że tak. Powiadam ci, stary druhu, ona szaleje za górami. Są dla niej wręcz fetyszem. Sądzę, że to ta jej walijska krew. Przed chwilą dość niefrasobliwie opisywałem tamtą noc na Snowdonie, ale mówiąc między nami, całkowicie mnie zaskoczyła odwaga i wytrzymałość Anny. Muszę przyznać, że się o nią bałem i że rano, po zady-

ce, byłem śmiertelnie wyczerpany, a tu Anna wyłania się z mgły niczym duch. Nigdy jej takiej nie widziałem. Schodziła z tej parszywej góry, jakby miała za sobą noc na Olimpie, a ja ledwie trzymałem się na nogach. Nadzwyczajna kobieta. Ty też tak uważasz, prawda?

- Owszem. Przysnaję, że Anna to niezwykła osoba - powiedziałem z wolna.

Wkrótce i my weszliśmy na piętro. Kiedy w miękkich pantoflach stapałem po puszystym dywanie, przebrany w piżamę, którą zostawiono dla mnie przy ogniu na kominku, żeby się nagrzała, i zauważyłem na stoliku nocnym termos z gorącym mlekiem, znowu mi się przypomniał dziwnie pusty pokój Anny i jej wąskie łóżko polowe. Przed położeniem się spać niepotrzebnie zdjąłem grubą atłasową narzutę ze swojego łóżka i szeroko otworzyłem okno.

Nie mogłem jednak zasnąć z powodu jakiegoś niepokoju. Ogień na kominku zgasł i sypialnię wypełniło lodowate powietrze. Przez całą noc słyszałem tykanie mojego podróznego zegara. O czwartej nad ranem zrobiło mi się tak zimno, że już nie mogłem wytrzymać. Na szczęście przypomniałem sobie, że mogę się napić gorącego mleka, lecz postanowiłem najpierw zamknąć okno.

Wygramoliwszy się z łóżka, dygocąc ruszyłem przez pokój. Chwile stałem przy otwartym oknie. Wiktor miał rację - ziemię pokrywał szron i świecił księżyc w pełni. Nagle z cienia drzew wyszła jakaś postać i zatrzymała się na trawniku pod domem. Nie był to złodziej, bo złodzieje się skradają, a ta osoba stała spokojnie z twarzą zwróconą do księżyca, jakby zadumana.

Wówczas poznałem, że to Anna, ubrana jedynie w szlafrok przewiązany w pasie. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Z przerażeniem spostrzegłem, że jest boso. Obserwując ją, nagle zrozumiałem, że oglądam coś intymnego, sekretnego, i nie powinienem na to patrzeć. Zamknąłem więc okno i wróciłem do łóżka. Instykt mi podpowiadał, abym o tym, co widziałem, nie wspominał ani Wiktorowi, ani samej Annie.

Rano świeciło słońce, więc wybraliśmy się z psami na spacer po polach. Wiktor z Anną, oboje w świetnym humorze, byli tak normalni, że zacząłem się zastanawiać, czy nie przesadziłem z oceną tego, co widziałem w nocy. Jeśli Anna miała ochotę chodzić boso o takiej porze, to jej sprawa, a ja, szpiegując ją, po prostu źle się zachowałem. Moja wizyta do końca przebiegała już bez wydarzeń - wszyscy troje byliśmy szczęśliwi i zadowoleni. Wyjechałem bardzo niechętnie.

Zobaczyliśmy się ponownie kilka miesięcy później, tuż przed moją podróżą do Ameryki. Wyszedłem na miasto, by kupić kilka książek na długi rejs przez Atlantyk - w owym czasie taką wyprawę podejmowano bez entuzjazmu, mając świeżo w pamięci tragedię „Titanica”. W księgarni spotkałem Wiktora z Anną, pochylonych nad mapami, rozłożonymi gdzie tylko się dało.

Ledwieśmy się przywitali, a już trzeba było się żegnać - zarówno oni, jak i ja, mieliśmy dzień wypełniony do końca innymi sprawami.

- Właśnie przygotowujemy się do letnich wakacji - rzekł Wiktor.  
- Zastanawiamy się nad wyborem trasy. Zmień plany i jedź z nami.

- To niemożliwe - odparłem. - W najlepszym wypadku będę w domu we wrześniu. Skontaktuję się z wami natychmiast po powrocie. No i w końcu dokąd się wybieracie?

- Decyzja należy do Anny. Myśli o tym już od wielu tygodni. Znalazła górę, która wydaje się nie do zdobycia. W każdym razie myśmy się tam jeszcze nie wspinali.

Palcem wskazał na mapie miejsce, które Anna zaznaczyła niewielkim krzyżykiem.

- Monte Verita - przeczytałem. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Anna na mnie patrzy. - Dla pewności weźcie miejscowego przewodnika i tak dalej. Czemu wybrałaś akurat tę górę?

Uśmiechnęła się, jakby z wyższością. Poczułem wstyd.

- Bo to Góra Prawdy - odparła. - No, jedź z nami.

Przecząco pokręciłem głową i wyszedłem z księgarni, by załatwiać sprawy związane z podróżą do Ameryki.

Z zazdrością myślałem o nich obojgu przez następne miesiące. Oni się wspinali, a ja, zamiast być z nimi w ukochanych górach, borykałem się z interesami. Często żałowałem, że nie mam odwagi rzucić pracy, wypiąć się na cywilizowany świat z jego wątpliwymi przyjemnościami i wyruszyć z dwojgiem moich przyjaciół na poszukiwanie prawdy. Powstrzymywały mnie zawarte umowy, a także przekonanie, że robię wspaniałą karierę i byłoby szaleństwem z niej zrezygnować. Moje życie miało ustalone tory. Za późno na zmiany.

We wrześniu, po powrocie do Anglii, przejrzałem ogromną stertę listów, które na mnie czekały, i bardzo się zdziwiłem, nie widząc nawet pocztówki od Wiktora, a przecież obiecał informować o wszystkim, co widzieli i robili. Nie mogłem skontaktować się z nimi telefonicznie, więc wysłałem mu krótką wiadomość, gdy tylko uporałem się z korespondencją handlową.

Kilka dni później, wychodząc z klubu, spotkałem naszego wspólnego znajomego, który na chwilę mnie zatrzymał, by spytać o moją podróż. Kiedy już znalazłem się na schodach, jeszcze rzucił przez ramię:

- Popatrz, co za tragedia z tym biednym Wiktoorem. Zamierzasz go odwiedzić?

- O co ci chodzi? Jaka tragedia? Czyżby miał wypadek?

- Jest w strasznym stanie i przebywa w zakładzie leczniczym. Tu, w Londynie. Załamania nerwowe. Wiesz, że żona od niego odeszła?

- Dobry Boże, nie! - wykrzyknąłem.

- Niestety tak. Właśnie to spowodowało wszystkie kłopoty. Całkowicie się załamał. Wiesz, jak był jej oddany.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ona go rzuciła dla innego?

- Nie wiem. Tak przypuszczam. Od Wiktora nic nie można wyciągnąć. W każdym razie to załamanie trwa już kilka tygodni.

Poprosiłem o adres lecznicy, wziąłem dorożkę i natychmiast tam pojechałem.

Kiedy zapytałem o Wiktora, powiedziano mi, że nie przyjmuje żadnych gości. Wyjąłem wizytówkę i na odwrocie skreśliłem kilka słów, licząc na to, że on ze mną chętnie się zobaczy. Po chwili pielęgniarka zaprowadziła mnie do sali na pierwszym piętrze.

Kiedy otworzyła drzwi, zmartwiałem z przerażenia na widok wymizerowanej twarzy Wiktora - tak bardzo się zmienił i schudł. Siedział w fotelu przy kominku opalanym gazem.

- Najdroższy przyjacielu - rzekłem ruszając ku niemu. - Dopiero przed pięcioma minutami dowiedziałem się, że tu jesteś.

Pielęgniarka wyszła i zamknęła drzwi. Zostaliśmy sami.

Z bólem spostrzegłem łzy napływające do oczu Wiktora.

- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Przy mnie nie musisz się krępować. Wiesz, że wszystko zrozumie.

Wydawało się, że nie może mówić. Siedział przygarbiony i tylko łzy ściekały mu po policzkach. Nigdy nie czułem się bardziej bezradny. Przynaląłem do niego fotel, który mi wskazał, i usiadłem. Czekałem. Jeśli sam nie zechce mi powiedzieć, co się stało, nie zamierzałem nalegać. Pragnąłem jedynie go pocieszyć, służyć mu pomocą.

Wreszcie się odezwał. Ledwie poznałem jego głos.

- Nie ma Anny - rzeki. - Czy już o tym wiesz? Odeszła...

Skinąłem głową. Położyłem mu dłoń na kolanie, jak małemu chłopcu, a nie mężczyźnie w moim wieku, po trzydziestce.



- Wiem, ale wszystko będzie dobrze - powiedziałem łagodnie. -  
Ona wróci. Na pewno ją odzyskasz.

Pokręcił głową.

- O nie. Ona nigdy nie wróci. Zbyt dobrze ją znam. Znalazła to,  
czego chciała.

Jeszcze nie słyszałem, by ktokolwiek mówił z taką rozpaczą i z takim przekonaniem. Głębokie współczucie budziła rezygnacja, z jaką Wiktor, zazwyczaj tak silny i zrównoważony, traktował to, co się wydarzyło.

- Kim jest tamten? - spytałem. - Gdzie go poznała?

Wiktor spojrzał na mnie zdziwiony.

- O czym ty mówisz? Nikogo nie poznała. To wcale nie tak. Gdyby tylko o to chodziło, sprawa byłaby prosta...

Urwał, rozkładając ręce w bezradnym geście. Nagle znowu stracił nad sobą panowanie, ale tym razem nie okazywał słabości, lecz gniew, bezsilny gniew człowieka, który walczy z czymś, czego nie może pokonać.

- Ta góra ją zabrała - odezwał się po chwili. - Ta przeklęta góra, Monte Verita. Jest tam jakaś sekta, zakon o ścisłej regule. Zamykają się do końca życia... tam, na tej górze. Nawet mi się nie śniło, że coś takiego może istnieć. I Anna jest z nimi. Na tej parszywej górze. Na Monte Verita...

Siedziałem z Wiktorem w lecznicy do wieczora. Opowiedział mi całą historię, kawałek po kawałku.

Samą podróż mieli przyjemną i bez wydarzeń. W końcu dotarli do miejscowości u podnóża Monte Verita, skąd zamierzali robić wypady, i tam napotkali trudności. Wiktor nie znał tego kraju. Ludzie wydawali się posępni i traktowali ich wrogo, zupełnie inaczej niż gdzie indziej. Używali niezrozumiałego dialektu, a przy tym nie grzeszyli inteligencją.

- Przynajmniej ja odniosłem takie wrażenie - dodał. - Gburowaci i zacofani, jakby żywcem przeniesieni z ubiegłego wieku. Pamiętasz, że gdy myśmy chodzili po górach, ludzie wprost wyłazili ze skóry, by nam pomóc, i zawsze udawało nam się znaleźć jakiegoś przewodnika. Tam wręcz przeciwnie. Kiedy z Anną pytaliśmy ich o drogę na szczyt Monte Verita, nie chcieli jej wskazać. Tylko wzruszali ramionami, głupawo wybałuszając oczy. Jeden z nich powiedział, że nie mają przewodników, bo to góra dzika, niezbadana.

Na chwilę umilkł i spojrzał na mnie z wyrazem tej samej bezbrzeżnej rozpacz, co poprzednio.

- Właśnie wtedy popełniłem błąd - ciągnął. - Powinienem był przewidzieć, że wyprawa zakończy się niepowodzeniem, przynajmniej tam, i zaproponować Annie przeniesienie się bliżej cywilizacji, gdzie ludzie są życzliwsi, a kraj bardziej nam znany. Ale wiesz, jak to jest. W górach człowiek myśli, że mu się uda, a każda przeciwność jeszcze zwiększa upór. Sama Monte Verita... - Urwał i zapatrzył się w przestrzeń, jakby w wyobraźni znowu widział tę górę. - Nigdy nie miałem zdolności do lirycznych opisów, dobrze o tym wiesz. Podczas naszych najwspanialszych wspinaczek ja byłem praktykiem, a ty poetą. W każdym razie nigdy nie widziałem piękniejszej góry. Obaj wchodziliśmy na wiele szczytów wyższych i bardziej niebezpiecznych niż ona, ale Monte Verita miała w sobie coś... majestatycznego.

Po kilku sekundach milczenia mówił dalej.

- Zapytałem Anny, co w tej sytuacji powinniśmy zrobić. Odparła bez wahania: „Musimy tam wejść”. Nawet nie próbowałem jej przekonywać. Doskonale wiedziałem, że właśnie tego pragnie. Ta góra po prostu rzuciła na nas jakiś urok.

Wyszli z doliny i zaczęli się wspinąć.

- Dzień był cudowny - ciągnął Wiktor. - Prawie nie wiało, na niebie ani jednej chmurki. Dobrze to znasz. Ostre słońce, powietrze czyste i zimne. Żartując z tamtej wspinaczki na Snowdon, kazałem Annie przysiąc, że nie zostawi mnie w tyle. Z rozpuszczonymi włosami, ubrana w krótką plisowaną spódnicę i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, wyglądała prześlicznie.

Kiedy tak mówił cicho i powoli, doszedłem do wniosku, że zdarzył się wypadek i Wiktorowi pomieszało się w głowie, bo nie mógł zapobiec śmierci żony. Na pewno tak było. Anna spadła, a on to widział i w żaden sposób nie umiał jej pomóc. Później, całkowicie załamany, wrócił do domu i wmówił sobie, że ona wciąż żyje na Monte Verita.

- Na godzinę przed zachodem słońca dotarliśmy do jakiejś wioski. Wspinaczka zajęła nam cały dzień. Według mojej oceny, od szczytu dzieliło nas jeszcze około trzech godzin drogi. Wioskę tworzyła grupka kilkunastu stłoczonych chat, a kiedy podeszliśmy do pierwszej z nich, wydarzyło się coś dziwnego.

Ponownie na moment umilkł i zapatrzył się w przestrzeń.

- Anna trochę mnie wyprzedziła. Szła szybko, tym swoim długim krokiem. Wiesz, jak ona chodzi. Na niewielkim pastwisku zobaczy-

łem trzech mężczyzn z kilkorgiem dzieci i stadkiem kóz. Zbliżali się do traktu. Anna pomachała do nich ręką, a wtedy oni chwycili dzieci i zaczęli uciekać w stronę najbliższej chaty, jakby ich goniły wszystkie diabły. Usłyszałem trzask rygli i zamykanych okiennic. Bardzo mnie to zdziwiło. Kozy się rozpierchły, równie przerażone.

Wiktor powiedział, że żartem nazwał to czarującym powitaniem i że Anna wydawała się speszona, bo nie wiedziała, czym ich tak przstraszyła. Podszedł do pierwszej chaty i zapukał do drzwi.

Żadnej reakcji. Słyszał tylko płacz dziecka i jakieś szepty. Straciwszy cierpliwość, głośno krzyknął. To poskutkowało i wkrótce uchyliła się jedna z okiennic. W szparze zobaczył twarz mężczyzny, który badawczo mu się przyglądał. Wiktor skłonił się z uśmiechem, by pokazać, że nie ma złych zamiarów. Wówczas tamten powoli otworzył całą okiennicę. Kiedy Wiktor do niego przemówił, mężczyzna z początku kręcił głową, a później widocznie zmienił zdanie, bo odrygłował drzwi. Stał w progu, niepewnie się rozglądając, lecz nie zwracał uwagi na Wiktora - patrzył na Annę. Nagle zaczął bardzo szybko coś mówić niezrozumiałym językiem, gwałtownymi gestami wskazując szczyt Monte Verita. Wtedy z mrocznego wnętrza chaty wyłonił się jakiś starzec, wsparty na dwóch laskach, i roztrąciwszy wystraszone dzieci, podszedł do drzwi. Przynajmniej on znał nie tylko swój dialekt.

- Co to za kobieta? - spytał. - Czego ona od nas chce?

Wiktor odpowiedział, że jest jego żoną. Wyjaśnił również, że są na wakacjach, że przyszli z doliny, wybrali się na wspinaczkę i szukają noclegu. Powiedział starcowi, żeby się Annie przyjrzał.

- Czy to na pewno twoja żona? Ona nie jest z Monte Verita?

- To moja żona - powtórzył Wiktor. - Przyjechaliśmy z Anglii. Spędzamy tu wakacje. Nigdy przedtem nie byliśmy w tym kraju.

Starzec odwrócił się do młodszego mężczyzny i przez chwilę o czymś szepotali. Później tamten wszedł do wnętrza chaty i jeszcze z kimś rozmawiał. Wkrótce w drzwiach ukazała się jakaś kobieta, chyba najbardziej z nich przerażona. Dosłownie się trzęsła, spoglądając z progu na Annę. To najwyraźniej Anna wzbudzała w nich taki strach.

- To moja żona - znowu powtórzył Wiktor. - Przyszliśmy z doliny. Wreszcie starzec zrozumiał.

- Wierzę ci - rzekł. - Możecie wejść. Wszystko w porządku, skoro jesteście z doliny. Musimy być ostrożni.

Wiktor skinął na żonę. Anna wolno podeszła i stanęła obok niego na progu domu. W tej samej chwili kobieta spojrzała na nią z bojaźnią i natychmiast się cofnęła. Dzieci zrobiły to samo.

Starzec gestem zaprosił gości do środka. Izba była czysta, ale brakowało w niej sprzętów. Na kominku płonął ogień.

- Mamy żywność i materace - powiedział Wiktor, zdejmując plecak. - Nie chcemy być dla was ciężarem. Jeśli pozwolicie, tutaj zjemy i prześpimy się na podłodze. To nam całkowicie wystarczy.

- Cieszę się. Ufam wam - odparł starzec i zostawił ich samych, wychodząc wraz rodziną.

Wiktora i Annę zaintrygowało takie przyjęcie - nie mogli zrozumieć, dlaczego fakt, że są małżeństwem i przyszli z doliny, przekonał tych ludzi, choć z początku okazali strach. Kiedy się najedli i rozpakowali plecaki, ponownie zjawił się starzec - przyniósł im mleko i ser. Towarzyszył mu młodszy mężczyzna, wiedziony ciekawością.

Wiktor podziękował starcowi za gościnę i dodał, że teraz kładą się spać, a rano, tuż po wschodzie słońca, wyruszą na szczyt góry.

- Czy droga jest trudna? - zapytał.

- Nie - padła odpowiedź. - Chętnie bym z wami kogoś wysłał, ale nikt nie zechce iść.

Starzec zachowywał się niepewnie i często zerkał na Annę.

- Tutaj, w naszym domu, twojej żonie nic się nie stanie. Będziemy jej pilnować - rzekł.

- Moja żona pójdzie ze mną. Ona nie chce tu zostać.

Na twarzy starca pojawił się niepokój.

- Lepiej, żeby twoja żona nie wchodziła na Monte Verita. To niebezpieczne.

- Niby dlaczego to ma być dla mnie niebezpieczne? - spytała Anna.

Starzec spojrział na nią z jeszcze większym niepokojem.

- Dziewczęta ani kobiety nie powinny tam wchodzić.

- Ale dlaczego? No, dlaczego? - nalegała Anna. - Przecież mówiłeś, że droga nie jest trudna.

- To nie droga jest niebezpieczna. Mój syn może wam ją pokazać. Chodzi o...

Tu użył słowa, którego nie znali, Wiktor jednak miał wrażenie, że zabrzmiało jak *sacerdotessa* lub *sacerdozio*.

- Kapłanka albo kapłaństwo - wyjaśnił Annie. - To niemożliwe. Zastanawia mnie, co on, u licha, ma na myśli.

Starzec ze zmartwioną miną niespokojnie patrzył to na jedno, to na drugie.

- Tobie nic nie grozi - zwrócił się do Wiktora. - Ty możesz bezpiecznie wejść na Monte Verita i zejść, ale twoja żona nie. Oni mają wielką moc, ci *sacerdotesse*. Tutaj, we wsi, nieustannie się boimy o nasze córki i żony.

Cała ta historia przypominała Wiktorowi opowieść o plemieniu dzikusów, którzy mieszkali w afrykańskiej dżungli i porywali kobiety.

- Nie wiem, o czym on mówi - odezwał się do Anny. - Przypuszczam, że oni wierzą w jakieś zabobony, które pewnie cię zainteresują, bo masz walijską krew.

Powiedział mi, że zaśmiał się lekceważąco. Wkrótce ogarnęła go nieodparta senność, przygotował więc posłanie na materacach, blisko ognia. Kiedy gospodarze wyszli, życząc dobrej nocy, Wiktor i Anna ułożyli się do snu.

Mój przyjaciel zasnął głęboko, jak zwykle po długim marszu. Nagle, tuż przed świtem, obudziło go pianie koguta. Odwrócił się na bok, by sprawdzić, czy Anna śpi.

Zobaczył pusty materac.

W chacie jeszcze nikt się nie krzątał. Wiktor słyszał jedynie piejącego koguta. Wstał, szybko się ubrał i wyszedł.

Na dworze było zimno i cicho, jak to przed wschodem słońca. Na niebie bledły ostatnie gwiazdy. Dolinę, kilkaset metrów niżej, skrywała mgła. Tylko tutaj, blisko szczytu góry, nie mąciła czystego powietrza.

Początkowo Wiktor niczego złego nie przeczuwał. Wiedział, że Anna jest samodzielna i w górach radzi sobie jak on, a może nawet lepiej. Z pewnością głupio by nie ryzykowała. W każdym razie, według słów starca, droga nie nastrecza większych trudności. Wiktora jednak bolało, że żona wyruszyła sama. Nie dotrzymała słowa, choć mu przyrzekała, że zawsze będą się wspinać razem. Nie miał pojęcia, kiedy wyszła. Pozostawało mu tylko jak najszybciej za nią iść.

Wrócił do chaty po prowiant - Anna o tym nie pomyślała. Plecaki zostawił uważając, że można je zabrać w drodze powrotnej, a poza tym przypuszczalnie czekał ich tu jeszcze jeden nocleg.

Choć zachowywał się cicho, prawdopodobnie obudził gospodarza. Starzec bowiem nagle pojawił się w drzwiach i spostrzegłszy pusty materac Anny, badawczo spojrzął Wiktorowi w oczy, niemal z wyrzutem.

- Żona poszła przodem - odezwał się Wiktor. - Właśnie zamierzam ją dogonić.

Starcowi zrzedła mina. Wyszedł przed chatę i popatrzył w dal, na górę.

- Źle, że na to pozwoliłeś - rzekł. - Nie powinienes jej puścić.

Miał bardzo zmartwioną minę. Kręcił głową i mruzczał coś pod nosem.

- Nic się nie stało - powiedział Wiktor, kładąc mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić. - Zaraz ją dogonię. Koło południa wrócimy.

- Obawiam się, że nie zdążysz - odparł starzec. - Ona poszła do nich, a skoro tam dotrze, to już nie wróci.

Ponownie użył słowa *sacerdotesse*, a wyrażał się o ich mocy z takim lękiem i z takim przekonaniem, że jego niepokój udzielił się Wiktorowi, który nagle poczuł strach.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że na szczycie Monte Verita mieszkają ludzie i mogą Annę zaatakować, zrobić jej jakąś krzywdę?

Starzec zaczął bardzo szybko mówić, aż trudno było wyłowić sens z tego potoku słów.

- Nie, *sacerdotesse* nie zrobią jej krzywdy, bo nikogo nie krzywdzą, a tylko sprawią, że ona się do nich przyłączy. Anna chce tam iść i nie może się od tego powstrzymać, tak wielka jest ich moc. Jakies dwadzieścia, trzydzieści lat temu poszła do nich moja córka i już nigdy więcej jej nie zobaczyłem. *Sacerdotesse* wzywali też inne młode kobiety z naszej wsi i z tych położonych niżej, w dolinie, a kiedy zostały wezwane, musiały iść i nikt nie zdołał ich zatrzymać. Potem ani jednej nikt więcej nie ujrzał. Nigdy, przenigdy! To samo działo się w czasach mego ojca, dziada i pradiada, a nawet jeszcze dawniej. Nie wiadomo, kiedy *sacerdotesse* przybyli na Monte Verita. Żaden żyjący ich nie widział. Mieszkają tam, za murem, z tą swoją czarodziejską mocą. Jedni mówią, że ona pochodzi od Boga, inni zaś, że od Szatana, ale my tego nie wiemy. Ludzie powiadają, że *sacerdotesse* z Monte Verita nigdy się nie zestarzeją, że na zawsze pozostaną młodzi i piękni, że swoją moc czerpią z księżycy. To właśnie księżycowi oddają boską cześć, i słońcu.

Wiktor niewiele zrozumiał z tych chaotycznych słów. Uznał wszystko za legendę, przesady.

Starzec pokiwał głową i skierował wzrok tam, gdzie biegła droga prowadząca na szczyt.

- Wczoraj dostrzegłem to w oczach twojej żony - oznajmił. - Mia-

ła takie samo spojrzenie jak wszystkie tamte kobiety, kiedy zostały wezwane. Podobne spojrzenia widziałem u mojej córki i u wielu innych dziewcząt.

Tymczasem obudzili się pozostali członkowie rodziny i jeden za drugim weszli do izby. Chyba się domyślali, co się stało, bo patrzyli na Wiktora z troską i dziwnym współczuciem. Taka atmosfera bardziej go irytowała, niż trwożyła. Wszystko to przypominało mu opowieści o czarnych kotach, średniowiecznej magii i czarownicach latających na miotle.

Mgła w dolinie powoli znikwała. Niebo jaśniejące nad granią zapowiadało bliski wschód słońca.

Starzec powiedział coś młodszemu mężczyźnie i laską wskazał górę.

- Mój syn pokaże ci drogę - zwrócił się do Wiktora. - Pójdzie z tobą, ale tylko kawałek. Dalej nie chce.

Wiktor mi mówił, że odprowadzały go spojrzenia mieszkańców nie tylko pierwszej chaty. Cała wieś była już na nogach i czuł, że wszyscy na niego patrzą zza uchylonych okiennic i drzwi domostw. Zdjęci strachem, obserwowali go jak zafascynowani.

Przewodnik nawet nie próbował się odzywać. Zgarbiony szedł przodem, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wiktor wiedział, że wyruszył z nim tylko na rozkaz starca, swojego ojca.

Droga okazała się korytem wyschniętego strumienia, pełnym dziur i kamieni. Wiktor się zorientował, że w czasie jesiennych deszczów jest nie do przebycia, ale teraz, w pełni lata, szło się tamtędy dość łatwo. Po godzinie równego marszu, gdy karłowata, ciernista roślinność została daleko w tyle, ujrzał strzelisty szczyt góry, przypominający uniesione palce. Z doliny, a nawet z wioski, nie było widać, że jest rozdwojony - dwa wierzchołki wyglądały jak jeden.

Słońce już wzeszło i teraz, w jego pełnym blasku, południowo-wschodnia ściana góry przypominała koral. Wielkie ławice skłębiomych chmur kryły świat w dole. Nagle przewodnik Wiktora stanął i wskazał wijącą się, wąską grań, która skręcała na południe i ginęła w oddali.

- Monte Verita - rzekł. - Monte Verita - powtórzył i natychmiast pośpiesznie ruszył w dół tą samą drogą.

Wiktor za nim wołał, lecz mężczyzna nie reagował, nawet nie odwrócił głowy, i po chwili zniknął mu z oczu. W tej sytuacji mój przyjaciel musiał iść dalej sam wierząc, że kiedy dotrze do końca wąskiej grani, odnajdzie Annę.

Po półgodzinnym uciążliwym marszu bardzo się zaniepokoił, stanął bowiem przed niemal pionową ścianą. Wkrótce dalsza wspinaczka mogła okazać się niemożliwa.

- Wówczas spostrzegłem tunel - powiedział. - Kiedy z niego wyszedłem, zaledwie około stu metrów od szczytu, ujrzałem klasztor, zbudowany między dwoma wierzchołkami na zupełnie nagiej skale i otoczony wysokim kamiennym murem. Nad klasztorem tylko niebo i te dwa wierzchołki, a wokół trzystumetrowa przepaść.

A więc to prawda. Wiktor nie postradał zmysłów. Ten klasztor rzeczywiście istnieje. Nie doszło do żadnego wypadku. Historia z Anną nie jest fantazją zrodzoną z tragedii.

Kiedy tak wiele mi powiedział, niemal całkiem się uspokoił. Teraz bardziej przypominał dawnego Wiktora - ręce już mu się nie trzęsły, głos nabrał pewności.

- Klasztor musiał powstać przed wiekami. Bóg wie, jak długo trwała jego budowa. Nigdy nie widziałem niczego, co byłoby tak potężne i prymitywne, a jednocześnie dziwnie piękne. Zdawał się wisieć między górą a niebem. Zamiast okien miał długie, wąskie szczeliny. Od zachodu wznosiła się wieża. Całość, otoczona wysokim murem, przypominała fortecę nie do zdobycia. Nie zauważyłem żadnej bramy ani śladu życia. Nigdzie nie dostrzegłem ludzi. Stałem tam, wpatrując się w wąskie okna. Nic innego nie mogłem zrobić. Pozostawało mi tylko czekać, aż gdzieś ukaże się Anna, zrozumiałem bowiem, że ten starzec miał rację. Mieszkańcy klasztoru z pewnością zobaczyli Annę i natychmiast ją wezwali. Byłem przekonany, że jest u nich, że stoi za tym murem i wkrótce do mnie wyjdzie. Czekałem tam cały dzień...

Mówił ot tak, po prostu, jakby podawał suche fakty, związane z innym mężczyzną, czekającym na żonę, która w czasie wspólnych wakacji samotnie wybrała się rankiem z odwiedzinami do znajomych.

Wreszcie usiadł, potem coś zjadł i zaczął obserwować skłębione chmury - początkowo zasłaniały świat w dole, później się rozproszyły, a w końcu znowu nadpłynęły. Obserwował też, jak słońce, bardzo silne w środku lata, zalewa Monte Verita, wieżę, wąskie okna i wysoki mur, zza którego nie dochodziły żadne dźwięki.

- Siedziałem tam cały dzień, ale ona nie wyszła. Słońce oślepiało mnie i piekło, więc w poszukiwaniu schronienia musiałem wrócić do tunelu. Leżąc tam, w dalszym ciągu mogłem obserwować wieżę i wąskie okna. Obaj świetnie wiemy, jaka cisza panuje w górach, lecz nic nie dorówna tej, która zalegała pod wierzchołkami Monte Verita. Mijały



godziny, a ja ciągle czekałem. W końcu skwar zelżał, słońce chyliło się ku zachodowi. Coraz bardziej rósł mój niepokój, a czas, który przedtem mi się dłużył, teraz jakby się rozpędził. Wpadłem w panikę, podszedłem do muru i zacząłem wołać. Obmacywałem go, próbując znaleźć wejście, lecz wszystko na próżno. Tylko mój głos niósł się echem. Gdy spoglądałem w górę, widziałem jedynie puste szczeliny okien. Ponownie zwątpiłem w to, co powiedział mi starzec. Uznałem, że w tym klasztorze nikt nie mieszka od setek lat, że ludzie dawno go opuścili i że Anna w ogóle nigdy tu nie dotarła. Na pewno spadła w przepaść z tej wąskiej grani, gdzie zostawił mnie przewodnik. I taki sam los spotkał inne kobiety, które tamtędy szły: córkę starca, dziewczęta z doliny. Wszystkie zginęły w przepaści. Żadna z nich nie dotarła do klasztoru między dwoma wierzchołkami.

Wolałbym, żeby Wiktor opowiadał to niepewnym, urywanym głosem, a nie tak monotonnym, że przypominał tykanie zegara. Byłoby bardziej naturalne, gdyby nawet czasem krzyknął.

- Nie mogłem jednak wrócić bez Anny. Musiałem dalej na nią czekać. Tam, pod tym murem. Chmury zaczęły się podnosić i szarzeć. Pojawily się przedwieczne cienie, nazbyt dobrze mi znane. W pewnej chwili ścianę góry, mur i szczeliny okien oblało złote światło, a potem nagle słońce zniknęło. W ogóle nie było zmierzchu. Zrobiło się chłodno. Zapadła noc.

Pozostał tam do świtu. Nie spał. Dla rozgrzewki nieprzerwanie chodził w kółko. Rano, zziębnięty i odrętwiały, poczuł głód - wziął ze sobą prowiant tylko na jeden posiłek.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że to szaleństwo czekać przez kolejny dzień. Wiktor zrozumiał, że musi wrócić do wsi, by zaspokoić głód i pragnienie, a także, jeśli się uda, zwerbować ludzi do pomocy przy szukaniu ciała. Niechętnie opuścił szczyt, na którym wciąż panowała cisza. Teraz miał pewność, że za murem nikogo nie ma.

Granią dotarł do wyschniętego potoku i w porannej mgle zszedł do wioski.

Powiedział mi, że mieszkańcy, jakby spodziewając się jego powrotu, już nań czekali. Starzec z grupą sąsiadów, przeważnie mężczyzn i dzieci, stał przed chatą.

- Czy moja żona wróciła? - spytał Wiktor.

Schodząc ze szczytu, łudził się nadzieją, że Anna tylko poszła na spacer i jest już we wsi. Teraz jednak, gdy zobaczył miny mieszkańców, stracił tę nadzieję.

- Mówiłem ci, że nie wróci - odparł starzec. - Została u nich, na Monte Verita.

Wiktor miał dość rozumu, by nie wdawać się w dyskusję, póki nie poprosi o jedzenie i picie. Dali mu, o co prosił, a potem, stojąc z boku, patrzyli na niego ze współczuciem. Największe cierpienia sprawiał mu widok plecaka Anny, jej materaca, termosu, noża i innych osobistych rzeczy, których ze sobą nie zabrała.

Kiedy się najadł, oni wciąż stali czekając, aż się odezwie. Wówczas opowiedział wszystko starcowi - że na szczycie spędził dzień i noc, że nie widział śladu życia i że panowała tam absolutna cisza. Starzec przetłumaczył jego słowa sąsiadom, a potem rzekł:

- Stało się to, co mówiłem. Twoja żona tam jest. Z nimi.

- Jak ona może tam być?! - wykrzyknął zdenerwowany Wiktor. - Przecież w tym klasztorze nie ma żywej duszy! Jest zupełnie pusty, wymarły od wieków!

- On wcale nie jest wymarły - oznajmił starzec, kładąc dłoń na ramieniu Wiktora. - Przed tobą wielu tak twierdziło. Byli tam i czekali. Jak ty teraz i jak ja dwadzieścia pięć lat temu. Mój sąsiad, tu obecny, czekał przez trzy miesiące, dzień i noc, gdy wezwali jego żonę. Już nigdy jej nie zobaczył. Nie wraca żadna z tych, które wezwą na Monte Verita.

Wiktor jednak sądził, że Anna spadła w przepaść i zginęła. Z uporem im to powtarzał. W końcu zaczął ich błagać, by poszli z nim w góry i pomogli szukać jej ciała. Starzec lekko pokręcił głową.

- W przeszłości myśmy się również zachowywali w ten sposób - rzekł ze współczuciem. - Wśród nas są tacy, którzy świetnie potrafią się wspinać, znają góry jak swoje pięć palców, a nawet przechodzili na drugą stronę i dotarli do wielkiego lodowca, gdzie nikt by nie przeżył. Nie znaleźli żadnych ciał. Nasze kobiety nigdy nie spadły w przepaść. One są na Monte Verita, z *sacerdotesse*.

Wiktor doszedł do wniosku, że sprawa jest beznadziejna i że nie ma sensu ich przekonywać. Teraz nie pozostało mu nic innego, jak tylko szukać pomocy w dolinie, a jeśli tam nie zechcą jej udzielić, udać się jeszcze dalej, zdobyć jakiegoś przewodnika i z nim wrócić.

- Ciało mojej żony leży gdzieś w tych górach - oświadczył. - Ja muszę je odnaleźć. Jeśli twoi sąsiedzi mi nie pomogą, sprowadzę innych ludzi.

Starzec obejrzał się przez ramię i rzucił jakieś imię. Kiedy z niewielkiej grupki osób, stojących w milczeniu, wyszła dziewczynka w wieku około dziewięciu lat, położył dłonie na jej głowie.

- To dziecko widziało *sacerdotesse* i z nimi rozmawiało - zwrócił się do Wiktora. - Inne dzieci również ich widywały. Oni ukazują się tylko dzieciom, a i to rzadko. Ona ci opowie, co zobaczyła.

Dziewczynka zaczęła coś recytować cienkim, śpiewnym głosem, patrząc na Wiktora. Zorientował się, że tak wiele razy powtarzała swoją opowieść, aż wszystkiego wyuczyła się na pamięć i teraz deklamowała to jak lekcję. Oczywiście mówiła dialektem, więc nie zrozumiał ani słowa.

Kiedy skończyła, starzec wystąpił w roli tłumacza i z przyzwyczajenia także recytował, równie śpiewnym głosem.

- Byłam z koleżankami na Monte Verita. Nagle zerwała się burza i moje koleżanki uciekły. Zabłądziłam i doszłam do muru, za którym stał dom z takimi wąskimi oknami. Przestraszyłam się i zaczęłam płakać. Z muru wyszła wysoka kobieta, a z nią druga, też młoda i piękna. Pocieszały mnie. Chciałam z nimi tam wejść, kiedy usłyszałam śpiew na wieży, ale one powiedziały, że teraz mi nie wolno i że dopiero jak skończę trzynaście lat mogę wrócić i z nimi zamieszkać. Miały takie białe sukienki do kolan, gołe ręce i nogi, i krótkie włosy. Były piękniejsze niż ludzie na tym świecie. Odprowadziły mnie do drogi, którą znam. Potem odeszły. Opowiedziałam wszystko, co wiem.

Skończywszy tłumaczyć, starzec uważnie obserwował twarz Wiktora. Mojego przyjaciela zdumiała głęboka wiara, z jaką to dziecko wygłaszało swoje oświadczenie. Uznał, że dziewczynce na pewno się to przyśniło i wzięła sen za rzeczywistość.

- Przykro mi, ale nie mogę jej uwierzyć - rzekł. - To czysta imagi-nacja.

Starzec znów wywołał dziewczynkę i coś jej powiedział, a wtedy ona wybiegła z chaty.

- Tam, na Monte Verita, dostała od nich naszyjnik z kamiennych paciorków - wyjaśnił Wiktorowi. - Jej rodzice trzymają go pod kluczem, uważając za amulet. Zaraz go przyniesie, żeby ci pokazać.

Istotnie wkrótce wróciła i podała Wiktorowi tak krótki sznur kamiennych koralii, że osoba o szczupłym przegubie mogłaby go nosić jak bransoletkę. Kamyki, prawdopodobnie kwarcowe, ręcznie cięte i dopasowane do siebie, prezentowały się bardzo ładnie, nawet wytwornie. Nie wyglądały na robotę wiejskiego rzemieślnika, który w zimowe wieczory coś sobie dłubie dla zabicia czasu.

- Mogła go znaleźć na zboczach góry - odezwał się Wiktor, zwracając dziewczynce naszyjnik.

- My takich rzeczy nie robimy - oświadczył starzec. - Ludzie w dolinie także nie, ani w miastach, w których bywałem. Dziewczynka mówi, że dostała to od mieszkanki Monte Verita.

Wiktor zdawał sobie sprawę, że dalsza dyskusja jest bezcelowa. Wieśniacy okazali się zbyt uparci i na wszystko mieli argumenty, wynikające z zabobonów i kłójące się ze zdrowym rozsądkiem. Mój przyjaciel zapytał, czy może jeszcze raz przenocować.

- Jesteś tu mile widziany do czasu, gdy poznasz prawdę - odparł starzec.

Jego sąsiedzi kolejno się rozeszli i wrócili do spokojnych, codziennych zajęć, jakby nic się nie zdarzyło. Wiktor znowu wybrał się na wspinaczkę, tym razem od północnej strony góry. W pewnym momencie stwierdził, że dalsza droga jest niemożliwa, przynajmniej w pojedynkę i bez odpowiedniego sprzętu. Gdyby Anna poszła tamtędy, niechybnie by zginęła.

Wrócił do wioski, która już znalazła się w cieniu, jako że leżała na wschodnim stoku. W izbie czekał przygotowany posiłek i materac przy kominku.

Wiktor był zbyt wyczerpany, żeby jeść. Rzucił się na pościele i zasnął. Rano wczesnie wstał i jeszcze raz ruszył na szczyt Monte Verita, gdzie w skwarze przesiedział cały dzień, obserwując szczeliny okien klasztoru. W ciągu tych długich godzin, aż do zachodu słońca, nikt się nie ukazał i zza muru nie dochodziły żadne dźwięki.

Mój przyjaciel pomyślał o tym wieśniaku, który przed laty daremnie czekał tu trzy miesiące, dzień i noc. Zaczął się zastanawiać, jak długo sam wytrwa i czy jego czekanie okaże się równie bezowocne.

Trzeciego dnia, w samo południe, gdy słońce najmocniej piecze, już nie mógł znieść upału i położył się w zbawiennym cieniu skalnego tunelu. Znużony nieustannym obserwowaniem i rozpaczą, wkrótce zasnął.

Nagle gwałtownie się ocknął. Zegarek wskazywał piątą. Ochłodziło się. Wiktor wyszedł z tunelu i spojrzał na ścianę góry, teraz złocistą w promieniach zachodzącego słońca. I wówczas zobaczył Annę. Stała poza obrębem muru, na wąziutkiej półce skalnej, nad co najmniej trzystumetrową przepaścią.

Patrzyła w jego stronę. Popędził ku niej.

- Anno! Anno! - wołał z łkaniem.

Powiedział mi, że omal serce mu nie pękło. Kiedy bowiem podbiegł bliżej, okazało się, że choć była w odległości zaledwie czterech metrów, nie mógł się do niej dostać - dzieliła ich głęboka otchłań.

- Stałem tam, nie odrywając od Anny wzroku - ciągnął. - Milczałem, jakby mi odebrało głos. Czułem, że po twarzy spływają mi łzy. Widzisz, przedtem sądziłem, że Anna spadła w przepaść i zginęła, a zobaczyłem ją żywą. Zwykłe słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Pragnąłem zapytać: „Co się stało? Gdzie byłaś?”, lecz to nie miało sensu. W pewnym momencie bowiem zrozumiałem z przerażającą jasnością, że starzec powiedział prawdę i że dziewczynka nie fantazjowała. Choć nie widziałem nikogo prócz Anny, cały klasztor nagle zaroił się ludźmi. Wyczuwałem ich obecność za murem. Tylko Bóg wie, ile oczu obserwowało mnie z wąskich okien. To było niesamowite, przerażające i takie rzeczywiste.

Wiktor znowu mówił z trudem, wróciło drżenie rąk. Sięgnął po szklankę i łąpczywie napił się wody.

- Anna nie miała na sobie własnego ubrania, lecz coś w rodzaju koszuli do kolan, przypominającej tunikę i przewiązanej w pasie sznurkiem kamiennych koralów, podobnym do tego, który pokazała mi dziewczynka. Stała boso, z gołymi ramionami. Najbardziej przerażyły mnie jej obcięte włosy, tak krótkie jak twoje czy moje. To ją dziwnie zmieniło. Wyglądała młodziej, a jednocześnie znacznie poważniej. Wreszcie się do mnie odezwała, całkiem naturalnie, jakby nic się nie stało: „Wiktorze, pragnę, byś wrócił do domu, kochanie. Już więcej nie wolno ci się o mnie martwić”.

Początkowo nie wierzył własnym uszom. Wszystko to przypominało mu seanse spirytystyczne, w czasie których media mówią nie swoim głosem. Nie wiedział, jak zareagować. Myślał, że ktoś Annę zahipnotyzował i kazał jej to powiedzieć.

- Dlaczego każesz mi wrócić do domu? - spytał bardzo łagodnym tonem w obawie, że mógłby ją urazić, jeśli ci ludzie zniszczyli jej osobowość.

- Nie masz innego wyjścia - odparła i uśmiechnęła się z zadowoleniem, całkiem normalnie, jakby rozmawiali o planach na przyszłość. - Nic mi się nie stało, kochanie. Wcale nie zwariowałam ani nie jestem zahipnotyzowana, choć tak ci się wydaje. Wieśniacy cię nastraszyli, ale trudno się dziwić. To coś jest o wiele silniejsze od ludzi. Zawsze musiałam podświadomie wiedzieć, że gdzieś istnieje, i czekałam na to tyle lat. Kiedy mężczyźni lub kobiety idą do klasztoru, ich bliscy bardzo cierpią, wiem, lecz z czasem jakoś to znoszą. Pragnę, Wiktorze, byś ty też się z tym pogodził, kochanie. Proszę, zrozum, jeśli tylko potrafisz.

Stała spokojnie, uśmiechając się do niego.

- Czy to znaczy, że chcesz tu zostać na zawsze? - spytał.

- Tak. Dla mnie już nie ma innego życia. Musisz uwierzyć, że to prawda. Chcę, byś wrócił do domu, i żył jak dawniej, doglądał gospodarstwa, a jeśli się zakochasz w jakiejś innej kobiecie, ożeń się z nią i bądź szczęśliwy. Dziękuję ci za twoją miłość, serdeczność i oddanie, których nigdy nie zapomnę. Gdybym zginęła, wówczas ty byś pragnął, abym znalazła spokój w raju. Tutaj jestem jak w raju. I wolałabym raczej skoczyć w tę głęboką przepaść, niż z Monte Verita wrócić do świata.

Wiktor patrzył na żonę, kiedy to mówiła, i stwierdził, że jeszcze nigdy tak nie promieniała, nawet w ich najszczęśliwszych chwilach.

- Obaj czytaliśmy w Biblii o przeistoczeniu - rzekł do mnie. - To jedyne słowo, jakie się nadaje do opisanego wyrazu twarzy Anny. Nie widziałem w niej hysterii ani emocji, lecz właśnie to. Coś nie z tego świata położyło rękę na mojej żonie. Błagania nie odniosłyby skutku, a użycie siły było niemożliwe. Anna wolałaby skoczyć w przepaść, niż wrócić. Niczego bym nie osiągnął.

Poczuł się całkowicie bezradny, przytłaczała go świadomość, że nie może zrobić. Zupełnie jakby stał na nabrzeżu w porcie, Anna zaś na pokładzie statku, który wkrótce odpłynie w nieznaną.

Spytał ją, czy nie cierpi na brak żywności, pościeli lub lekarstw, bo jeśli tak, mógłby jej coś przysłać. Z uśmiechem odpowiedziała, że w klasztorze ma wszystko, czego potrzebuje.

- Zamierzam przyjeżdżać tu co rok, o tej porze, i prosić, byś wróciła.

- Tak tylko będzie ci trudniej, jakbyś nosił kwiaty na grób. Lepiej nie wracaj.

- Nie mogę nie wracać wiedząc, że jesteś za tym murem.

- Już więcej ci się nie ukazę. Widzisz mnie po raz ostatni, ale zawsze będę wyglądała jak teraz. Taką mnie zapamiętaj.

Po tych słowach kazała mu odejść. Powiedziała, że dopóki on tego nie zrobi, jej nie wolno przekroczyć muru.

Wiktor długo patrzył na Annę, która znalazła się w cieniu, słońce bowiem opadło nad horyzont. W końcu odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za siebie. Kiedy dotarł do tunelu, przystanął i jeszcze raz spojrzął na szczyt. Na skalnej półce już nie było Anny. Widział tylko ścianę góry, mur, wąskie szczeliny okien, a wyżej, wciąż jeszcze w słońcu, dwa wierzchołki Monte Verita.

Codziennie udawało mi się wykroić pół godziny na to, by odwiedzić przyjaciela w lecznicy. Z każdym dniem wyglądał lepiej i coraz bardziej przypominał dawnego Wiktora. Rozmawiałem z jego lekarzem, siostrą przełożoną i pielęgniarkami. Wszyscy twierdzili, że w żadnym wypadku nie może być mowy o chorobie umysłowej - znalazł się tam z powodu szoku i załamania nerwowego. Moje wizyty i rozmowy z nim miały zbawienny wpływ. Po dwóch tygodniach poczuł się na tyle dobrze, by opuścić szpital i przenieść się do mnie.

W długie zimowe wieczory nieustannie wracaliśmy do tamtych wydarzeń. Teraz wypytywałem go bardziej szczegółowo niż przedtem. Powiedział, że w zachowaniu Anny nie spostrzegł nic niezwykłego. Ich małżeństwo było normalne i szczęśliwe. Przyznał jednak, że jej spartański styl życia i niechęć do posiadania czegokolwiek nieco go dziwiły, lecz nie widział w tym nic szczególnego - po prostu Anna miała taki charakter. Kiedy mu opowiedziałem, jak w nocy zobaczyłem ją w ogrodzie, stojącą boso na oszronionym trawniku, spokojnie potwierdził, że owszem, takie rzeczy się zdarzały, ale uważał je za dziwactwa bez znaczenia. Nigdy się do tego nie wtrącał.

Spytałem, co wie o jej życiu przed ślubem. Odparł, że niewiele. W dzieciństwie straciła rodziców i wtedy wzięła ją na wychowanie ciotka, mieszkająca w Walii. Przeszłość Anny nie kryła żadnych tajemnic. Była zwyczajna pod każdym względem.

- Szkoda zachodu - rzekł Wiktor. - Nie da się rozgryźć Anny. Po prostu jest wyjątkowa. Nie wiadomo dlaczego, tak jak nie wiadomo, dlaczego w przeciętnej rodzinie nagle przychodzi na świat muzyk, poeta czy święty. Nie można tego wytłumaczyć. Oni najzwyczajniej tacy się rodzą. Chwalić Boga, miałem wielkie szczęście, że spotkałem Annę, choć teraz ją straciłem i przez to piekielnie cierpię. Cóż, jakoś trzeba dalej żyć, zgodnie z jej życzeniem, ale raz do roku będę wracał na Monte Verita.

Zdumiewające, że Wiktor tak spokojnie podchodził do swojego złamanego życia. Ja bym nie zdołał pokonać rozpacz, gdyby mnie spotkała podobna tragedia. Wydawało mi się to potworne, że jakaś sekta, mieszkająca na zboczach góry, w ciągu kilku dni zdobyła władzę nad inteligentną kobietą o silnej osobowości. Rozumiałem jednak, że można otumanić ciemną, wiejską dziewczynkę i że jej rodzina, zaślepiona przesądami, w ogóle na to nie reaguje. Rozmawiałem o tym z Wiktorem. Powiedziałem mu, że prawdopodobnie udałoby się coś załatwić kanałami dyplomatycznymi i nasza ambasada zwróci się do rządu

tamtego kraju, by przeprowadził śledztwo. Można też napuścić prasę i zdobyć poparcie naszego rządu. Dodałem, że sam jestem gotów się tym zająć, że żyjemy w dwudziestym wieku, a nie w średniowieczu, i taki klasztor na Monte Verita nie powinien istnieć, że nadam sprawie rozgłos w kraju i za granicą.

- Ale po co? W jakim celu? - spokojnie zapytał Wiktor.

- Po to, by uwolnić Annę i resztę kobiet, a także uniemożliwić łamanie życia innym ludziom.

- Przecież nie będziemy burzyć klasztorów i likwidować zakonów. Jest ich mnóstwo na całym świecie.

- To co innego - argumentowałem. - Nie chodzi o takie, które są związane z religią i istnieją od wieków.

- Sądzę, że również ten na Monte Verita jest związany z religią i istnieje od wieków.

- Ale czy wiesz, jak one żyją, co jedzą i co się z nimi dzieje w czasie choroby albo po śmierci?

- Nie, nie wiem. Staram się o tym nie myśleć. Kieruję się jedynie słowami Anny, a ona twierdzi, że znalazła to, czego szukała, i że jest szczęśliwa. Nie mam zamiaru niszczyć jej szczęścia. - Rzucił mi mądre, nieco zagadkowe spojrzenie i dodał: - Dziwne, że akurat ty mówisz w ten sposób, bo w gruncie rzeczy powinieneś ją rozumieć lepiej niż ja. Przecież to zawsze ciebie ogarniała gorączka górską. W czasie wspinaczki to ty wpadałeś w poetycki nastrój i recytowałeś mi wiersze.

Pamiętam, że wówczas wstałem, podszedłem do okna i w milczeniu patrzyłem w dal, na zamglony brzeg rzeki. Bardzo poruszyły mnie te słowa. Nie potrafiłem na nie odpowiedzieć. Wiedziałem jednak, dlaczego nienawidziłem klasztoru na Monte Verita i co sprawiło, że chciałem go zniszczyć. Po prostu Anna znalazła swoją Prawdę, ja zaś nie...

Ta rozmowa, choć być może nie nadwreżyła naszej przyjaźni, to w każdym razie stała się punktem zwrotnym. Obaj mieliśmy za sobą połowę życia. Wiktor wrócił do swojego domu w Shropshire. Wkrótce do mnie napisał, że zamierza przekazać posiadłość bratankowi, wówczas chodzącemu do szkoły, i przez kilka lat pragnie zapraszać go do siebie na wakacje, by mu wszystko pokazać. Co potem, jeszcze nie wiedział. Nie chciał robić żadnych planów. Jeśli o mnie chodzi, w owym czasie zapowiadały się wielkie zmiany. Interesy wymagały, bym na dwa lata zamieszkał w Ameryce.



Później się okazało, że nagle świat ruszył innym torem. Nadszedł rok 1914.

Wiktor zgłosił się do wojska jako jeden z pierwszych ochotników. Pewnie myślał, że to dla niego jest rozwiązanie, a może liczył, że zginie. Ja poszedłem za jego przykładem dopiero po powrocie z Ameryki. Z pewnością dla mnie to nie było rozwiązanie, bo znenawidziłem każdą chwilę mojej służby. Wiktora nie widziałem przez całą wojnę - walczylśmy na innych frontach i nawet w czasie urlopów nie mogliśmy się spotkać. Niemniej otrzymałem od niego wiadomość - jeden raz. Oto, co napisał:

*Mimo wszystko jakoś mi się udawało co rok dotrzeć na Monte Verita, zgodnie z obietnicą. Spędzałem noc we wsi, u tego starca, i rano wchodziłem na szczyt. Nic się tam nie zmieniło. Dalej pusto i zupełnie cicho. Pod murem kładłem list do Anny, a potem siedziałem cały dzień, patrząc na klasztor i czując, że ona jest niedaleko. Wiedziałem, że mi się nie ukaże. Następnego dnia wracałem, by z ogromną radością znaleźć jej list, jeśli w ogóle można to nazwać listem. Był wydrapany na płaskim kamieniu - moim zdaniem oni właśnie tak komunikują się ze światem. Anna zawiadamiała mnie, że czuje się dobrze, że jest silna i bardzo szczęśliwa. Przesyłała mi pozdrowienia, także dla Ciebie. I tyle. Przypominało to sposób, w jaki zmarli przekazują wiadomości podczas seansów spirytystycznych, o czym już Ci mówiłem w lecznicy. Owe listy muszą mi wystarczyć, i rzeczywiście wystarczają. Po wojnie, jeżeli przeżyję, chyba zamieszkać gdzieś w tamtym kraju, żeby być bliżej Anny, nawet gdybym już nigdy więcej jej nie zobaczył i jedynie raz do roku otrzymywał tylko te kilka słów, wykrobanych na kamieniu.*

*Życzę Ci powodzenia, stary druhu. Ciekawe, gdzie jesteś.*

*Wiktor*

Kiedy wojna się skończyła i nastąpiła demobilizacja, chciałem jak najszybciej wrócić do normalnego życia. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłem, było wysłanie listu do Shropshire, by się dowiedzieć, co z Wiktorem. Otrzymałem uprzejmą odpowiedź od jego bratanka. Pisał, że przejął dom wraz z majątkiem, że Wiktor został lekko ranny i jest za granicą, we Włoszech lub Hiszpanii - bratanek dokładnie tego nie wiedział. Jego zdaniem stryj wyprowadził się z Anglii na zawsze. Jeśli tylko czegoś się o nim dowie, natychmiast mnie zawiadomi. Potem nie dostałem już żadnych wiadomości. Jeśli o mnie chodzi, nie

podobał mi się powojenny Londyn i ludzie, którzy tam mieszkali, więc ja też postanowiłem zerwać z krajem i pojechałem do Ameryki.

Nie widziałem Wiktora prawie dwadzieścia lat.

To nie przypadek ponownie nas zetknął. Jestem tego pewien. Takie rzeczy wynikają z przeznaczenia. Uważam, że życie człowieka przypomina talię kart. Jesteśmy w niej przemieszani z tymi, których spotykamy i czasem Kochamy. Rozpoczęta gra musi się kiedyś skończyć, a karty wyciąga Los.

Nieważne, jaki splot wydarzeń sprawił, że w wieku pięćdziesięciu pięciu lat ponownie trafiłem do Europy kilkanaście miesięcy przed drugą wojną światową. Po prostu tak się złożyło. Kiedy leciałem samolotem między stolicami dwóch krajów ich nazwy są tu nieistotne - doszło do przymusowego lądowania w górach, na zupełnym odludziu. Szczęśliwie nikt nie zginął. Przez dwie doby ani załoga, ani pasażerowie nie mieli kontaktu ze światem. Obozowaliśmy w częściowo uszkodzonej maszynie, czekając na ratunek. Nasza przygoda znalazła się na pierwszych stronach gazet i przez kilka dni budziła większe zainteresowanie niż napięta sytuacja w Europie.

Życie we wraku w ciągu tych czterdziestu ośmiu godzin okazało się niezbyt uciążliwe. Na szczęście wśród pasażerów nie było kobiet i dzieci, wobec czego mężczyźni, nadrabiając miną, spokojnie czekali na pomoc. Ufaliśmy, że wkrótce nadejdzie. Radiostacja samolotu działała do chwili przymusowego lądowania i załoga zdążyła podać naszą pozycję. Należało tylko cierpliwie czekać i trzymać się ciepło.

Jeśli chodzi o mnie, już załatwiłem swoje sprawy w Europie, a interesy w Stanach nie wymagały mojego natychmiastowego powrotu, więc mi nie przeszkadzało, że nagle znalazłem się w górach, które przed laty były moją największą pasją. Stałem się mieszcuchem, istotą przywykłą do wygody. Tempo amerykańskiego życia, pośpiech i energia Nowego Świata złożyły się na to, że zapomniałem o więzach z przeszłością, które wciąż mnie z nią łączyły.

Teraz, rozglądając się dokoła i widząc wspaniałą przyrodę, uświadomiłem sobie, czego mi brakowało przez tyle lat. Całkiem zapomniałem o współpasażerach, o szarym kadłubie uszkodzonego samolotu - nieprzyjemnie kontrastującym z odwieczną dziczą - a także o moich siwych włosach, nadwadze i balaście pięćdziesięciu pięciu lat. Znowu poczułem się jak młody chłopak, pełen zapału i nadziei,

szukający na górskich szczytach odpowiedzi na pytanie o istotę wieczności. Stałem tak w miejskim ubraniu i wtedy ogarnęła mnie dawna gorączka.

Miałem ochotę uciec od wraku samolotu i widoku ściągniętych twarzy moich towarzyszy, chciałem zapomnieć o zmarnowanych latach. Wiele bym dał za odzyskanie młodości, za to, żebym znowu mógł wyruszyć w góry, jak niegdyś, i nie bacząc na niebezpieczeństwo, wspinać się na szczyty w poszukiwaniu piękna. Wiedziałem, że tam wysoko powietrze jest chłodne i rześkie, cisza głęboka, słońce ostre, a lód dziwnie pali. Pragnąłem zacisnąć dłonie na linie i jeszcze choć raz przeżyć tę chwilę, gdy człowiekowi na moment zamiera serce, kiedy stopa ześlizguje się z wąskiej półki i gorączkowo szuka oparcia.

Patrząc na ukochane góry, czułem się jak zdrajca. Zdradziłem je z niskich pobudek - by mieć wygodę, spokój i bezpieczeństwo. Uznałem, że kiedy nadejdzie pomoc, muszę nadrobić stracony czas. Żadne pilne sprawy nie wzywały mnie do Ameryki, więc postanowiłem zorganizować sobie tutaj urlop. Kupię odpowiednie ubranie, sprzęt i wyruszę na wspinaczkę. Kiedy już powziąłem tę decyzję, zrobiło mi się lekko na duszy, jakby wszystko inne przestało się liczyć. Wróciwszy do moich towarzyszy niedoli, którzy znaleźli schronienie w pobliżu wraku, do końca oczekiwania śmiałem się i żartowałem.

Pomoc dotarła do nas drugiego dnia. O świcie ujrzeliśmy nisko lecący samolot, co nas upewniło, że zostaniemy uratowani. Zespół poszukiwaczy składał się z prawdziwych górali i przewodników - ludzi prostych, ale sympatycznych. Dostarczyli nam odzież, żywność i sprzęt. Nie mogli się nadziwić, że jesteśmy w dobrej kondycji - nie sądzili, że zastaną kogokolwiek przy życiu.

Etapami sprowadzili nas w dolinę, gdzieśmy się znaleźli dopiero następnego dnia. Noc spędziliśmy na północnym stoku wielkiego pasma gór, które z miejsca katastrofy wydawały się nam dalekie i niedostępne. O świcie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Dzień był piękny i przed naszymi oczami roztaczał się wspaniały widok na całą dolinę. Od wschodu widzieliśmy ścianę - według mojej oceny, całkowicie nie do pokonania. Wznosiła się pionowo, aż do białej czapy śniegu na szczycie, a raczej dwóch szczytach, przypominających kostki zaciśniętej pięści.

- W młodości sporo się wspinałem - rzekłem do kierownika wyprawy ratunkowej, kiedy zaczęliśmy schodzić. - W ogóle nie znam tej okolicy. Czy przyjeżdża tu dużo alpinistów?

Pokręcił głową i odparł, że brak odpowiednich warunków, bo ciemni i zacofani mieszkańcy doliny po stronie wschodniej nie lubią obcych i nie zależy im na turystach, ale gdybym chciał się powspinać, może mnie zaprowadzić gdzie indziej, a tam znajdę wszystko, co trzeba. Uważał jednak, że jest trochę za późno na takie wyprawy z powodu niesprzyjającej pory roku. Niemniej ciągle zerkałem na owo pasmo górskie, dalekie i dziwnie piękne.

- Jak się nazywa ta góra z dwoma szczytami? - zapytałem.
- Monte Verita - padła odpowiedź.

Już wiedziałem, co mnie ściągnęło z powrotem do Europy.

Rozstaliśmy się w niewielkim miasteczku, jakieś trzydzieści kilometrów od miejsca, w którym rozbił się samolot. Jego niefortunnych pasażerów przetransportowano do najbliższej linii kolejowej, a dalej pociągiem do cywilizowanego świata. Ja zatrzymałem się w miasteczku i wynająłem pokój w małym hoteliku, gdzie zostawiłem bagaże. Następnie kupiłem sobie mocne buty, spodnie, ciepłą kurtkę i kilka koszul, po czym od razu wybrałem się w góry.

Choć potwierdziły się słowa przewodnika i pora roku rzeczywiście nie sprzyjała takim wyprawom, w ogóle mi to nie przeszkadzało. Najważniejsze, że byłem w górach. Już prawie zapomniałem, jak kojąca jest samotność. Nogi odzyskiwały dawną siłę. Całym ciałem wchłaniając zimne powietrze, miałem ochotę krzyczeć z rozkoszy, mimo mojego wieku. Nie było tam zgiełku ulic, tłumów ludzi, neonów i świateł, mdlących wyziewów miasta. Chyba oszalałem, że znosiłem to wszystko tak długo.

W radosnym nastroju dotarłem do doliny leżącej u podnóża Monte Verita. Chyba niewiele się tam zmieniło w porównaniu z tym, co przed wielu laty opisał mi Wiktor. Miasteczko okazało się małe i zwyczajne, ludzie ponurzy i apatyczni. Był tam niewielki zajazd, który trudno nazwać hotelem, i w nim postanowiłem zanocewać.

Przyjęto mnie obojętnie, lecz uprzejmie. Po kolacji w kawiarni, gdzie byłem jedynym gościem, spytałem barmana - kawiarnia i bar znajdowały się bowiem w jednym pomieszczeniu - czy droga na szczyt Monte Verita jest możliwa do przebycia. Sącząc wino, które mu postawiłem, spojrzął na mnie bez szczególnego zainteresowania i odparł:

- Chyba tak, przynajmniej do wsi, a czy dalej, to nie mam pojęcia.
- Często ludzie ze wsi zaglądają do was albo wy do nich?
- Owszem, czasami, ale nie o tej porze roku.
- Przyjeżdżają tutaj turyści?

- Oni jeżdżą na północną stronę. Tam mają lepiej.
- Czy we wsi można gdzieś przenocować?
- Nie wiem.

W milczeniu obserwowałem ponurą twarz barmana.

- Czy *sacerdotesse* wciąż mieszkają na tej ścianie pod szytym Monte Verita? - spytałem po chwili milczenia.

Gwałtownie drgnął. Spojrzał na mnie wytrzeszczonymi oczami i pochylił się nad kontuarem.

- Kim pan jest? Co pan o nich wie?
- Czy oni jeszcze tam są?

Przyglądał mi się podejrzliwie. W ciągu minionych dwudziestu lat wiele się działo w tym kraju. Prawdopodobnie przemoc, rewolucja i bratobójcze walki nie ominęły nawet takiego zakątka na odludziu. Być może właśnie to było powodem rezerwy barmana.

- Ludzie coś gadają - odpowiedział z wolna. - Lepiej się do tego nie mieszać. To niebezpieczne sprawy. Kiedyś wynikną z tego kłopoty.

- Kłopoty? Dla kogo?

- Dla tych w wiosce, dla tych, co mieszkają na Monte Verita, choć nic o nich nie wiem, i dla nas, tu, w dolinie. Ponieważ o nich nie wiem, nic mi się nie stanie.

Dopił wino, umył kieliszek i zaczął wycierać bar. Najwyraźniej chciał się mnie pozbyć.

- Na którą pan sobie życzy śniadanie? - zapytał.

Powiedziałem, że na siódmą, i udałem się do swojego pokoju na piętrze.

Otworzywszy podwójne oszklone drzwi, wyszedłem na wąski balkon. W miasteczku panowała cisza. W mroku migało kilka świateł. Noc była jasna i zimna. Księżyc już wzeszedł - za dzień lub dwa znajdzie się w pełni. W jego blasku zobaczyłem ciemną bryłę góry. Ten widok dziwnie mnie wzruszył, jakbym cofnął się w przeszłość. Pokój, gdzie miałem spędzić noc, mógł być tym samym, w którym Wiktor spał z Anną latem 1913 roku. Ona mogła stać tutaj, na balkonie, spoglądając na Monte Verita, a Wiktor ją zawołał, nieświadom bliskiej tragedii.

Teraz, ich śladem, ja tutaj przybyłem.

Rano zjadłem śniadanie w kawiarni-barze, ale nie obsługiwał mnie, jak poprzedniego dnia, właściciel zajazdu. Kawę i chleb przyniosła mi jakaś dziewczyna, prawdopodobnie jego córka. Cicha i grzeczna, życzyła mi przyjemnego dnia.

- Akurat wybieram się na wspinaczkę i mam ładną pogodę - odparłem. - Powiedz mi, czy kiedykolwiek wchodziłaś na Monte Verita? Natychmiast uciekła ze wzrokiem.

- Nie, nigdy nie ruszałam się z doliny.

Udałem, że nie zauważyłem jej reakcji. Swobodnym tonem napomknąłem, że jakiś czas temu - nie powiedziałem kiedy - moi znajomi weszli na szczyt góry, zobaczyli ścianę skalną, a nad nią, między dwoma wierzchołkami, jakiś klasztor i bardzo się zainteresowali sekta, która go zajmowała.

- Czy ta sekta jeszcze tam jest? - spytałem i zapaliłem papierosa, siłując się na obojętność.

Dziewczyna nerwowo obejrzała się za siebie, jakby w obawie, że ktoś podsłuchuje.

- Ludzie tak mówią - odpowiedziała. - Ojciec ze mną o tym nie rozmawia. To zakazany temat dla młodzieży.

Pociągnąłem papierosa.

- Tam, gdzie mieszkam, w Ameryce, jak wszędzie, na całym świecie, kiedy młodzi ludzie są w swoim towarzystwie, rozmawiają wyłącznie o zakazanych sprawach.

Uśmiechnęła się blado, lecz milczała.

- Ośmielam się twierdzić, że ty i twoje przyjaciółki często szepczecie o tym, co się dzieje na Monte Verita.

Trochę się wstydziłem swojego dwulicowego postępowania, lecz sądziłem, że tylko w ten sposób uda mi się zdobyć jakieś informacje.

- Tak, to prawda - przyznała - ale nie rozmawiamy o tym głośno. Ostatnio... - Znowu się obejrzała, a potem dokończyła przyciszonym głosem: - Jedna dziewczyna, którą dość dobrze znam, miała wkrótce wziąć ślub, tylko że pewnego dnia wyszła z domu i nie wróciła. Ludzie powiadają, że jest na Monte Verita.

- Nikt nie widział, jak odchodziła?

- Nie. Odeszła nocą. Nie zostawiła żadnej wiadomości. W ogóle nic.

- A może jest w zupełnie innym miejscu, w dużym mieście, w jakimś ośrodku turystycznym?

- Ludzie uważają, że nie. Poza tym przed zniknięciem dziwnie się zachowywała. Podobno przez sen mówiła o Monte Verita.

Odczekałem trochę i znów ją zagadnąłem, niby mimochodem.

- Co na tej górze jest takie fascynujące? Życie tam musi być trudne do zniesienia, wręcz okropne.

- Nie dla tych, które są wzywane - odparła, kręcąc głową. - One na zawsze pozostaną młode, nigdy się nie zestarzeją.

- Skąd wiesz, skoro jeszcze nikt ich nie widział?

- Zawsze tak się mówiło. Każdy w to wierzy. Dlatego tu, w dolinie, tak ich nienawidzą, boją się ich, a także im zazdroszczą. Tam, na Monte Verita, znają tajemnicę życia.

Przez okno spojrzała na górę. W jej oczach dostrzegłem rozmarzenie.

- A ty? - spytałem. - Jak myślisz, zostaniesz wezwana?

- Nie jestem tego warta, ale obawiam się, że tak.

Zabrała dzbanek z kawą i podała owoce.

- Teraz, przez to ostatnie zniknięcie, prawdopodobnie będą kłopoty - odezwała się po chwili przyciszonym głosem. - Ludzie w dolinie są wściekli. Kilku mężczyzn poszło do wioski podburzać tamtych. Chcą zaatakować klasztor i pozabijać jego mieszkańców. Potem będą jeszcze większe kłopoty, bo przyjedzie wojsko no i zaczną się szukanie winnych, karamie, strzelanina. To wszystko źle się skończy. Dlatego teraz jest tak nieprzyjemnie. Każdy się boi. Ludzie tylko szepczą po kątach.

Zbliżające się kroki sprawiły, że dziewczyna popędziła za bar. Z pochyloną głową udawała, że jest czymś zajęta, kiedy wszedł jej ojciec.

Obrzucił nas oboje podejrzliwym spojrzeniem. Zgasiwszy papierosa, wstałem od stołu.

- A więc dalej zamierza pan się wspinać? - zapytał mnie właściciel zajazdu.

- Tak. Wrócę za dzień, dwa.

- Później byłoby nieroztropnie.

- Sądzi pan, że pogoda się załamie?

- Pogoda? Tak. To też, ale poza tym może być niebezpiecznie.

- W jakim sensie?

- Możliwe są zamieszki. Obecnie jest tak niespokojnie. Mężczyźni są nie w humorze, a kiedy tracą humor, tracą również głowę. Wówczas obcym i cudzoziemcom może się stać coś złego. Lepiej niech pan zrezygnuje ze wspinaczki na Monte Verita i wybierze się na północ. Tam nic nie grozi.

- Bardzo dziękuję, ale już postanowiłem iść na Monte Verita.

Wzruszył ramionami.

- Jak pan chce - mruknął nie patrząc mi w oczy. - W końcu to nie moja sprawa.

Po wyjściu z zajazdu ruszyłem ulicą do mostka nad górskim strumieniem i na drugim brzegu znalazłem się na szlaku, który biegi w stronę wschodniej ściany Monte Verita.

Początkowo wyraźnie rozróżniałem odgłosy dochodzące z doliny: szczekanie psów, brzęk krowich dzwonek i okrzyki nawołujących się ludzi, a później już nic nie słyszałem. Wstążki dymu z kominów zwały się w błękitną mgiełkę, domy wyglądały jak zabawki. Kręty szlak wił się coraz wyżej i do południa straciłem z oczu dolinę. Parłem naprzód, myśląc wyłącznie o pokonywaniu drogi. Wspiąłem się na pierwszą grań, potem na drugą i natychmiast o obu zapomniałem, wchodząc na trzecią, bardziej stromą i leżącą w cieniu. Nie wytrenowane mięśnie i przeciwny wiatr opóźniały marsz, lecz rozpieszczała mnie radość i nie czułem zmęczenia, a raczej odwrotnie - mógłbym tak iść bez końca.

Nagle ze zdumieniem ujrzałem wioskę, sądziłem bowiem, że jeszcze dzieli mnie od niej co najmniej godzina drogi. Zegarek wskazywał dopiero czwartą, a więc musiałem mieć niezłe tempo. Wioska wyglądała niemal na wymarłą - domyśliłem się, że pozostało w niej już niewiele mieszkańców. Niektóre chaty były pozabijane deskami, inne zapadnięte i częściowo zniszczone. Dym unosił się jedynie z dwóch czy trzech kominów. Na okolicznych pastwiskach nie zauważyłem nikogo, a tylko przy drodze skubało trawę kilka krów, wychudzonych i zaniedbanych. Dzwonki na ich szyjach pobrzękiwały dziwnie głucho. Ten smutny widok działał przygnębiająco, zwłaszcza po tak ożywczej wspinaczce. Nie zachwycała mnie perspektywa spędzenia tu nocy.

Podszedłem do pierwszej chaty, nad którą zobaczyłem dym z kominu, i zapukałem do drzwi. Po dłuższej chwili otworzył je jakiś dorastający chłopak, spojrzał na mnie i przez ramię kogoś zawołał. Wkrótce na progu stanął ponury mężczyzna, mniej więcej w moim wieku. Wyglądał na tępaka. Powiedział coś w miejscowym dialekcie, ale szybko się zorientował, że nic nie rozumiem, i przeszedł na język używany w całym kraju, lecz posługiwał się nim z większym trudem niż ja.

- Jest pan lekarzem z doliny? - spytał.

- Nie, cudzoziemcem na urlopie. Przyjechałem tu na wspinaczkę. Szukam noclegu. Nie znalazłoby się u pana wolne łóżko?

Mina mu zrzedła. Nie odpowiedział wprost.

- Mamy tu kogoś bardzo chorego - rzekł. - Nie wiem, co zrobić. Powiedzieli, że z doliny przyjdzie lekarz. Nikogo pan nie spotkał?

- Niestety, nie. Oprócz mnie, z doliny nie szedł nikt. A kto jest chory? Dziecko?



Przecząco pokręcił głową.

- Nie, nie, tu w ogóle nie ma dzieci.

Patrzył na mnie bezradnie. Zrobiło mi się go żal, nie wiedziałem jednak, jak mu pomóc. Nie wziąłem ze sobą żadnych lekarstw, tylko pakiet opatrunkowy i małą fiolkę aspiryny. Przypomniało mi się, że aspiryna obniża gorączkę. Wyjawszy pastylki, podałem je mężczyźnie.

- Może one pomogą - powiedziałem.

- Lepiej niech pan sam mu da - odparł i gestem zaprosił mnie do chaty.

Wchodziłem z pewnym ociąganiem - nie miałem ochoty oglądać umierającego członka rodziny - lecz zwykła ludzka przyzwyczajenie nie pozwalała mi odmówić. Mężczyzna wprowadził mnie do izby. Przy ścianie, na pryczy leżał jakiś człowiek, przykryty dwoma kocami. Wydawał się spać. Był blady i nie ogolony, a jego rysy miały tę szczególną ostrość, która zapowiada zbliżającą się śmierć. Podeszedłem i zacząłem mu się przyglądać. Otworzył oczy. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem. Wreszcie się uśmiechnął i wyciągnął do mnie rękę. To był Wiktor...

- Chwała Bogu - rzekł.

Wzruszenie odebrało mi mowę. Wiktor skinął na mężczyznę, który trzymał się z boku, i powiedział do niego kilka słów w miejscowym dialekcie, prawdopodobnie o tym, że jesteśmy przyjaciółmi, bo tamten trochę się rozchmurzył i wyszedł. Ja zaś w dalszym ciągu stałem przy pryczy, ściskając dłoń Wiktora.

- Długo tak leżysz? - spytałem w końcu.

- Prawie pięć dni. Zapalenie opłucnej. Już to miewałem, ale tym razem jest gorzej. Starzeję się...

Znów się uśmiechnął. Choć bardzo ciężko chory, mimo wszystko niewiele się zmienił - wciąż był sobą.

- Widzę, że chyba nieźle ci się powodzi - zauważył, dalej się uśmiechając. - Wyglądasz jak reklama sukcesu.

Zapytałem go, dlaczego przez dwadzieścia lat nigdy do mnie nie napisał i co w tym czasie robił.

- Zerwałem z krajem - odparł. - Domyślam się, że ty też, ale pewnie w inny sposób. Od wyjazdu z Anglii nigdy tam nie byłem. Co ty tak chowasz w rękę?

Pokazałem mu fiolkę.

- Obawiam się, że w twoim wypadku aspiryna nic nie da - rzekłem.

- Najlepiej będzie, jeśli zostanie tu na noc, a potem z samego rana spró-

buję namówić tego faceta i jeszcze jednego lub dwóch, żeby pomogli mi cię znieść do miasteczka w dolinie.

- Szkoda czasu - oznajmił. - Już po mnie. Dobrze wiem.

- Bzdura. Potrzebujesz lekarza, właściwej opieki. Tu jest to niemożliwe.

Rozejrzałem się po obskurnej izbie, ciemnej i dusznej.

- Mną się nie przejmuj - powiedział Wiktor. - Ktoś inny jest ważniejszy.

- Kto?

- Anna.

Milczałem.

- Wiesz, ona wciąż tu jest, na Monte Verita - dodał.

- Więc dalej przebywa w tym klasztorze, nigdy go nie opuszczając?

- Właśnie dlatego tu jestem. Przyjeżdżam co rok, od samego początku. Nie pisałem ci o tym w czasie wojny? Mieszkam w niewielkim porcie rybackim, spokojnym i leżącym na uboczu. Zwykle wybieram się tu latem, ale w tym roku nie mogłem, bo chorowałem.

Niewiarygodne. Taki kawał czasu samotnie egzystować, niczym się nie interesując, jedynie po to, by raz na rok odbywać pielgrzymkę, która nie daje żadnej nadziei.

- Czy kiedykolwiek widziałeś Annę? - zapytałem.

- Nigdy.

- Pisujesz do niej?

- Co rok zanoszę list na szczyt i kładę pod murem, a potem wracam następnego dnia.

- Czy ona ten list zabiera?

- Oczywiście, bo w tym samym miejscu znajdują odpowiedź wydrapaną na kamiennej płycie. Tylko kilka słów. Wszystkie płytki przechowuję tam gdzie mieszkam, na wybrzeżu.

W głębi serca czułem podziw dla jego wierności przez tyle lat.

- Próbowałem się czegoś dowiedzieć o tej religii - mówił dalej. - Istnieje od bardzo dawna. Powstała na długo przed chrześcijaństwem. Wspominają o niej stare księgi. Od czasu do czasu udaje mi się je zdobyć. Rozmawiałem też ze specjalistami, którzy prowadzą badania nad mistycyzmem i obrządkami starożytnych Galów i kapłanów celtyckich. Okazuje się, że w tamtych czasach wierzenia górskich ludów były bardzo silnie ze sobą powiązane. W każdym wypadku przypisywano moc księżycowi i wierzono, że wyznawcy zawsze będą piękni i młodzi.

- Mówisz tak, Wiktorze, jakbyś sam w to wierzył.
- Bo wierzę. Wierzą również dzieci w wiosce, te nieliczne, jakie pozostały.

Rozmowa ze mną go zmęczyła. Sięgnął po dzbanek z wodą, który stał obok pryczy.

- Słuchaj - powiedziałem. - Aspiryna ci nie zaszkodzi, a nawet pomoże, jeśli masz gorączkę. Dobrze by też było, gdybyś się trochę prześpał.

Kazałem mu połknąć trzy pastylki i otuliłem go kocem.

- Czy w chacie są jakieś kobiety? - zapytałem.
- Właśnie to mnie intryguje od czasu, jak tu jestem. Wioska wydaje się opustoszała. Kobiety i dzieci przeniosły się do doliny. Pozostali tylko mężczyźni i chłopcy, wszystkiego około dwudziestu

- Kiedy one odeszły?
- Sądzę, że kilka dni przed moim przybyciem. Ten wieśniak to syn starca, który kiedyś tu mieszkał i dawno umarł. Jest taki głupi, jakby w ogóle nic nie wiedział. Gdy go o coś zapytać, robi niewyraźną minę. Niemniej pewne rzeczy na swój sposób umie. Przyniesie jedzenie, pościeli... Za to ten młody chłopak jest dość bystry.

Wiktorowi opadły powieki. Miałem nadzieję, że usnął. Domyślałem się, dlaczego kobiety i dzieci opuściły wioskę. Zapewne je ostrzeżono, że na Monte Verita mogą wyniknąć kłopoty z powodu zniknięcia tamtej dziewczyny. Nie miałem odwagi powiedzieć o tym Wiktorowi. Szkoda, że nie zdołałem go przekonać, aby dał się znieść do doliny.

Tymczasem zapadł zmrok. Poczułem głód, więc ruszyłem na poszukiwanie kuchni. Zastałem w niej tylko chłopaka. Poprosiłem go o coś do jedzenia i picia. Zrozumiał. Przyniósł mi do izby chleb, mięso i ser, a potem, kiedy jadłem, uważnie mnie obserwował. Wiktor w dalszym ciągu miał zamknięte oczy.

- Czy on wydobrzeje? - spytał chłopiec.
- Nie powiedział tego gwarą.
- Myślę, że tak, jeśli ktoś mi pomoże zanieść go do lekarza w dolinie.
- Ja panu pomogę, i dwóch moich kolegów. Powinniśmy iść jutro, bo później będzie trudno.
- Dlaczego?
- Pojutrze przyjdą mężczyźni z doliny. Są bardzo zdenerwowani. Ja i moi koledzy chcemy się do nich przyłączyć.
- Co oni zamierzają zrobić?

Z wahaniem spojrzął na mnie bystrymi oczami.

- Nie wiem - bąknął i pośpiesznie wymknął się z izby.

- O czym mówił ten chłopak? - odezwał się Wiktor. - Kto przyjdzie z doliny?

- Nie mam pojęcia - odparłem obojętnym tonem. - Zdaje się, że ktoś wybiera się w góry.

- Tutaj nigdy nikt nie chodzi w góry. Chyba coś ci się pomyliło.

Zawołał chłopca, a gdy tamten ponownie się zjawił, zaczął go wypytywać w miejscowym dialekcie. Chłopak był zmieszany, wahał się i bardzo niechętnie odpowiadał. Obaj kilkakrotnie wymienili nazwę góry.

- Czyś cokolwiek z tego zrozumiał? - spytał mnie Wiktor, kiedy chłopiec wyszedł i zostawił nas samych.

- Nic a nic.

- To wszystko mi się nie podoba. Coś tu jest nie tak. Wyczuwam to od kilku dni, od chwili, gdy tu leżę. Oni zachowują się jakoś dziwnie i tajemniczo. Chłopak mówi, że w dolinie jest niespokojnie, że ludzie są bardzo rozgniewani. Obiło ci się coś o uszy?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wiktor patrzył na mnie badawczo.

- Barman w zajeździe nie był zbyt rozmowny, ale odradzał mi wspinaczkę na Monte Verita.

- Podał jakiś powód?

- Nie. Napomknął tylko, że mogą wynikać kłopoty.

Wiktor milczał, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Czy przypadkiem z doliny nie zniknęła któraś z kobiet? - spytał po chwili.

Nie było sensu kłamać.

- Podobno zaginęła jakaś dziewczyna, nie wiem jednak, czy to prawda.

- Na pewno tak. A więc im chodzi o to.

Przez dłuższy czas nie mówił. Nie widziałem jego twarzy, bo była w cieniu. W izbie paliła się jedna lampa, rzucająca mdłe światło.

- Jutro musisz wejść na Monte Verita i ostrzec Annę - odezwał się w końcu.

Spodziewałem się, że to powie. Spytałem, jak się tam dostać.

- Narysuję ci szlak. Nie sposób zabłądzić. Biegnie suchym korytem strumienia, cały czas na południe. Nie padało, więc jeszcze można z niego korzystać. Jeśli wyruszysz przed świtem, będziesz miał przed sobą cały dzień.

- A gdy już tam wejść, to co mam zrobić?  
- Zostawisz list, tak jak ja. Potem odejdziesz. One go nie wezmą w twojej obecności. Napiszę Annie, że jestem chory, że ty nieoczekiwanie się zjawiłeś po niemal dwudziestu latach. Wiesz, kiedy rozmawiałeś z chłopcem, pomyślałem sobie, że chyba zdarzył się cud. Mam dziwne uczucie, że sprowadziła cię tu Anna.

Oczy mu błyszczały jak za dawnych czasów.

- Być może - powiedziałem. - Albo ona, albo to, co zwykłeś nazywać gorączką górską.

- Czyż to nie wszystko jedno?

Patrzyliśmy na siebie w ciszy mrocznej izby. Później się odwróciłem i zawołałem chłopca, by przygotował mi posłanie na podłodze, obok pryczy.

Wiktor miał niespokojny sen, z trudem oddychał. Kilkakrotnie do niego wstawałem, by mu podać aspirynę i wodę. Bardzo się pocił, co mogło być objawem zarówno dobrym, jak i złym. Noc wydawała się trwać bez końca, jeśli zaś o mnie chodzi, prawie nie zmrzyłem oka. W każdym razie żaden z nas nie spał, kiedy pojawił się pierwszy brzask.

- Powinieneś już iść - rzekł Wiktor.

Wstając, przypadkowo go dotknąłem. Z przerażeniem stwierdziłem, że jego skóra jest lepka i zimna. Wyraźnie czuł się gorzej, tracił siły.

- Przekaż Annie, że jej i wszystkim pozostałym grozi wielkie niebezpieczeństwo, jeśli przyjdą tam ludzie z doliny. Jestem tego pewien.

- Dobrze, przekażę - odparłem.

- Ona wie, jak bardzo ją kocham. W swoich listach do niej zawsze o tym piszę, ale i ty jej to napisz. Czekaj w tunelu. To może potrwać dwie godziny, a nawet trzy, albo jeszcze dłużej. Później wróc pod mur i szukaj kamiennej płytki z odpowiedzią. Na pewno tam będzie.

Dotknąłem jego lodowatej ręki i wyszedłem na zimne ranne powietrze. Ogarnęły mnie złe przecucia, wszędzie bowiem zobaczyłem chmury. Zastłaniały nie tylko dolinę, skąd przyszedłem poprzedniego dnia, ale również dachy chat w cichej wiosce i ścieżkę, która wiała się wśród krzaków i nikła na zboczu góry.

Kłębiąc się bezgłośnie, mgła przywierała do moich włosów i dłoni, czułem wilgoć na twarzy. W półświatle spoglądałem we wszystkie strony, zastanawiając się, co powinienem zrobić. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mi, bym wrócił. Z doświadczenia, jakie niegdyś zdobyłem w górach, jasno wynikało, że wyprawa w taką pogodę byłaby szaleństwem. Gdybym jednak został we wsi i widział oczy Wikto-

ra, pełne cierpienia i nadziei, nie mógłbym tego znieść. Obaj wiedzieliśmy, że jest umierający. Poza tym w kieszeni miałem jego list - ostatni list do żony.

Odwrociłem się i spojrzałem na południe. Z Monte Verita wciąż powoli spływały kłęby gęstej mgły.

Ruszyłem naprzód.

Wiktor mi mówił, że na szczyt powinienem dotrzeć w ciągu dwóch godzin, a nawet szybciej, gdyby świeciło słońce. Na wszelki wypadek miałem mapkę, którą mi naszkicował.

Po godzinie marszu zdałem sobie sprawę, że tego dnia już nie zobaczę słońca i że popełniłem błąd. Lepka, zimna mgła wciskała mi się do oczu. Wypełniała też kręte koryto, którym szedłem od pięciu minut. Nagle pojawiła się woda - rozmywała ziemię i przemieszczała kamienie.

Nim się podniosła, zdążyłem wyskoczyć na brzeg i dalej wspinałem się po gładkiej skale. Minęło południe, gdy uznałem się za pokonanego. Zabłądziłem. Odwróciwszy się, nie mogłem dostrzec koryta strumienia, według którego dotychczas się orientowałem. Wprawdzie znalazłem jakiś strumień, ale biegł na północny wschód i płynęły nim potoki wody, jak zwykle o tej porze roku. Jeden fałszywy krok i wartki prąd by mnie porwał; dłonie bym sobie poszarpał na strzępy, próbując chwytać się kamieni.

Całkiem zapomniałem o uniesieniu z poprzedniego dnia. Już nie czułem dreszczyku gorączki górskiej, lecz strach, równie dobrze mi znany. Dawniej wielokrotnie zaskakiwała mnie mgła, a wtedy człowiek staje się całkiem bezradny, chyba że zdoła rozpoznać powrotną drogę, cal po calu, i zejść. W tamtych czasach byłem jednak młody, sprawny i wspinałem się w rozpoznanym terenie, a teraz zabłądziłem, samotnie wchodząc na zupełnie obcą górę jako mieszczuch po pięćdziesiątce, i bardzo się bałem.

Przykucnąłem pod jakąś wielką skałą, byle dalej od gęstej mgły, i zjadłem drugie śniadanie - resztę kanapek, które przygotowano dla mnie w zajeździe. Zrobiło mi się chłodno, więc wstałem i dla rozgrzewki zacząłem przytupywać. Nie było wiatru, ale gdy górę spowijają chmury, pod ubranie zawsze się wciska zimna wilgoć.

Miałem nadzieję, że z nadejściem zmroku spadnie temperatura i mgła się podniesie. Pamiętałem, że zbliża się pełnia księżycy, co działało na moją korzyść, bo wówczas chmury najczęściej znikają. Już jak-

by nieco się przetarty, kiedy bowiem spojrziałem na południe, skąd przez cały dzień napływały, mój wzrok sięgał kilku metrów, ale niżej mgła była ciągle gęsta, co uniemożliwiało zejście. Czekałem więc dalej. Co jakiś czas patrząc na południe zauważyłem, że chmura nieustannie rzadnie, zmienia się w mgiełkę i powoli niknie. Nagle spostrzegłem zarys góry, choć szczytujesz nie widziałem, i wtedy po raz pierwszy mignął mi kawałek nieba.

Zerknąwszy na zegarek zobaczyłem, że jest za piętnaście szósta. Na Monte Verita zapadał wieczór.

Skrawek czystego nieba ponownie przysłoniła mgła, ale wkrótce się rozplynęła. Wszedłem spod skały, służącej mi za schronienie przez pół dnia, i znowu stanąłem przed dylematem: zejść czy wspinać się dalej? Powietrze nade mną było czyste. Widziałem ścianę, którą opisał mi Wiktor, a nawet grań prowadzącą na szczyt - powinienem mieć ją za sobą przed dwunastoma godzinami. Wkrótce ukaże się księżyc i oświetli drogę do ściany Monte Verita. Spojrzałem na wschód - zejście okazało się niemożliwe. Wszędzie ta sama gęsta mgła, która zatrzymała mnie na pół dnia, ograniczając widoczność do metra.

W tej sytuacji postanowiłem iść dalej i zanieść listy na szczyt.

Kiedy chmura zniknęła, nastrój mi się poprawił. Zajrzałem do mapki, naszkicowanej przez Wiktora, i ruszyłem w stronę południowego zbocza góry. Byłem głodny. Wiele bym dał za to, by znowu mieć kanapki, które wcześniej zjadłem. Pozostała tylko jedna bułka. Na szczęście wziąłem paczkę papierosów i one pozwoliły mi oszukać głód.

Teraz oba wierzchołki Monte Verita wyraźnie rysowały się na tle nieba. Ich widok dodał mi bodźca - wiedziałem, że gdy pokonam południową ścianę góry, znajdę się u celu wyprawy.

Idąc dalej obserwowałem, jak grań się zwęża i staje się coraz bardziej stroma. Spojrzawszy przez ramię, dostrzegłem wielką tarczę księżyca, wyłaniającą się z mgły. Sprawilo to, że swoje odosobnienie zobaczyłem w innych wymiarach. Jakbym samotnie stąpał skrajem Ziemi, która przybrała kształt dysku - na jego pustej powierzchni prócz mnie nie ma nikogo, a on wiruje, mknąc przez kosmos w drodze do nieskończonej ciemności.

W miarę jak księżyc wznosił się na niebie, ja wchodziłem coraz wyżej niczym istota pozbawiona woli. Już nie byłem sobą. Bezwiednie parłem naprzód, jakby szczyt góry przyciągał mnie nieznaną siłą, którą zdawał się czerpać z księżyca. Wprost nie mogłem jej nie ulec, tak

jak nie mogłem nie oddychać. To nie gorączka górską działała na mnie w ten sposób, lecz magia tej góry, siła przyciągania księżyca.

Dotarłem do mrocznego, niskiego tunelu, tak że musiałem się pochylić i wymacywać drogę. Wreszcie wyszedłem z ciemności i zobaczyłem dwa wierzchołki i skalną ścianę na szczycie Monte Verita - wszystko srebrzystobiałe.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem ideał piękna. Zapomniałem o listach i Wiktorze, a także o strachu w lepkiej mgłę. Czułem, że naprawdę dotarłem do końca drogi. To było spełnienie. Czas już się nie liczył. W ogóle o nim nie myślałem. Oniemiały patrzyłem na skalną ścianę pod księżycem.

Nie wiem, jak długo to trwało, ani nie pamiętam, kiedy zaszła zmiana. W każdym razie nieoczekiwanie ukazały się postacie, których przedtem tam nie było. Wyraźnie odcinając się na tle nieba, stały na murze, jedna za drugą, tak spokojnie, jakby ktoś wykuł je w kamieniu.

Z daleka nie mogłem dostrzec ich twarzy ani rozróżnić płci. Na wieży stała samotna postać i tylko ona miała szatę do ziemi. Nagle mi się przypomniały historie o druidach i ofiarach, jakie składali z żywych ludzi. Zrozumiałem, że to są czciciele księżyca, a właśnie była pełnia. Prawdopodobnie zamierzają zrzucić kogoś do przepaści i ja to zobaczę na własne oczy.

W życiu niejednokrotnie ogarniał mnie strach, lecz dopiero teraz poznałem, co to prawdziwe przerażenie. Padłem na kolana. Widziałem, jak tamci unoszą ręce nad głowy, i w głębokiej ciszy rozległ się ich chóralny śpiew, początkowo słaby, niewyraźny, a potem coraz głośniejszy. Rósł, odbijając się echem od skalnej ściany. Wówczas spostrzegłem, że wszyscy, co do jednego, zwrócili twarze ku księżycowi. Nie było żadnej ofiary. Nikogo nie uśmiercono. Oni po prostu śpiewali hymn pochwalny.

Ukryłem się w cieniu tunelu zawstydzony, że wtargnąłem do miejsca modlitwy wyznawców nie znanej mi wiary, a tymczasem ich śpiew mnie ogłuszał - niezemski, piękny i wspaniały, lecz nie do wytrzymania. Zatkałem sobie uszy rękami, zacisnąłem powieki i pochyliłem głowę tak nisko, że czołem dotknąłem ziemi.

Później gromki śpiew zaczął stopniowo cichnąć, bardzo powoli, aż wreszcie przeszedł w szept i po chwili całkiem zamarł. Na Monte Verita wróciła cisza.

Mimo to w dalszym ciągu nie miałem odwagi się poruszyć. Klęczałem z twarzą przy ziemi, głowę ściskając rękami. Nie wstydę się



swojego przerażenia. Znajdowałem się pomiędzy dwoma światami - mojego tu nie było, a do ich świata nie należałem. Pragnąłem, by znów skryła mnie mgła.

Czekałem, wciąż na klęczkach. Ukradkiem zerknąłem na skalną ścianę. Wszystkie postacie zniknęły, a księżyc przysłaniała ciemna, postrzępiona chmura.

Podniosłem się, ale zostałem na miejscu. Cały czas patrzyłem na wieżę i mur. Teraz, kiedy księżyc schował się za chmurą, nie zauważyłem najmniejszego ruchu, jakby nikt nigdy tam nie śpiewał, a wszystko powstało w mojej wyobraźni pod wpływem strachu.

Odczekawszy, aż księżyc wyszedł zza chmury, zebrałem się na odwagę i sięgnąłem do kieszeni po listy. Nie wiem, co Wiktor napisał w swoim. Mój brzmiał następująco:

*Droga Anno!*

*Dziwnym zrządzeniem losu znalazłem się we wsi na zboczu Monte Verita, gdzie spotkałem Wiktora. Jest bardzo ciężko chory, wręcz umierający. Jeśli chcesz mu coś przekazać, zostaw wiadomość pod murem. Poza tym muszę Cię ostrzec, że Tobie i wszystkim pozostałym osobom grozi niebezpieczeństwo. Ludzie w dolinie się boją i są rozgniewani, ponieważ zniknęła jedna z kobiet. Prawdopodobnie wejdą na Monte Verita, by wyrządzić Wam jakąś szkodę.*

*Kończąc, pragnę Cię zapewnić, że Wiktor nie przestał Cię kochać i stale o Tobie myśli.*

U dołu widniał mój podpis.

Ruszyłem do muru. Zbliżając się zobaczyłem wąskie okna, o których dawno temu wspominał mi Wiktor, i pomyślałem, że czyjeś oczy mogą wszystko obserwować, że pewnie za każdą z tych szczelin ktoś stoi.

Schyliłem się i położyłem listy na ziemi przy murze. Wówczas on się nagle rozwarł, złapały mnie jakies ręce, obaliły i na gardle poczułem zaciskające się palce.

Ostatnią rzeczą, jaką słyszałem przed utratą świadomości, był drwiący śmiech chłopca.

Gwałtownie się ocknąłem, jakbym się obudził z ciężkiego snu. Zdałem sobie sprawę, że jeszcze przed chwilą ktoś tu klęczał obok mnie i spoglądał na moją twarz.

Usiadłem i rozejrzałem się dokoła, zziębnięty i odrętwiały. Znajdowałem się w celi długości około trzech metrów. Przez wąską szczelinę w kamiennym murze wpadało upiornie blade światło. Popatrzyłem na zegarek - była za kwadrans piąta. A więc leżałem nieprzytomny trochę ponad cztery godziny, to światło zaś to po prostu brzask.

Kiedy odzyskałem pełną świadomość, natychmiast wpadłem w gniew. Czułem się oszukany. Mieszkańcy wioski okłamali również Wiktora. To na pewno oni tak brutalnie mnie chwycili, o czym świadczył tamten śmiech. Nasz gospodarz i jego syn pierwsi dotarli na szczyt i się na mnie zaczęli. Musieli znać wejście do klasztoru. Przez tyle lat oszukiwali Wiktora i teraz pomyśleli, żeby to samo zrobić ze mną. Tylko Bóg wie, czym się kierowali. Z pewnością nie chodziło im o rozbój - obaj z Wiktorem mieliśmy przy sobie jedynie trochę odzieży. Cela, do której mnie wrzucili, okazała się zupełnie pusta. Nic nie wskazywało, że ktoś tu mieszka. Nie widziałem nawet deski do leżenia. Dziwne jednak, że mnie nie związali, nie było bowiem drzwi, które zastępowała szczelina podobna do okiennej, ale wystarczająco szeroka, by mógł przejść nią człowiek.

Siedziałem czekając, aż odzyskam władzę nad zdrętwiałym ciałem i aż bardziej się rozwidni. Ostrożność nie zawadzi. Gdybym zaryzykował i od razu wyszedł, w mroku mógłbym się potykać i przewracać, a także zabłądzić w labiryncie korytarzy i schodów.

W miarę jak się rozjaśniało, mój gniew narastał i coraz wyraźniej widziałem swoją rozpaczliwą sytuację. Wprost marzyłem, by dostać w ręce tego wieśniaka i jego syna. Byłem gotów z nimi walczyć - drugi raz nie dam się zaskoczyć. A co, jeśli oni odeszli i zostawili mnie samego w klasztorze wiedząc, że nie znam wyjścia? Może od wielu lat tak traktowali wszystkich obcych, a wcześniej to samo robił tamten starzec i jego przodkowie, zwodząc również kobiety z doliny, które ginęły tu z głodu? Myśląc dalej w ten sposób, tylko wpadłbym w panikę, więc żeby temu zapobiec, zapaliłem papierosa. Kilkakrotnie się zaciągnąłem i znajomy smak dymu mnie uspokoił.

Wtedy dostrzegłem freski - stały się widoczne dopiero w silniejszym świetle. Pokrywały ściany i sufit celi. Nie były to prymitywne rysunki ciemnych wieśniaków ani dzieła głęboko wierzących artystów, którzy portretują świętych. Owe barwne freski, pełne rozmachu, niewątpliwie miały związek z kultem księżycy, choć trudno powiedzieć, czy przedstawiały jakąś historię. Niektóre postacie klęczały, inne stały - wszystkie z rękami wyciągniętymi do księżycy w pełni na suficie.

Jednakże, o dziwo, ich oczy namalowano z wielkim kunsztem w tak niezwykle sposób, że nie były skierowane w górę, na księżyc, lecz na mnie. Odwróciwszy głowę, paliłem papierosa, ale ciągle czułem na sobie spojrzenia tych oczu, tak jakbym ponownie znalazł się za murami klasztoru i ktoś w milczeniu obserwował mnie z wąskich okien.

Wstałem, przydepnąłem niedopałek i stwierdziłem, że wszystko byłoby lepsze niż dalsze przebywanie w celi z tymi postaciami na ścianach. Ruszyłem do wyjścia i wtedy znów usłyszałem tamten drwiący śmiech. Cichszy i nieco stłumiony. Przeklęty chłopak...

Złorzeczając mu, z krzykiem rzuciłem się do wyjścia. Mógł mieć nóż, ale na to nie zważałem. Spozrzegłem go rozpląszczonego na ścianie - czekał na mnie. Widziałem jego oczy i krótko ścięte włosy. Chciałem uderzyć go w twarz, lecz chybiłem, bo ze śmiechem zrobił unik. Nagle pojawiło się jeszcze dwóch. We trzech rzucili się na mnie i po chwili leżałem na ziemi, całkiem bezsilny. Ten pierwszy klęczał mi na pierśiach i ścisnął za gardło, cały czas się uśmiechając.

Zacząłem się dusić i wtedy rozluźnił chwyt. Wszyscy trzej patrzyli na mnie z drwiącymi uśmiechami na wargach. Zorientowałem się, że żaden z nich nie jest chłopcem z wioski ani nawet nie przypomina jej mieszkańców czy ludzi z doliny - byli podobni do postaci z fresku.

Ich ciężkie powieki i lekko skośne oczy o bezlitosnych spojrzeniach nieodparcie mi się kojarzyły z twarzami postaci, które kiedyś widziałem na ścianach egipskiego grobowca i na wazie znalezionej w gruzach starożytnego miasta. Ubrani w krótkie tuniki do kolan, chłopcy mieli gołe ręce i nogi oraz krótko obcięte włosy. Odznaczyli się nadzwyczajną, lecz dziwną urodą - było w niej coś szatańskiego.

Chciałem się podnieść, ale ten, który trzymał rękę na moim gardle, z powrotem przycisnął mnie do ziemi. Zrozumiałem, że nie dam im rady i mogą zrobić ze mną, co im się spodoba, choćby zrzucić w przepaść pod Monte Verita. A więc już po mnie - to tylko kwestia czasu i Wiktor samotnie umrze w chacie na zboczu góry.

- No, kończcie - powiedziałem zrezygnowany.

Sądziłem, że znowu wybuchną drwiącym śmiechem, nagle mnie chwycą i wypchną przez szczelinę okna w mroczną otchłań. Zacisnąłem powieki, ze strachem przygotowując się na najgorsze. Tymczasem nic takiego się nie stało. Na wargach poczułem dotknięcie. Otworzywszy oczy zobaczyłem, że chłopiec wciąż się uśmiecha i bez słowa podaje mi czarbkę z mlekiem. Pokręciłem głową, a wtedy jego towarzysze klęknęli za mną i podparli mi plecy. Zgłupiałem i z wdzięcznością za-

cząłem pić jak dziecko. Przestałem się ich bać, minęło przerażenie. Odzyskiwałem siłę, która zdawała się płynąć z rąk chłopców i wypełniać całe moje ciało.

Kiedy skończyłem pić, pierwszy z nich wziął z moich rąk czarękę, odstawił ją na ziemię, a później swoje dłonie położył mi na sercu. Doznałem wówczas uczucia, którego przedtem nie doświadczyłem. Ogarnął mnie boski spokój, zapomniałem o zmartwieniach, strachu i zmęczeniu z poprzedniego wieczoru, o chmurach i mgłę na górze, a także o samotnie umierającym Wiktorze. Wszystko to nagle straciło znaczenie, stało się całkowicie nieistotne wobec świadomości, że jestem silny i piękny. Wiedziałem, że również śmierć Wiktora nie miałaby znaczenia - gdyby umarł, jego doczesna powłoka leżałaby w wiejskiej chacie, lecz sercem i duszą byłyby tutaj z nami.

Napisałem „z nami”, ponieważ kiedy tam siedziałem w wąskiej celi, wydawało mi się, że zostałem zaakceptowany i jestem jednym z nich. Ciągle jeszcze oszołomiony, ale szczęśliwy, pomyślałem wówczas, że zawsze marzyłem, by tak wyglądała śmierć, by wraz z nią kończyły się wszelkie cierpienia i niepokoje, a zaczynało prawdziwie życie, którego ośrodkiem jest nie rozum, tylko serce.

Wreszcie chłopiec cofnął dłonie, wciąż się uśmiechając, jednak nie straciłem mocy, którą mi przekazał. Wstał i ja zrobiłem to samo. Kiedy chłopcy wyszli z celi, ruszyłem za nimi. Nie ujrzałem płataniny korytarczy ani mrocznych krużganków, lecz wielki, otwarty dziedziniec, z trzech stron otoczony celami, z czwartej zaś, nie zabudowanej, wznoszący się ku dwóm wierchołkom Monte Verita, które teraz, pokryte lodem, wyglądały pięknie w różowym świetle wschodzącego słońca. W lodzie były wykute schody, a na nich stali inni, ubrani w takie same tuniki, przewiązane w pasie sznurami kamyków - oni też mieli krótko obcięte włosy.

Prześliśmy dziedziniec i zaczęliśmy wspinać się po schodach. Mijając tamtych zrozumiałem, dlaczego w klasztorze panowała taka cisza - oni wszyscy milczeli. Nie odzywali się do mnie ani nie rozmawiali ze sobą, a tylko się uśmiechali, podobnie jak tamci trzej chłopcy. W owych dziwnych uśmiechach, innych niż w naszym świecie i pełnych egzaltacji, wyrażali jednocześnie mądrość, triumfi wielką miłość. Nie byli ani młodzi, ani starzy, i nie mieli płci, lecz w ich rozpromienionych twarzach, a także ciałach, zauważyłem coś tak bardzo pociągającego jak nigdy dotąd i nagle zapragnąłem stać się jednym z nich. Chciałem nosić podobny strój, kochać, jak oni zapewne kochają, uśmiechać się i modlić tak samo, a także milczeć.

Spojrzałem na swoją kurtkę, koszulę i spodnie do wspinaczki i natchmianych zacząłem nimi gardzić. Wzbudziły we mnie niechęć, przypominając pogrzebowe ubranie zmarłych. Szybko zrzuciłem je z siebie i przez ramię cisnąłem na dziedziniec. Stałem, w słońcu nago, bez wstępu czy zakłopotania, całkiem nieświadomy swojego wyglądu, którym w ogóle się nie przejmowałem. Pragnąłem jedynie pozbyć się wszystkiego, co łączy mnie ze światem, a moje ubranie go symbolizowało.

Wreszcie dotarliśmy na szczyt. Teraz pod nami leżał cały świat, nie zasłonięty chmurami ani mgłą. Niższe góry ciągnęły się aż po horyzont, a w dole widziałem mgliste, zielone doliny, strumienie i małe śpiące miasteczka, które nic nas nie obchodziły. Przeniosłem oczy w górę i ujrzałem dwa wierzchołki Monte Verita, rozdzielone wielką, zwięzającą się przełęczą. Ze zdumieniem i podziwem stwierdziłem, że choć stoję na szczycie, nie mogę zgłębić jej wzrokiem. Błękitne ściany lodu, twarde i gładkie, tworzyły bezdenną otchłań wewnątrz góry. Ani promienie słońca, które w południe zalewają światłem, ani księżyc w pełni nie zdołałyby przeniknąć do dna tej rozpadliny, kształtem przypominającej kielich między dwiema dłońmi.

Na skraju otchłani zobaczyłem jakąś postać, ubraną na biało od stóp do głów, i choć nie mogłem dostrzec twarzy, zasłoniętej kapturem, na widok głowy odrzuconej w tył i wyciągniętych rąk drgnęło mi serce.

Wiedziałem, że to Anna - nikt inny nie potrafiłby stać w ten sposób. Zapomniałem o Wiktorze, o moim zadaniu i o minionych latach. Pamiętałem jedynie spokój, który roztaczała, jej piękne rysy i te słowa, które kiedyś do mnie powiedziała: „Przecież oboje szukamy tego samego”. Zawsze ją kochałem, chociaż Wiktor poznał ją przede mną i z nim wzięła ślub. Od pierwszej chwili, gdy nas przedstawił w klubie, oboje świetnie rozumieliśmy się wzajemnie, a nasze serca połączył jakiś dziwny, niewytłumaczalny związek, który pokonał wszelkie bariery i przeszkody - byliśmy sobie bliscy pomimo milczenia, nieobecności i długoletniej rozłąki.

To ja popełniłem błąd, od początku pozwalając jej na to, by sama szukała swojej góry. Gdybym pojechał z nimi, kiedy mnie o to prosili tamtego dnia, podczas naszego spotkania w księgarni, intuicyjnie bym wyczuł zamiary Anny i czar, któremu uległa, stałby się również moim udziałem. Ja nigdy bym nie zasnął, tak jak Wiktor, lecz na pewno bym się obudził i wyruszył razem z nią, a wtedy wszystkie te lata nie poszłyby na marne - należałyby do nas, Anny i mnie, spędzilibyśmy je wspólnie tutaj, na tej górze, odcięci od świata.

Znowu się rozejrzałem dokoła. Patrzyłem na twarze tych, którzy stali obok i próbowałem odgadnąć, czego pragną aż do bólu, co kochają taką miłością, jakiej przedtem nie znali. Ich milczenie z pewnością nie wynikało z przysięgi, lecz ze spokoju, który dawała im ta góra, jednocząc ich umysły. Nie odczuwali potrzeby mówienia, kiedy uśmiech i spojrzenie wystarczały, by się porozumieć, śmiech zaś płynął z głębi serca, zawsze triumfalny i nigdy nie powstrzymywany. To wcale nie był żaden ponury zakon o ścisłej regule, sprzeczny z ludzką naturą, ale kwintesencja życia. Ciepło słońca wlewało się w żyły, stając się częścią krwiobiegu, a promienie słońca wraz z mroźnym powietrzem oczyszczały ciało i płuca, dając siłę - ową moc, którą czułem, kiedy dłonie chłopca dotykały mego serca.

W jednej chwili zmienił się cały mój system wartości, jakby ten człowiek, co tak niedawno wytrwale wspinał się we mgłę, pełen strachu i wściekły, przestał istnieć. W oczach zwykłych ludzi byłbym pośmiewiskiem, wyglądałbym jak idiota, gdyby mnie wówczas zobaczyli - miałem siwe włosy, ponad pięćdziesiąt lat i stałem nago wśród tamtych na Monte Verita, wyciągając ręce do słońca. Już podniosło się na niebie i paliło moją skórę, sprawiając zarazem ból i przyjemność. Czuję, jak jego ciepło wypełnia mi pierś.

Wpatrywałem się w Annę. Kochałem ją tak bardzo, że zacząłem głośno wymawiać jej imię. Wiedziała, że tam jestem, bo dała mi znak uniesioną dłonią. Nikt nie miał nic przeciwko temu i po prostu nie zwracał na to uwagi. Wszyscy się uśmiechali - rozumieli.

Potem spośród nas wyszła dziewczyna, ubrana w zwykłą wiejską sukienkę, pończochy i buty. Miała długie włosy, opadające jej na ramiona. Myślałem, że złożyła ręce do modlitwy, ale tylko trzymała je na sercu.

Stanęła obok Anny, na skraju rozpadliny. Nocą, przy księżycu, ogarnąłby mnie strach, lecz teraz się nie bałem. Już zostałem zaakceptowany i byłem jednym z nich. Promienie słońca na moment rozświetliły błękitny lód na brzegu otchłani. Wówczas wszyscy uklękli i zaczęli śpiewać hymn pochwalny.

Przez głowę przemknęła mi myśl, że ludzie dawniej modlili się w ten sposób i zawsze będą się tak modlić. Tu nie ma żadnej religii, żadnych zbawców ani świętości. Oni czczą jedynie słońce, które daje nam światło i życie. Zawsze tak było, od początku świata.

Promienie słońca przesunęły się dalej i wtedy dziewczyna wstała, zdjęła buty, pończochy i sukienkę. Anna podeszła do niej z nożem i ob-

cięła jej włosy nad uszami. Dziewczyna stała przed nią, trzymając dłoń na sercu.

„Teraz jest wolna”, pomyślałem. „Już nie wróci do doliny. Jej rodzice i narzeczony zapewne ją oplakują. Nigdy się nie dowiedzą, co znalazła na Monte Verita. W dolinie wzięłaby ślub i miała wesele, a potem cudowny romans zmieniliby się w monotonne życie małżeńskie. Musiałaby zajmować się domem, dziećmi, zaczęłyby się codzienne kłopoty, choroby, zmartwienia, a w końcu nadeszłyby szare dni starości. Teraz wszystkiego tego sobie oszczędziła. Tutaj miłość i uroda nie przemijają. Życie tu nie jest łatwe, Natura jednak nie zna litości. Ostatecznie ta dziewczyna sama tego chciała i dlatego opuściła dolinę. Tutaj pozna to, czego tam nigdy by nie poznała - namiętne uczucie, radość i śmiech, ciepło słońca, przyciąganie księżyca, miłość bez emocji, sen bez koszmarów. Właśnie dlatego ludzie z doliny tak nienawidzą Monte Verita i tak się boją tej góry. Na jej szczycie bowiem jest coś, czego pragną, lecz nigdy nie będą mieli, więc są wściekli, zawistni i nieszczęśliwi”.

Odróciwszy się, Anna ruszyła do schodów, a za nią poszła dziewczyna, która wraz z wiejskim ubraniem odrzuciła swoją płęć i teraz miała gołe ramiona, bose nogi i krótko obcięte włosy, i - jak wszyscy pozostali - była uśmiechnięta i rozpromieniona. Wiedziałem, że od tej chwili skończyły się jej troski.

Obie zeszły na dziedziniec, a mnie pozostawiły samego na szczycie. Czułem się jak wyrutek przed bramą niebios. Straciłem najlepszą okazję. One były wśród swoich - ja nie. Należałem do tego świata w dole.

Również zszedłem na dziedziniec, z powrotem włożyłem swoje ubranie, po czym przypomniałem sobie o Wiktorze i moim zadaniu. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że Anna czeka na mnie na wieży.

Kiedy tam wchodziłem, wszyscy rozpłaszczali się na ścianie, by mnie przepuścić. Zauważyłem, że jedynie Anna nosiła długą białą szatę z kapturem. Siedziała na ostatnim stopniu w jej charakterystyczny sposób, tak samo jak na taborecie przy kominku w jadalni - z łokciem opartym na kolanie. Miałem wrażenie, że wrócił tamten wieczór sprzed dwudziestu sześciu lat, że znowu jesteśmy we dwoje w dworku w Shropshire, emanował z niej bowiem ten sam spokój, co wtedy. Chciałem klęknąć obok niej i potrzymać jej dłoń, ale zamiast tego z założonymi rękami stałem pod ścianą.

- A więc wreszcie to znalazłeś. Trochę to trwało - powiedziała spokojnie i łagodnie głosem w ogóle nie zmienionym.

- Czy ty mnie tu ściągnęłaś? - zapytałem. - Ty mnie wezwałaś po katastrofie samolotu?

Zaśmiała się, a mnie się zdawało, że nigdyśmy się nie rozstawali, że na Monte Verita cofnął się czas.

- Już dawno chciałam, byś tu przyszedł, lecz ty zamknąłeś przede mną swoją duszę, jakbyś nie miał ochoty podnieść słuchawki, a przecież do rozmowy telefonicznej potrzebne są dwie osoby. W dalszym ciągu tak jest, prawda?

- Istotnie, ale już mamy nowocześniejsze urządzenia, choć nie do kontaktowania się dusz.

- Twoja była dla mnie niedostępna przez długie lata. Szkoda, bo mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Chcąc się ze mną kontaktować, Wiktor musiał pisać listy, a w twoim wypadku byłoby to niepotrzebne.

Chyba właśnie wtedy po raz pierwszy zaświtała mi nadzieja. Pomyślałem, że muszę znaleźć kontakt z Anną, ale trzeba postępować ostrożnie..

- Przeczytałaś listy? Mój też? - spytałem. - Wiesz, że Wiktor umiera?

- Tak. Choruje od wielu tygodni. To dlatego chciałam, abyś tu przyjechał i był z nim w ostatnich chwilach jego życia. Dobrze mu zrobi, jeśli do niego wrócisz i powiesz, że ze mną rozmawiałeś. Poczuje się szczęśliwy.

- Dlaczego nie pójdziesz do niego sama?

- Tak będzie lepiej. To mu pozwoli zachować marzenia.

Marzenia? O cojej chodzi? A więc tutaj, na Monte Verita, oni nie są wszechmocni? Czy Anna nie rozumie, że zbliża się niebezpieczeństwo?

- Zrobię, co sobie życzysz - powiedziałem. - Wrócę do Wiktora i zostanę z nim do końca. Niemniej ważniejsze jest to, że tutaj wam wszystkim grozi wielkie niebezpieczeństwo. Czas nagli. Jutro, a może nawet dziś wieczorem, ludzie z doliny zamierzają wejść na Monte Verita, wdrzeć się do klasztoru i was pozabijać. Musicie stąd uciec, zanim przyjdą. Jeśli nie wiecie, jak się ratować, pozwólcie, że wam pomogę. Nie jesteśmy aż tak daleko od cywilizacji, żeby to było niemożliwe. Zejdę do doliny, znajdę telefon, zadzwonię na policję, ściągnę wojsko, zawiadomię jakieś władze...

Urwałem, bo pragnąłem Annę przekonać, by mi zaufała, chciałem czuć, że mi wierzy, a sam jeszcze dobrze nie wiedziałem, jak im pomóc.

- Chodzi o to, że oni nie dadzą wam tu żyć - tłumaczyłem. - Nawet gdybym tym razem zdołał ich powstrzymać, w co wątpię, powtór-



rzą atak w przyszłym tygodniu albo za miesiąc. Dni waszego bezpieczeństwa są policzone. Tak długo żyłicie tu w zamknięciu, że nie rozumiecie obecnego świata ani że sytuacja się zmieniła. Nawet ten kraj jest rozdarty przez podejrzliwość, a mieszkańcy doliny już nie są przesadnymi chłopami. Dysponują nowoczesną bronią i pałają żądzą mordu. Na tej górze nie macie żadnych szans.

Nie odzywała się. Słuchała moich słów, spokojnie siedząc tam, na stopniu, ubrana w swoją szatę z kapturem, daleka i milcząca.

- Anno, Wiktor umiera. Kto wie, czy już nie umarł. Jeśli tu zostaniecie, on wam nie pomoże, lecz ja mogę. Zawsze cię kochałem. Nie trzeba ci tego mówić, bo pewnie się domyślałaś. Dobrze wiesz, że zniszczyłaś życie dwóch ludzi, kiedy dwadzieścia sześć lat temu zamieszkałaś na Monte Verita, ale to już nie ma znaczenia. Odnalazłem cię. Daleko stąd są jeszcze miejsca niedostępne dla cywilizacji, gdzie moglibyśmy żyć razem, ty i ja, a z nami ci, którzy tutaj są, jeśli tylko zechcą. Mam dość pieniędzy, by to wszystko zorganizować. O nic nie będziesz musiała się martwić.

Już widziałem, jak omawiam szczegóły techniczne z konsulami, ambasadami, załatwiając wize, dokumenty, odzież.

W wyobraźni patrzyłem też na mapę świata. Przenosiłem wzrok z łańcuchów górskich w Ameryce Południowej na Himalaje, z Himalajów na Afrykę, potem na ogromne regiony Kanady, bezludne i wciąż nie zbadane, na Grenlandię, a także na niezliczone wyspy, gdzie jeszcze nie stanęła ludzka stopa, odwiedzane jedynie przez morskie ptaki. Nie obchodziło mnie, co Anna wybierze - górę lub wyspę, dziki busz albo pustynię, nieprzebytą dżunglę czy arktyczne pustkowia - najważniejsze, że tak długo jej nie widziałem i pragnąłem jedynie pozostać z nią na zawsze.

Teraz okazało się to możliwe, ponieważ Wiktor, który miał do niej prawo, właśnie umierał. Powiedziałem to wszystko szczerze i bez ogródek, a potem, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, spytałem:

- No więc?

Anna wstała ze stopnia, zbliżyła się do mnie i spokojnie odparła:

- Pewnego razu jakiś człowiek podszedł do kasy na dworcu Waterloo i rzekł z nadzieją w głosie: „Poproszę bilet do raj. W jedną stronę”. Kiedy kasjerka mu powiedziała, że taka miejscowość nie istnieje, rzucił w nią kałamarnicą. Wezwano policję, która zamknęła tego człowieka w areszcie. Czy ty przypadkiem nie prosisz mnie o taki bilet do raj? Jesteś na górze prawdy, a to ogromna różnica.

Poczułem się urażony. Anna nie wzięła poważnie moich propozycji, a w dodatku ze mnie drwiła.

- W takim razie, co zamierzacie zrobić? - spytałem z irytacją, - Czekać tu, za tym murem, aż tamci przyjdą i go rozwalą?

- O nas się nie martw. Wiemy, co mamy zrobić.

Powiedziała to obojętnie, jakby ta sprawa była nieistotna, ja zaś z bólem stwierdziłem, że nie ziszczą się moje plany, dotyczące naszej wspólnej przyszłości.

- Czy wobec tego znasz jakiś sekret? - dopytywałem się niemal oskarżycielskim tonem. - Dokonasz cudu, by uratować siebie i pozostałych? A co ze mną? Nie możesz zabrać mnie ze sobą?

- Sam byś tego nie chciał - odparła, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Widzisz, budowa góry prawdy wymaga czasu. Nie wystarczy zdjąć ubranie i czcić słońce.

- Doskonale to rozumiem. Jestem gotów zacząć wszystko od początku, poznać nowe wartości. Wiem, że to, co dotychczas robiłem, jest na nic. Talent, ciężka praca, sukces nie mają żadnego znaczenia. Gdybym tylko mógł być z tobą...

- Ze mną? Jak?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, pytania te bowiem zadała zbyt nagle i zbyt bezpośrednio, ale miałem na myśli to, do czego dochodzi między kobietą a mężczyzną. Oczywiście nie zamierzałem tego robić od razu, lecz później, gdy już znajdziemy naszą górę czy pustynię i będziemy mogli we dwoje ukryć się przed światem. Nie musieliśmy zabierać się do tego natychmiast. Nade wszystko pragnąłem zostać z Anną, jeśli tylko mi pozwoli.

- Kocham cię i zawsze cię kochałem. Czy to nie wystarczy?

- Nie - odparła. - Nie na Monte Verita.

Ściągnęła kaptur i dopiero wtedy ujrzałem jej twarz.

Oniemiałem. Widok, który zobaczyłem, zmroził mi serce. Jedna strona jej twarzy była wyżarta przez chorobę. Skroń, policzek i szyję pokrywała zniekształcona skóra. Oczy, które niegdyś tak kochałem, były głęboko zapadnięte i miały pociemniałe białka.

- Widzisz, że tu nie raj - powiedziała Anna.

Chyba się odwróciłem, choć dobrze nie pamiętam. Wiem tylko, że oparłem się o kamienną ścianę wieży i wbiłem wzrok w wielką ławicę chmur kryjących świat w dole.

- To samo mieli inni, ale poumierali. Ja jeszcze żyję pewnie dlatego, że jestem odporniejsza. Trądem każdy może się zarazić, nawet

mieszkańcy Monte Verita, uważani za nieśmiertelnych. Wiesz, w rzeczywistości wcale nie chodziło o tę chorobę. Niczego nie żałuję. Pamiętam, jak dawno temu ci mówiłam, że góry wymagają poświęceń. I to właściwie wszystko. Ja już nie cierpię, więc nie widzę potrzeby, aby ktoś inny cierpiał za mnie.

Milczałem. Czułem, że łzy spływają mi po twarzy. Nawet ich nie ocierałem.

- Monte Verita to tylko złudzenia i marzenia ludzi z twojego świata - ciągnęła Anna. - Wybacz mi, jeśli zniszczyłam twoje wyobrażenie o mnie. Straciłeś Annę, jaką kiedyś znałeś, a zamiast niej znalazłeś całkiem inną osobę. Od ciebie zależy, którą z nich będziesz dłużej pamiętał. A teraz wracaj do swojego świata i buduj sobie własną górę prawdy.

Tam, w dole, rosły krzewy, trawa i karłowate drzewa, między skałami płynęły strumienie. W dolinie stały domy, a w nich mieszkali ludzie i wychowywali swoje dzieci. Z kominów unosił się dym, wieczorami okna jaśniały światłem. Gdzieś biegły drogi i tory kolejowe, leżały miasta, mnóstwo miast z licznymi ulicami i budynkami. Wszystko to znajdowało się tam, pod ławicą chmur, którą widziałem z Monte Verita.

- O nas się nie martw i nie obawiaj - mówiła dalej Anna. - Ludzie z doliny nic nam nie mogą zrobić. Jeszcze tylko jedna rzecz...

Urwała, a choć na nią nie patrzyłem, to jednak wiedziałem, że się uśmiechnęła.

- Pozwól Wiktorowi zachować marzenia - dokończyła.

Wzięła mnie za rękę i razem zeszliśmy po stopniach, a potem przez dziedziniec skierowaliśmy się do muru. Reszta mieszkańców klasztoru stała bez ruchu, cały czas nas obserwując. Zauważyłem wśród nich młodą wiejską dziewczynkę, która wyrzekła się świata i była jedną z nich. W jej oczach, zwróconych na Annę, nie widziałem strachu ani obrzydzenia. Dziewczynka i wszyscy pozostali patrzyli na Annę z triumfem i radością, jakby doskonale ją rozumieli. Teraz wiedziałem, że dzieli z nią to, co ona czuje i znosi, że się z tym godzą. Nie była sama.

Kiedy spojrzeli na mnie, wyraz ich oczu się zmienił - zamiast miłości i zrozumienia dostrzegłem współczucie.

Anna się ze mną nie pożegnała, a tylko na moment położyła mi dłoń na ramieniu i odeszła, kiedy mur się rozwarł. Słońce już chyliło się ku zachodowi. Z doliny podnosiły się wielkie ławice skłębionych białych chmur. Odwróciwszy się, ruszyłem w dół.

Do wioski dotarłem wieczorem. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Za dwie godziny, może trochę wcześniej, rozświetli całe niebo nad górami. Ludzie z doliny czekali. Musiało ich być ponad trzystu w grupach przed chatami. Wszyscy mieli jakąś broń - niektórzy karabiny, inni granaty, a reszta bardziej prymitywną: siekiery i motyki. Na drodze biegnącej przez wioskę rozpalili ogniska. Postarali się też o zapasy żywności. Siedząc lub stojąc przy ogniskach jedli, pili, rozmawiali i palili papierosy. Kilku trzymało psy na smyczach.

Mój gospodarz stał z synem przed wejściem do chaty. Oni też byli uzbrojeni. W rękę chłopaka dostrzegłem motykę, a za pasem nóż. Mężczyzna spojrział na mnie sennie tym swoim tępym wzrokiem.

- Pana przyjaciel nie żyje - oznajmił. - Umarł wiele godzin temu.

Odepchnąłem go i wpadłem do chaty. W izbie paliły się świece - jedna u wezgłowia, druga przy nogach. Pochyliwszy się nad Wikto-rem, chwyciłem go za rękę. Gospodarz mnie okłamał. Wiktor jeszcze oddychał. Kiedy poczuł dotknięcie mojej dłoni, otworzył oczy.

- Widziałeś ją? - spytał.

- Tak.

- Coś mi mówiło, że ją zobaczysz. Leżąc tu, czułem, że tak się stanie. Popatrz, ona jest moją żoną, kochałem ją tyle lat, a tylko tobie na to pozwoliła. Chyba już za późno na zazdrość, prawda?

Świece rzucały mdłe światło. Umierający Wiktor nie widział cieni pod drzwiami ani nie słyszał gwaru na dworze.

- Dałeś jej mój list? - szepnął.

- Oczywiście. Powiedziała, żebyś się o nią nie martwił. Czuje się dobrze. U niej wszystko w porządku.

Wiktor się uśmiechnął i puścił moją dłoń.

- A więc to prawda. Potwierdziło się wszystko, co w swoich marzeniach widziałem na Monte Verita. Anna jest szczęśliwa, zadowolona, nigdy się nie zestarzeje i nie straci urody. Powiedz mi, czy ona wciąż tak samo się uśmiecha, ma te same oczy i włosy?

- Nic się nie zmieniło - odparłem. - Anna na zawsze pozostanie najpiękniejszą ze wszystkich kobiet, jakie obaj znamy.

Wiktor milczał. Nagle ktoś zadał w róg, którego dźwięk trzykrotnie odbił się echem. Usłyszałem nerwową krzątaninę, kiedy ludzie zebrani w wiosce podnosili broń i zdeptywali ogniska, przygotowując się do wymarszu. Szczekały psy, podochoceni mężczyźni głośno się śmiali. Kiedy odeszli, wyszedłem z chaty. Samotnie stałem w opustoszałej wiosce i patrzyłem na księżyc w pełni, wschodzący nad ciemną doliną.

# Jabłonka

Dopiero trzy miesiące po śmierci żony pierwszy raz zwrócił uwagę na tę jabłonkę. Oczywiście wiedział, że rośla w ogrodzie między frontem domu a polami. Jednakże dotychczas nigdy nie zdawał sobie sprawy, że akurat ona czymkolwiek się wyróżnia, prócz tego, że jest trzecia od lewej, nieco odsunięta od pozostałych drzew i lekko się pochyla w stronę tarasu.

Właśnie się golił przy otwartym oknie w piękny, słoneczny poranek wczesną wiosną. Z namydloną twarzą, trzymając brzytwę w rękę, wychylił się, by zaczerpnąć świeżego powietrza, i wówczas jego wzrok padł na tę jabłonkę. Podobieństwo wydawało się uderzające. Być może sprawiły to promienie słońca, które wznosząc się nad lasem, oświetliły ją w tak szczególny sposób.

Położył brzytwę na parapecie i dokładniej przyjrzał się jabłonce. Żałośnie wąła, nie miała w sobie nic z masywności jej powykęcanych towarzyszek. Rzadkie górne gałęzie przypominały wąskie ramiona wysokiej postaci, jakby z rezygnacją kulące się z zimna w ten chłodny poranek. Otulina, sięgająca mniej więcej połowy pnia i umocowana drutem, wyglądała jak szara samodziałowa spódnica, która osłania chude nogi. Najwyższe gałęzie wyrastały ponad koronę, lecz jednocześnie były lekko zgięte wpół i mogły się kojarzyć z pochyloną głową znużonej osoby.

Jakże często widywał Midge, kiedy tak stała przygnębiona. W ogrodzie czy w domu, a nawet podczas zakupów w mieście, zawsze i wszędzie garbiła się w ten sposób, jakby chciała dać do zrozumienia, że życie jej nie pieści, że tylko ona jedna dźwiga niewyobra-

żalnie ciężkie brzemie, lecz mimo to bez skargi znieśie wszystko aż do końca.

- Midge, wyglądasz mi na zmęczoną. Na miłość boską, usiadłabyś i odpoczęła!

Słowa te kwitowała niezmiennym wzruszeniem ramion.

- Ktoś to musi zrobić - odpowiadała z westchnieniem.

Potem, prostując się, wracała do tych samych nudnych zajęć, nikomu niepotrzebnych, do których codziennie się przymuszała przez wszystkie te lata, podobne do siebie i dłużące się bez końca.

W dalszym ciągu wpatrywał się w jabłonkę. To przygarbienie męczennicy, ten pochylony wierzchołek, owo znużenie w obwisłych gałęziach i nieliczne liście, których nie stracił wiatr ni deszcz minionej zimy, teraz drżące w wiosennych podmuchach niby kosmyki włosów - wszystko to zdawało się bezgłośnie mu wyrzucać: „Wyglądałam tak przez ciebie, boś mnie zaniedbywał”.

Odwróciwszy się od okna, ponownie zaczął się golić. Nie chciał, by poniosła go fantazja - wolał nie wyobrażać sobie takich rzeczy, skoro wreszcie odzyskał wolność. Wykąpał się, ubrał i zszedł na śniadanie. W duchówce czekały jajka na boczku. Wyjął je i zaniósł do jadalni. Obok nakrycia dla jednej osoby na stole leżał świeży, równo złożony egzemplarz „Timesa”. Za życia Midge najpierw jej dawał gazetę. Kiedy po śniadaniu żona mu ją zwracała, by sobie poczytał w gabinecie, strony zawsze były poskładane krzywo i nie po kolei, co pozbawiało go części przyjemności w czasie lektury. Ponadto wiadomości sprawiały wrażenie starych, Midge bowiem najgorsze z nich czytała na głos. Miała zwyczaj robić to codziennie, a w dodatku wygłaszać własne komentarze i wszystko krytykować. Kiedy znajomym rodziło się dziecko, cmokała i kręciła głową, mówiąc:

- Biedaczyska, znowu dziewczynka - jeśli to była córka, a jeśli syn: - W obecnych czasach średnia przyjemność wychowywać chłopaka.

Uważał to za psychologiczną reakcję na brak własnych dzieci, który sprawiał, że Midge, kierowana zazdrością, niechętnie przyjmowała pojawienie się nowego człowieka na tym świecie. Z czasem jednak zaczęła w taki sposób odnosić się do wszystkiego, co radosne i miłe, jakby dobry humor w samej swojej istocie miał zgubny wpływ.

- Tu piszą, że w tym roku więcej ludzi wyjechało na urlop niż dawniej. Miejmy nadzieję, że dobrze się bawia.

Niemniej w jej słowach wcale nie było nadziei, lecz wzgarda. Po śniadaniu Midge energicznie odsuwała się od stołu.

- No, cóż... - mówiła z westchnieniem.

Nigdy nic więcej nie powiedziała, ale westchnienia, wznoszenie ramiionami i sposób, w jaki pochylała chudy grzbiet, zbierając naczynia, by oszczędzić pracy służącej na przychodne - wszystko to składało się na nieustanną wymówkę, adresowaną do męża i zatruwającą im życie przez wiele lat.

On milczał i tylko skwapliwie otwierał drzwi, by mogła wejść do kuchni. Wówczas przechodziła obok niego, ostentacyjnie uginając się pod ciężarem pełnej tacy, choć wcale nie musiała jej odnosić. Usłyszawszy szum wody, dobiegający zza uchylonych drzwi, wracał na swoje krzesło i sięgał po „Timesa”, który leżał na opiekaczu, wysmarowany dżemem pomarańczowym. I wtedy znów tłukło mu się po głowie natrętne pytanie: „Co ja jej zrobiłem?”

Przyznał, że nie zrzędziła. Gderliwe żony i teściowe pojawiają się najczęściej w wyświechtanych kawałach, dobrych dla marnych kabaretów. O ile pamiętał, Midge nigdy nie wpadała w złość ani się z nim nie kłóciła. Tylko te nie wypowiedziane żale, połączone z godnością, z jaką cierpiała, psuły atmosferę sprawiając, że czuł się winny i wszystko robił ukradkiem.

Kiedy zanosilo się na deszcz, uciekał do swojego gabinetu, gdzie w cieple elektrycznego piecyka palił pierwszą fajkę po śniadaniu. Wypełniając pokój dymem, siadał przy biurku, jakby chciał pisać listy, lecz w rzeczywistości po to, by napawać się bezpieczeństwem w zaciszu czterech własnych kątów. Wtedy otwierały się drzwi i w progu stawała Midge, ubrana w filcowy kapelusz o szerokim rondzie, zsunięty na czoło. Z trudem wkładając płaszcz przeciwdeszczowy, marszczyła nos i z niesmakiem rzucała:

- Fu! Ale zaduch.

Nie odpowiadał, a jedynie lekko pochylał się do przodu, by zasłonić ręką powieść, którą z nudów zaczął czytać.

- Nie wybierasz się do miasta?

- Szczerze mówiąc, nawet o tym nie pomyślałem.

- Aha. Cóż, trudno...

Odwracała się do drzwi.

- A dlaczego pytasz? Chciałaś coś załatwić?

- Jedynie rybę na obiad. W środy nie ma dostaw. Ale przecież mogę ją kupić sama, skoro ty jesteś zajęty. Tylko ot tak przyszło mi do głowy...

Nie kończąc zdania, wychodziła z pokoju.

- No dobrze. Midge! - wołał. - Tylko wyprowadzę samochód i zaraz pojedę po tę rybę. Nie ma sensu, żebyś mokła.

Sądząc, że go nie słyszy, wybiegał za nią do hallu. Stała w padającej mżawce przy otwartych drzwiach. Z koszykiem wiszącym w zgięciu łokcia wciągała na dłonie ogrodowe rękawice.

- I tak musiałabym zmoknąć, więc dla mnie to prawie bez różnicy - odpowiadała. - Spójrz na te kwiaty. Trzeba je wszystkie podeprzeć palikami. Po rybę pójdę, kiedy się z tym uwinę.

Uważał, że nie warto jej przekonywać. Już sama zdecydowała. Zamykał drzwi i wracał do gabinetu, który teraz wydawał mu się jakby mniej przytulny. Nieco później widział ją przez okno - w krzywo zapiętym, powiewającym płaszczu szła energicznym krokiem; na rondzie jej kapelusza zbierały się drobne kropelki wody; w koszyku niosła oklapnięte michałki. Wówczas ogarniały go wyrzuty sumienia, pochylał się i wyłączał jedną spiralę piecyka.

Bywało też, że wiosną czy latem wychodził do ogrodu, by z gołą głową i rękami w kieszeniach wolno pospacerować bez szczególnego celu - chciał tylko poczuć na plecach ciepło słońca, a także popatrzeć na las, pola i krętą, leniwą rzekę. Wracając przez taras słyszał, że odkurzac, który przeraźliwie wył na piętrze, raptownie ucichł, a potem z góry dobiegało wołanie Midge:

- Zamierzałeś coś zrobić?

Nie zamierzał. Po prostu znalazł się w ogrodzie przyciągnięty zapachem wiosny, wczesnego lata. Napawał się świadomością, że skoro już nie pracuje w City i jest na emeryturze, czas przestał się dlań liczyć i może go do woli marnować.

- Nie - odpowiadał. - Nie w taki piękny dzień. A o co ci chodzi?

- Właściwie o nic. Tylko że znowu jest zatkana ta nieszczęsna studzienka pod oknem kuchni. Zapchała się na amen, bo nie ma kto się nią zająć. Sama będę musiała się do tego wziąć po południu.

Z głośnym westchnieniem znikwała we wnętrzu pokoju i wkrótce znowu zaczynał wyć odkurzac. Jak można takim głupstwem psuć nastrój pięknego dnia. Nie chodziło mu o czyszczenie studzienki - co wcale nie było uciążliwe, przypominało bowiem dziecięce taplanie się w błocie - lecz o to, że blada twarz żony, patrzącej na taras zalany słońcem, ręka, która w geście pełnym znużenia odgarniała opadający kosmyk, i owo nieuchronne westchnienie, gdy odwracała się od okna, wyrażały nie wypowiedziane słowa: „Szkoda, że ja nie mam czasu na leniuchowanie, bo też bym sobie postała w słońcu. Cóż, trudno...”



Kiedyś zaryzykował i spytał, czy koniecznie trzeba tak często sprzątać dom. Po co ciągle wybebeszać pokoje, ustawiać krzesła jedno na drugim, rolować dywany i zwałać bibeloty na gazetę, a zwłaszcza dlaczego Midge i służąca, niczym niewolnice w dawnych czasach, muszą mozolnie froterować na klęczkach taki kawał podłogi przy ścianach długiego korytarza na piętrze, skoro i tak wszyscy chodzą środkiem?

Popatrzyła na niego zdziwionym wzrokiem.

- Pierwszy byś narzekał, gdyby dom wyglądał jak chlew. Sam lubisz komfort.

Żyli zatem w innych światach, mieli różne zapatrywania. Czy tak było zawsze? Nie pamiętał. Prawie dwadzieścia pięć lat po ślubie mieszkali pod jednym dachem siłą przyzwyczajenia.

Kiedy jeszcze pracował, zdawał się wszystko widzieć inaczej. Dostrzegał mniej rzeczy. Wracał do domu, by się najeść i wyspać, a rano znów jechał pociągiem do miasta. Jednakże po przejściu na emeryturę chcąc nie chcąc częściej przebywał z żoną i z każdym dniem coraz bardziej odczuwał jej wieczne pretensje i brak aprobaty dla tego, co robił.

W końcu tak mu to zaczęło doskwierać, że w ciągu ostatniego roku przed śmiercią Midge pod byle pretekstem wymykał się z domu. Udawał, że jedzie do Londynu, by iść do fryzjera czy dentysty albo zjeść obiad z dawnym kolegą z pracy, a w rzeczywistości siedział przy oknie w swoim klubie, gdzie anonimowo delectował się spokojem.

Choroba, która zabrała mu żonę, okazała się łaskawa, szybko bowiem dokonała swego dzieła. Po grypie nastąpiło zapalenie płuc i Midge umarła w ciągu tygodnia. Prawie nie zauważył, jak do tego doszło. Wiedział, że jak zwykle była przemęczona i się zaziębiła, ale nie chciała leżeć w łóżku. Któregoś wieczora, kiedy ostatnim pociągiem wrócił z Londynu, dokąd czmychnął po południu, by w kinie szukać wytchnienia wśród tłumu sympatycznych, życzliwych ludzi, miło spędzających czas w ciepłe - tego grudniowego dnia panował przenikliwy ziąb - zastał żonę w piwnicy, gdzie schylona nad piecem dłuwała po-grzebaczem w palenisku.

Zwróciła ku niemu ściągniętą twarz, bladą ze zmęczenia.

- Ależ Midge, na miłość boską, co ty wyprawiasz?

- Wszystko przez ten piec - odparła. - Bez przerwy gaśnie. Będziemy musieli wezwać zduna, żeby jutro do niego zajrzał. Ja naprawdę sama nie daję sobie rady z takimi rzeczami.

Policzek miała umorusany węglem. Wypuściwszy pogrzebacz, który z brzękiem upadł na podłogę, zaczęła kasłać, krzywiąc się przy tym z bólu.

- Powinnaś leżeć w łóżku. Jeszcze nie słyszałem o takim braku rozsądku. Czy piec, u licha, jest ważniejszy?

- Myślałam, że przyjedziesz wcześniej i jakoś się z nim uporasz. Cały dzień było okropnie zimno. Nie wyobrażam sobie, co w taką pogodę mogłeś robić w Londynie.

Garbiąc się, powoli wyszła z piwnicy. Na ostatnim schodku przystanęła. Trzęsła się, opadały jej powieki.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, od razu podam ci kolację, żeby już to załatwić - powiedziała. - Mnie się nie chce jeść.

- Do diabła z kolacją! Sam mogę ją sobie podać. Idź na górę i się połóż. Przyniosę ci coś gorącego do picia.

- Nic mi nie trzeba. Termofor sama przygotuję. Tylko proszę cię o jedno: pogaś wszystkie światła, zanim pójdziesz spać.

Kiedy ruszyła do hallu, opadały jej ramiona.

- Chyba szklanka mleka...? - odezwał się niepewnie, zdejmując płaszcz.

Z kieszeni wypadła mu połówka biletu do kina. Żona to spostrzegła, ale nic nie powiedziała. Znowu zaczęła kasłać i powlokła się na piętro.

Następnego dnia miała trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Przyszedł lekarz i oznajmił, że to zapalenie płuc. Spytała, czy może dostać separatkę w miejscowym szpitalu, bo dla pielęgniarki opieka w domu okazałaby się zbyt kłopotliwa. To było we wtorek rano. Zabrali ją natychmiast, a w piątek wieczorem mu powiedzieli, że najprawdopodobniej nie przeżyje nocy. Usłyszawszy to, stał i patrzył na nią ze ściśniętym sercem. Leżała na bezosobowym szpitalnym łóżku, właściwie niemal siedząc, bo z pewnością dali jej za dużo poduszek, i z głową uniesioną tak wysoko w żaden sposób nie mogła wypocząć. Przyszedł z kwiatami, ale uznał, że nie ma sensu wstawiać ich do wazonu, skoro Midge była zbyt chora, żeby na nie spojrzeć. Chcąc zachować się delikatnie, ukradkiem położył je na stoliku przy parawanie, kiedy pielęgniarka się nad nią pochylała.

- Czy nic jej nie trzeba? - zapytał. - Łatwo mógłbym...

Nie dokończył zdania licząc, że tamta zrozumie jego intencje i gotowość przywiezienia samochodem wszystkiego, czego żona by sobie życzyła.

Pielęgniarka przecząco pokręciła głową.

- Zadzwonimy do pana, gdyby coś się zmieniło.

„Ajakich zmian można oczekiwać?“, pomyślał wychodząc ze szpitala. „Ta blada, ściągnięta twarz na poduszkach już się nie zmieni - należy do osoby, która nad nią nie panuje”.

Midge umarła w sobotę nad ranem.

Nie był człowiekiem religijnym i nie wierzył w nieśmiertelność, lecz gdy już pochował żonę i pogrzeb się skończył, gnębiła go myśl o jej biednym samotnym ciele, które leżało w nowiutkiej trumnie z mosiężnymi uchwytami. Takie traktowanie zmarłych wydawało mu się prostackie. Uważał, że śmierć powinna raczej przypominać spokojne pożegnanie z kimś bliskim na dworcu przed długą podróżą. Jest coś nieprzyzwoitego w pośpiechu, z jakim zakopuje się pod ziemią to, co dalej byłoby żywym człowiekiem, gdyby nie pechowy przypadek. Kiedy opuszczali trumnę do grobu, strapiiony wyobraził sobie, że słyszy, jak Midge wdycha:

- No, cóż...

Pocieszał się nadzieją, że mimo wszystko istnieje jakiś pozagrobowy raj i Midge, nieświadoma tego, co uczyniono z jej doczesnymi szczątkami, chodzi gdzieś po zielonych polach. A jeżeli tak, to z kim? Jej rodzice umarli w Indiach przed wielu laty - nie miałyby z nimi wiele wspólnego, gdyby ją spotkali u bram niebios. Nagle w wyobraźni ujrzął Midge, stojącą z miną męczennicy w kolejce, raczej bliżej końca - jak zawsze, kiedy robiła zakupy - z dużą słomianą torbą, którą wszędzie zabierała. Wchodząc do raju przez kołowrót, z wyrzutem popatrzyła na męża.

Oba te obrazy - trumny i kolejki - zostały w jego pamięci około tygodnia, z każdym dniem coraz bardziej się zacierając, a potem zapomniał o żonie. Cieszył się wolnością, pustym słonecznym domem i pogodną mroźną zimą. Teraz sam ustalał porządek dnia. W ogóle nie myślał o Midge aż do tego ranka, gdy spojrzał na jabłonkę.

Później, kiedy spacerował po ogrodzie, ciekawość zawiodła go pod to drzewo. Poprzednie wrażenie uznał za głupi wybryk fantazji. Jabłonka niczym szczególnym się nie wyróżniała. Była podobna do innych. Przypomniawszy sobie, że jednak zawsze wyglądała marniej od swoich towarzyszek i nawet się mówiło, by ją ściąć, jako niemal martwą, lecz ostatecznie nic z tego nie wynikło. Cóż, można by to zrobić pod koniec tygodnia. Ścinanie drzewa jest zdrowym zajęciem, a takie drewno ładnie pachnie, gdy płonie na kominku.

Niestety, nie mógł się do tego zabrać, następnego dnia bowiem rozpadało się prawie na tydzień. W taką pogodę nie ma sensu wychodzić na dwór, tym bardziej że można się przeziębic. Z okna sypialni ciągle jednak spoglądał na jabłonkę. Zaczęło go irytować to wątłe drzewo, przycięte jakby obawiało się zmoknąć. Właściwie nie było zbyt zimno, a deszcz przypominał raczej mżawkę. Żadne z pozostałych drzew nie wywierało tak przynębiającego wrażenia. Widział młodą jabłonkę, posadzoną zaledwie przed kilku laty, co dobrze pamiętał. Silna rosła prosto obok tamtej, wyciągając ku niebu sprężyste gałęzie, jakby cieszyła się deszczem. Patrzył na nią przez okno i się uśmiechał. Dlaczego, u licha, właśnie teraz musiał sobie nagle przypomnieć tamtą historię sprzed wielu lat, związaną z dziewczyną, która w czasie wojny przyjechała na kilka miesięcy, by pracować na roli w sąsiednim gospodarstwie? Od dawna o niej nie myślał. W gruncie rzeczy zdarzenie to było całkiem błahę. Pomagał tam w weekendy, wykonując obowiązkowe roboty, i stale ją spotykał - wesołą, śliczną, uśmiechniętą. Miała ciemne, kędzierzawe włosy, obcięte jak u chłopca, i skórę niczym świeżo zerwane jabłko.

Zawsze się cieszył na te sobotnie i niedzielne spotkania, stanowiące antidotum na całodzienne gderanie Midge i nieustanne rozmowy o wojnie. Lubił patrzeć na to dziecko - dziewczyna miała najwyżej dziewiętnaście lat. Nosiła wąskie pumpy i kolorowe bluzki, a kiedy się uśmiechała, miał wrażenie, że uśmiecha się do niego cały świat.

Nawet nie wiedział, jak do tego doszło, ale któregoś popołudnia stała obok, bardzo blisko, gdy schylony nad silnikiem dłubał przy traktore w szopie. Oboje się śmiali. W pewnej chwili odwrócił się po szmatę, by przetrzeć świecę. Nagle dziewczyna znalazła się w jego ramionach; zaczął ją całować. Było to bardzo spontaniczne. Czuł się szczęśliwy i wolny. Dziewczyna, ciepła i rozkoszna, miała takie świeże, młode usta. Później na powrót zajęli się traktorem, lecz teraz złączeni wspólnym przeżyciem, które dawało im radość i spokój. Kiedy musiała nakarmić świnię, wyszedł z szopy razem z nią, trzymając rękę na jej ramieniu. Ten beztróski gest, choć trochę pieśczośliwy, w istocie nie miał żadnego znaczenia. Na podwórku stała Midge. Patrzyła na nich.

- Muszę jechać na zebranie Czerwonego Krzyża, tylko że nie mogę zapalić samochodu - powiedziała. - Wołałam cię, ale chyba nie sły-  
szaleś.

Natychmiast poczuł się winny. Midge z kamienną twarzą przyglądała się dziewczynie, która wesoło powiedziała jej „dobry wieczór” i ruszyła do świń.

Razem z Midge poszedł do samochodu i uruchomił go za pomocą korby. Podziękowała mu obojętnie. Unikał jej wzroku, a tym samym jakby przyznał się do cudzołóstwa. Do grzechu. Pewnie na drugiej stronie gazety przeczyta w niedzielę: „W Shed żona przyłapała męża z dziewczyną z Pomocniczej Służby Rolnej. Nakryła ich w szopie”. Kiedy wrócił do domu, tak mu się trzęsły ręce, że musiał się napić. Midge przemilczała tę historię, nie wspominając o niej nawet jednym słowem. W następnym tygodniu tchórzostwo nie pozwoliło mu iść do sąsiadów, a później się dowiedział, że dziewczynę wezwano do chorej matki i wyjechała.

Już nigdy więcej jej nie widział. Zastanawiał się, dlaczego nagle o niej sobie przypomniał w taki dzień, gdy patrzył na jabłonie w deszczu. Uznał, że koniecznie trzeba ściąć stare, martwe drzewo, choćby tylko po to, by dać więcej słońca młodej i silnej jabłonce - rosnąc zbyt blisko tamtej, nie miała równych szans.

W piątek po południu ruszył do warzywnika na poszukiwanie Willisa, który tam pracował trzy razy w tygodniu. Chciał mu wypłacić pensję, a także zajrzeć do szopy z narzędziami, by sprawdzić, czy piła i siekiera są naostrzone. Ogrodnik zawsze dbał o porządek - szkoła Midge - więc oba narzędzia wisiały na swoich miejscach na ścianie.

Zapłacił Willisowi i już odchodził, gdy tamten nagle się odezwał:

- Dziwna sprawa z tą starą jabłonką, prawda, proszę pana?

Ta niespodziewana uwaga aż go wstrząsnęła. Czuł, że zmienia się na twarzy.

- Z jabłonką? Którą? - spytał.

- Nie wie pan? Z tą tam, przy tarasie. Nigdy nie rodziła, jak tu pracuję, a minęło już parę lat. Nie dała ani jednego jabłka, żadna jej gałązka nawet nie zakwitła. Mieliśmy ją ściąć tamtej mroźnej zimy, pamięta pan, aleśmy tego nie zrobili. No, a teraz pączkuje. Nie zauważył pan?

Ogrodnik patrzył na niego z chytrym uśmiechem.

O co mu chodzi? To niemożliwe, żeby i jego uderzyło tamto dziwne podobieństwo - nie, z całą pewnością nie, bo byłaby to nieprzyzwoitość, wręcz bluźnierstwo. Zresztą sam usunął to z pamięci i już o tym nie myślał.

- Niczego nie zauważyłem - odpowiedział na swoją obronę.

Willis się zaśmiał.

- Proszę podejść do tarasu, to panu pokażę.

Kiedy razem zbliżyli się do jabłonki, Willis przyciągnął gałąź, do której mógł sięgnąć. Trochę trzeszczała, jakby zeszywniała i nie chciała się poddać. Ogrodnik starł z niej zeschnięte porosty i odsłonił szpiczaste zawiązki kwiatów.

- Niech pan popatrzy. Wypuszcza pączki. Proszę się przyjrzeć i ich dotknąć. Są pełne życia. O niczym podobnym jeszcze nie słyszałem. Na tamtej też.

Puścił gałąź i wspiąwszy się na palce, sięgnął po drugą.

Miał rację. Również na niej było mnóstwo pączków, lecz tak drobnych i ciemnych, że wydawały się nie zasługiwać na swoją nazwę - bardziej przypominały zakurzone, suche narośle, pokrywające gałązki. Na myśl o ich dotykaniu właściciel poczuł dziwny niesmak. Wsadził ręce do kieszeni.

- Moim zdaniem niewiele z nich wyrośnie - rzekł.

- Bo ja wiem? - odparł Willis. - Ja jednak mam nadzieję. Przetrwiała zimę i jeśli nie wystąpią większe przymrozki, nie wiadomo, co się okaże. Staruszka zrobiłaby niezły kawał, gdyby zakwitła. Jeszcze będzie rodzić...

W czułym geście zażyłości poklepał pień otwartą dłonią.

Właściciel jabłonki się odwrócił. Z jakiegoś powodu irytował go ogrodnik. Myślałby kto, że to przekłete drzewo żyje. Teraz z planuje go ścięcia w weekend nic nie wyjdzie.

- Zabiera światło temu młodemu drzewku - rzekł. - Nie byłoby sensowniej, gdybyśmy dali mu więcej miejsca, usuwając stare?

Podszedł do młodej jabłonki i jej dotknął. Miała gładkie gałązki bez żadnych porostów, a wszystkie pokryte ciasno zwiniętymi pączkami. Nagiał jedną i puścił - sprężyste od niego odskoczyła.

- Usunąć ją, mimo że jeszcze żyje? O nie, proszę pana. Na pańskim miejscu bym tego nie robił. Ona wcale nie szkodzi tej młodej. Ja tam bym dał staruszce jeszcze jedną szansę. Jeśli nie będzie owocować, to ją zetniemy następcy zimy.

- No dobrze, Willis - powiedział i pośpiesznie odszedł, miał już bowiem dość tej rozmowy.

Wieczorem tego samego dnia, kiedy kładł się spać, jak zwykle otworzył okno na oścież i rozsunał zasłony; nie znosił budzić się rano w pokoju, w którym brakuje powietrza. Księżyc w pełni rzucał upiornie blade światło na taras i ogród. W ogóle nie było wiatru. Panowała zupełna cisza. Mężczyzna wychylił się z okna, by się nią nacieszyć, i wtedy jego wzrok padł na młodą jabłonkę. W srebrzystej poświacie

wyglądała jak z bajki. Drobna, smukła i gibka, niczym baletnica z uniesionymi rękami, stojąca na palcach, gotowa do tańca. Ileż w tym bez troski, radości i wdzięku. Dzielne drzewko. Obok, z lewej strony, dostrzegł tamtą starąjabłonkę, jeszcze do połowy w cieniu. Nawet księżyc nie mógł dodać jej urody. Na Boga, czy ona musi tam tak tkwić, pochylona i obwisła, zamiast garnąć się do światła? Zakłócała wieczorny spokój, szpeciła krajobraz. Mężczyzna uznał się za głupca, że ustąpił Willisowi i się zgodził ją oszczędzić. Te jej mizerne pączki, śmiechu warte, nigdy nie rozkwitną, a gdyby nawet...

Zaczął gdzieś błędzić myślami i po raz drugi w tym tygodniu przypomniawsobiesobie tamtą dziewczynę i jej wesoły uśmiech. Ciekawiło go, co się z nią działo. Prawdopodobnie wyszła za męża, miała dzieci. Nie wątpił, że uszczęśliwiła jakiegoś faceta. No, cóż... Uśmiechnął się. Czyżby zaczął używać tego samego wyrażenia? Biedna Midge. Nagle go zatkało i zeszytniał z ręką na zasłonie. Stara jabłonka już nie była w cieniu. W blasku księżycy widział uschłe gałęzie, przypominające chude ręce, uniesione w błagalnym geście, przemarznięte i zdrętwiałe aż do bólu. Inne drzewa stały nieruchomo z braku wiatru, ona jednak zadrżała, jakby powiało nie wiadomo skąd, a potem znów ucichło. W tym momencie na ziemię spadła odłamana gałąź. To była ta z drobnymi, ciemnymi pączkami, których nie chciał dotknąć. Pozostałe drzewa nawet nie zaszeleściły. Wpatrywał się w gałąź - leżała na trawie w świetle księżycy, przecinając cień młodego drzewka, i wydawała się je wskazywać oskarżycielskim gestem.

O ile dobrze pamiętał, po raz pierwszy w życiu zaciągnął zasłony na okno, aby światło księżycy nie wpadało do pokoju.

Warzywnikiem zajmował się Willis. Kiedy jeszcze żyła Midge, prawie nigdy nie pokazywał się przed domem od frontu, a to dlatego, że kwiaty pielęgnowała ona. Nawet sama ścinała trawę, pchając zdezelowaną kosiarkę, nisko pochylona nad uchwytami.

Koszenie trawy należało do zadań, które sobie wyznaczyła, takich jak sprzątanie pokoi czy froterowanie. Teraz, skoro jej zabrakło i nie było komu zajmować się ogrodem przed domem ani mówić Willisowi, gdzie ma pracować, zawsze robił to on. Zmiana ta go urządziła, czuł się bowiem odpowiedzialny za całość.

- Nie rozumiem, jak ta gałąź mogła się ułamać, proszę pana - oznajmił w poniedziałek.

- Jaka gałąź?

- Ta, cośmy ją oglądali w piątek.  
- Przypuszczalnie spróchniała. Mówiłem, że to drzewo jest martwe.

- Wcale nie spróchniała, proszę pana. Niech pan ją obejrzy. Po prostu złamana.

Właściciel znowu musiał iść do ogrodu przed tarasem. Willis podniósł gałąź. Pokrywające ją mokre porosty były zszargane i przypominały zmierzwione włosy.

- A czy w ciągu ostatnich dwóch dni nie przychodził pan tutaj, żeby popatrzeć na tę gałąź, i przypadkiem jej nie nadwerężył? - spytał ogrodnik.

- Z całą pewnością nie - odpowiedział poirytowany właściciel. - Prawdę mówiąc słyszałem, jak się złamała. Wieczorem, kiedy otwierałem okno sypialni.

- Dziwne. Wieczór był bardzo spokojny.

- Starym drzewom takie rzeczy często się zdarzają. Nie rozumiem, dlaczego pan się przejmuje akurat tą jabłonką. Myślałby kto... - Urwał nie wiedząc, co powiedzieć, ale zaraz dokończył zdanie: - Myślałby kto, że to cenne drzewo.

Ogrodnik pokręcił głową.

- Tu nie chodzi o jej wartość - rzekł. - Nawet nie przyszło mi to do głowy. Idzie o to, że cały czas uważaliśmy ją za martwą, a ona żyje i, że tak powiem, protestuje. Według mnie to wybryk natury. Miejmy nadzieję, że przed kwitnieniem już żadna gałąź się nie złamie.

Kiedy później wyszedł na popołudniowy spacer, zobaczył, jak ogrodnik kosi trawę wokół tego drzewa i nowym drutem owija pień. Zupełny bezsens. Przecież płacił mu całkiem niezłą pensję po to, by się zajmował warzywnikiem, a nie dłubał przy półmartwym drzewie. Spieranie się z Willisem kosztowałyoby jednak zbyt dużo wysiłku.

Ze spaceru wrócił około wpół do szóstej. Po śmierci Midge zrezygnował z podwieczorków i teraz cieszył się na to, że z fajką i szklaniczką whisky z wodą sodową posiedzi sobie w ciszy przy kominku.

Ogień rozpalono niedawno. Kominek dymił, wypełniając salon mdlącą wonią. Mężczyzna pootwierał okna i wszedł na górę, by zmienić ciężkie buty. Kiedy ponownie znalazł się na dole, salon w dalszym ciągu był zadymiony, a owa nieprzyjemna woń, osobliwie słodkawa - jeszcze intensywniejsza. Nie potrafił jej określić. Wywołał służącą z kuchni.

- Co to za dziwny zapach w domu? - spytał.



Kobieta weszła do hallu.

- Jaki zapach, proszę pana? - odpowiedziała urażonym tonem.  
- Ten w salonie. Pełno tam dymu. Czy pani czegoś nie paliła?  
- To na pewno te polana, które przyniósł Willis - wyjaśniła rozchmurzając się. - Mówił, że narąbał ich specjalnie dla pana i że pan się ucieszy.

- A co to za drewno?

- Jabłoń. Powiedział, że pociął jakąś gałąź. Zawsze słyszałam, że to drewno dobrze się pali. Niektórzy lubią zapach, jaki wtedy wydaje, ale ja teraz nic nie czuję, bo się trochę przeziębiam.

Oboje patrzyli na ogień. Willis przygotował krótkie polana. Chcąc sprawić przyjemność właścicielowi domu, służąca ułożyła je w stos, by długo się paliły, a tymczasem drewno ledwo się tliło. Z kominka snuł się zielonkawy, gryzący dym. Czy to możliwe, żeby ta kobieta go nie czuła?

- Te polana są mokre. Willis powinien zdawać sobie z tego sprawę. Widzi pani? W ogóle nie nadają się do palenia.

- Bardzo mi przykro - odparła służąca z zawziętą, nadasaną miną.  
- Kiedy przyszłam rozpalić ogień, nic takiego nie zauważyłam. Z początku świetnie się paliły. Zawsze sądziłam, że właśnie drewno jabłoni doskonale nadaje się do palenia, i Willis też tak uważa. Powiedział mi, żebym koniecznie dziś użyła tych polan, bo specjalnie przygotował je dla pana. Myślałam, że pan o tym wiedział i sam kazał tak zrobić.

- Oj, dobrze, już dobrze - mruknął opryskliwie. - Chyba w końcu się rozpała. To nie pani wina.

Odwrócił się do niej tyłem i zaczął grzebać w palenisku, próbując rozdzielić polana. Nic więcej nie mógł zrobić, dopóki ona była w domu. Gdyby wyjął mokre, ledwo tłące się drewno i wyrzucił je za dom, a potem przyniósł suche patyki i sam od nowa rozpałił ogień w kominku, nie uniknęłyby jej komentarzy. Musiałby iść przez kuchnię. Wówczas służąca by go zauważyła i niechybnie by się odezwała: „Pozwoli pan, że ja to zrobię. Więc jednak zgasło?” Nie, trzeba jakoś wytrzymać ten smród i poczekać, aż ona po kolacji sprzątnie ze stołu, pozmywa i pójdzie do domu.

Nalał sobie whisky, zapalił fajkę i patrzył na tłące się polana, które przy wyłączonym centralnym ogrzewaniu nie dawały ciepła. W salonie panował nieprzyjemny chłód. Z kominka snuła się cienka strużka zielonkawego dymu o słodkawej, mdlącej woni, jakiej nie wydawało żadne inne drewno. Ten ogrodnik głupio i niepotrzebnie

się wtrącił. Po co rąbał tę gałąź? Musiał wiedzieć, że jest całkiem mokra. Mężczyzna pochylił się do przodu, by dokładniej się przyjrzeć. Czy z białego drewna rzeczywiście sączy się woda? Nie, to ohydny, śluzowaty sok.

W przypiływie irytacji mężczyzna chwycił pogrzebacz i zaczął trącać nim polana, by zielonkawy dym wreszcie zniknął i pokazały się płomienie. Daremny trud. Drewno nie chciało się palić, a przy tym cały czas ów sok ściekał na ruszt, wypełniając salon słodką wonią. Wziąwszy szklanekę i książkę, mężczyzna przeszedł do swojego pokoju, gdzie włączył elektryczny piecyk.

Idiotyczna sprawa. Przypomniała mu, jak dawniej udawał, że pisze listy w gabinecie, bo w salonie siedziała Midge. Po całodziennej pracy, wieczorami nieustannie ziewała - przyzwyczajenie, które w ogóle nie docierało do jej świadomości. Rozsiadała się na kanapie i zawzięcie przerabiała oczka, wywijając drutami. Nagle, ni stąd, ni zowąd, gdzieś z głębi jej ciała dobywało się to denerwujące ziewanie: „A... Aa... Oooo...”, po czym nieodmiennie wdychała. Później zapadała cisza, w której słyszeć było tylko postukiwanie drutów, ale on siedząc z książką czekał, wiedział bowiem, że wkrótce rozlegnie się następne ziewnięcie i kolejne westchnienie.

W takich chwilach ogarniała go bezsilna złość. Miał wielką ochotę rzucić książkę i powiedzieć:

- Słuchaj, skoro jesteś tak zmęczona, nie byłoby lepiej, gdybyś poszła do łóżka?

Opanowywał się jednak, a po jakimś czasie, kiedy już nie mógł wytrzymać, wstawał i wychodził z salonu, by szukać schronienia w gabinecie. Teraz ponownie zrobił to samo z powodu drewna jabłoni, uciekając przed nieznośną wonią tłących się polan.

Siedział na swoim miejscu za biurkiem, czekając na kolację. Już zbliżała się dziewiąta, gdy służąca sprzątnęła ze stołu, pościeliła gospodarzowi łóżko i udała się do domu.

Wtedy wrócił do salonu, dokąd nie zaglądał przez cały wieczór. Ogień na kominku zgasł. Zapewne jednak przez jakiś czas się palił, bo polana ściemniała i nieco się zapadły na ruszcie. Popiołu prawie nie było, ale dogasający żar w dalszym ciągu rozsiewał tę mdlącą woń. Mężczyzna poszedł do kuchni, gdzie znalazł puste wiadro na węgiel. Zaniósł je do salonu, po czym wypełnił nadpalonym drewnem i popiołem. Albo na dnie znajdowały się resztki mokrego miału, albo polana jeszcze nie całkiem wyschła, kiedy bowiem wrzucił je do wiadra,

jakby pociemniały i wydawały się pokryte szlamem. Zszedł do piwnicy i wyspał wszystko do pieca centralnego ogrzewania.

Zbyt późno przypomniał sobie, że z centralnego zrezygnowano przed dwoma-trzema tygodniami, bo nadeszła wiosna, jeżeli więc teraz nie spali polan, zostaną tam aż do następnej zimy. Znalazł kawałek papieru, zapaliki i bańkę nafty. Rozpaliwszy ogień, zamknął drzwiczki pieca i przez chwilę słuchał szumu płomieni. No, załatwione. Odczekał jeszcze trochę, a potem wrócił do salonu, by znowu napalić w kominku. Zajęło mu to jakiś czas, musiał bowiem szukać węgla i podpałki, lecz cierpliwie ze wszystkim się uporał i wreszcie mógł usiąść w fotelu przy płonącym ogniu.

Czytał już ze dwadzieścia minut, gdy sobie uświadomił, że chyba gdzieś stukają drzwi. Odłożył książkę i zaczął nasłuchiwać. Początkowo panowała cisza, ale wkrótce od strony kuchni znów dobiegło stuknięcie nie domkniętych drzwi. Wstał, by je zamknąć. Okazało się, że to drzwi prowadzące na schody do piwnicy. Mógłby przysiąc, że je zamknął. Pewnie zapadka klamki musiała się jakoś obluźować. Włączył światło na schodach i obejrzał zamek. Wszystko wydawało się w porządku. Już miał zamknąć drzwi, kiedy znowu poczuł tę woń. Słodkawy, mdlący swąd tłącego się drewna jabłoni wypełzał z piwnicy na korytarz.

Nagle zupełnie bez powodu mężczyzną ogarnął strach, wręcz panika. A co, gdyby ten zapach przez noc wypełnił cały dom, z kuchni przedostał się na górę i do sypialni, a tam, uniemożliwiając oddychanie, zadławił go podczas snu? Była to myśl idiotyczna, obłąkańcza - a jednak...

Zmusił się i jeszcze raz zszedł do piwnicy. Z pieca nie dochodziły żadne dźwięki - ogień już nie szumiał. Mimo szczelnie zamkniętych drzwiczek, z paleniska wydobywał się nikły, zielonkawy dym - właśnie jego woń mężczyzna poczuł w korytarzu na gorze.

Podszedł do pieca i gwałtownie otworzył drzwiczki. Zobaczył, że papier i wióry spłonęły, ale nie polana. Wyglądały tak samo, jak wówczas, gdy je tam wrzucił - nadpalone i poczerniałe, leżały jedno na drugim niczym zwęglone ludzkie kości. Zbierało mu się na wymioty. Krztusząc się, przytknął chusteczkę do ust. Prawie nieświadomie wbiegł na górę po puste wiadro. Wróciwszy do piwnicy próbował wyjąć polana przez niewielkie drzwiczki pieca za pomocą szufelki i szczypiec do węgla, cały czas czując mdłości. Wreszcie jakoś się uporał i z pełnym wiadrem wyszedł przez kuchnię na dwór.

Mroku tej nocy nie rozpraszał księżyc. Padał deszcz. Postawiwszy kołnierz marynarki, mężczyzna szukał wzrokiem miejsca, gdzie mógłby wyrzucić polana. Było zbyt mokro i ciemno, żeby je zanieść na śmietnisko przy warzywniku, ale na polu za garażem rosła wysoka, gęsta trawa, która powinna je ukryć. Idąc alejką, słyszał chrzęst żwiru pod nogami. Kiedy dotarł do płotu, cisnął polana w trawę. Niech tam leżą i nasiakają wodą deszczową, aż w końcu zgniją i się rozpadną. Przestały go obchodzić. Najważniejsze, że się ich pozbył.

Wrócił do domu i tym razem sprawdził, czy drzwi do piwnicy są dobrze zamknięte. Powietrze znowu było czyste. Nieprzyjemna woń zniknęła.

Wszedł do salonu, by się rozgrzać przy kominku. Na deszczu zdrętwiały mu dłonie i przemokły buty, w dalszym ciągu odczuwał mdłości. W ogóle cały zziąbł i teraz siedział w fotelu dygocąc.

W nocy źle spał. Rano obudził się nie w humorze, z bólem głowy i niesmakiem w ustach. Na krok nie ruszył się z domu. Całkowicie wytracony z równowagi dolegliwościami wątroby, odegrał się na służącej.

- Wczoraj, próbując się rozgrzać, tylko paskudnie się przeziębiłem - powiedział do niej ostrym tonem. - Oto jaki pożytek z drewna jabłoni. Od jego smrodu aż mnie skręcało. Kiedy jutro przyjdzie Willis, niech mu pani o tym powie.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Wieczorem, jak wróciłam do domu, rozmawiałam o tym drewnie z siostrą. Wspomniałam, że pan go nie lubi. Jej zdaniem to niesłychane. Twierdzi, że używanie drewna jabłoni na opał uważa się za luksus, a co więcej, że ono świetnie się pali.

- Ja wiem tylko to, że tutaj ledwie się tliło, i w moim domu nie chcę więcej go widzieć. Jeszcze czuję ten smród, aż mi się robi niedobrze.

Służąca zacisnęła wargi.

- Przepraszam - bąknęła. Wychodząc z jadalni, spostrzegła na kredensie pustą butelkę po whisky. Po chwili wahania postawiła butelkę na tacy. - Już pan ją skończył, proszę pana?

Przecież to oczywiste, że skończył, bo butelka była pusta. Jednakże zrozumiał aluzję. Służąca wyraźnie sugerowała, że za bardzo sobie dogodził, a ta historia z dymem to zwyczajne mydlenie oczu. Bezczelna baba!

- Tak - warknął. - Może pani przynieść następną.

Przez kilka dni czuł się fatalnie z powodu mdłości i zawrotów głowy, a w końcu zadzwonił do lekarza i poprosił, by przyszedł. Ten z nie-

dowierzaniem wysłuchał opowieści o dymie z tłącego się drewna ja-  
błoni. Po badaniu stwierdził:

- To po prostu niedomagania wątroby z powodu zaziębienia. Prze-  
moczył pan buty i prawdopodobnie zjadł jakieś świństwo. Nie wyda-  
je mi się, żeby dym miał z tym coś wspólnego. Przy pańskich skłonno-  
ściach do zaburzeń wątroby trzeba się więcej ruszać, choćby grać  
w golfa. Nie wyobrażam sobie, jak bym zachował kondycję bez mojej  
cotygodniowej partyjki. - Zaśmiał się, pakując torbę. - Przygotuję pa-  
nu jakieś lekarstwo, a kiedy przestanie padać, na pańskim miejscu wy-  
szedłbym na powietrze. Jest już dosyć ciepło i wystarczy tylko trochę  
słońca, a wszystko zacznie rosnać. Pana sad prześcignął mój. Tutaj la-  
da chwila zakwitną drzewa. - Później, przed wyjściem z pokoju do-  
dał: - Proszę nie zapominać, że parę miesięcy temu przeżył pan silny  
wstrząs. Widocznie wciąż jeszcze odczuwa pan brak żony. Przyzwyc-  
zajenie się do nowej sytuacji wymaga czasu. Najlepiej znaleźć sobie ja-  
kieś towarzystwo, spotykać się z ludźmi. No cóż, należy o siebie dbać.

Pacjent się ubrał i zszedł na dół. Lekarz, oczywiście, miał dobre in-  
tencje, ale jego wizyta to tylko strata czasu. „Widocznie wciąż jeszcze  
odczuwa pan brak żony”. Jak mało rozumiał. Biedna Midge... Mężczy-  
zna był na tyle uczciwy, by przyznać, że wcale mu jej nie brakowało, że  
teraz, kiedy umarła, nareszcie mógł oddychać pełną piersią i znów cie-  
szyć się wolnością. Od lat nie czuł się tak dobrze, nie licząc dolegliwo-  
ści wątroby.

Kilka dni spędził w łóżku, co służąca wykorzystała na wiosenne po-  
rządki w salonie, które uznał za zbędną część spuścizny po Midge. Po-  
kój zdawał się teraz wysprzątnany aż do przesady. Tam, gdzie gospodarz  
zostawił bałagan, teraz panował idealny ład i nieskazitelna czystość;  
książki i papiery zostały starannie poukładane. Naprawdę bardzo mu za-  
wadzało, że ktoś robi to za niego. Właściwie mógłby służącą zwolnić  
i jakoś sobie radzić, ale powstrzymywały go kłopoty związane z pra-  
niem i gotowaniem. Zazdrościł idealnego życia mężczyznom, którzy  
mieszkali na Wschodzie i w rejonie mórz południowych. Żenili się z au-  
tochtonkami i nie mieli żadnych kłopotów. Cisza i spokój, znakomita  
obsługa na każde skinienie, doskonała kuchnia, nie musi się rozmawiać,  
a jeśli trzeba czegoś więcej, nocą czeka młoda, ciepła żona. Nigdy ani  
słowa krytyki, całkowite posłuszeństwo i beztrojski śmiech. Tak, bardzo  
mądrzy są ci, co zerwali z konwenansami. Szczęściarze.

Podszedł do okna i spojrzął na trawę. Deszcz ustawał i na jutro się  
wypogodzi, co pozwoli wyjść na dwór, zgodnie z radami lekarza. Od-

nośnie do drzew również miał rację. Młoda jabłonka, rosnąca przy schodach, już zaczynała kwitnąć. Siedział na niej kos. Pod jego ciężarem gałązka lekko się kołysała.

Krople deszczu lśniły na otwierających się pąkach, które były jeszcze zwinięte i różowe, ale wystarczy jeden dzień i światło słońca, by zabielały na tle błękitnego nieba. Uznał, że musi odszukać swój stary aparat, włożyć błonę i sfotografować tę jabłonkę. Inne drzewa też powinny zakwitnąć w ciągu tygodnia. Jedynie ta stara jabłoń, po lewej stronie, jak zwykle wyglądała na martwą albo z daleka nie dało się dostrzec jej marnych, brunatnych pączków. Być może ostatecznie wykończyła ją utrata gałęzi. To i dobrze.

Odszedł od okna i zabrał się do rozkładania wszystkiego na nowo po swojemu. Lubił grzebać w szufladach, wyciągać różne przedmioty i odkładać je z powrotem. W szufladzie bocznego stolika znalazł czerwony ołówek, który zawiruszył się w stercie książek i pewnie służąca nań trafiła podczas sprzątania. Korzystając z okazji, dokładnie go zatemperował. W innej szufladzie zobaczył nową błonę fotograficzną, więc ją wyjął i zostawił na widoku, żeby rano włożyć do aparatu. Leżało tam również mnóstwo nie uporządkowanych dokumentów i starych fotografii. Niegdyś Midge skrzętnie wklejała je do albumów, lecz podczas wojny straciła dla nich zainteresowanie albo przestała to robić z powodu nadmiaru innych zajęć.

Właściwie należałoby się pozbyć tych śmieci. Gdyby kilka dni temu wrzucił je do kominka, pięknie by się paliło i nawet tamte polana zapewne by spłonęły. Niezbyt sensowne jest trzymanie takich rzeczy. Na przykład tego straszego zdjęcia Midge, które zrobiono przed Bóg wie ilu laty, pewnie niedługo po ślubie, na co wskazywał ubiór i fryzura. Czy Midge naprawdę nosiła kiedyś takie włosy? Do jej długiej twarzy, już wtedy bardzo szczupłej, nie pasowała ta wielka, nastroszona strzecha. Głębokie wcięcie dekoltu w szpic, dyndające kolczyki i sztuczny, szeroki uśmiech, który sprawiał, że jej usta zdawały się większe niż w rzeczywistości. W lewym rogu napisała: „Mojemu najdroższemu Buziaczkowi kochająca Midge”. Całkiem zapomniał, że dawniej tak go nazywała. Nigdy tego nie lubił, zwłaszcza gdy robiła to przy ludziach. Strofował ją za to uważając, że naraża go na śmieszność i zakłopotanie.

Przedarł fotografię na pół i wrzucił do ognia. Obserwował, jak się zwija i płonie. Ostatni zniknął ten szeroki uśmiech. „Mojemu najdroższemu Buziaczkowi...” Nagle przypomniał sobie wieczorową suknię ze zdjęcia. Była zielona, a w tym kolorze Midge wyglądała niekorzyst-

nie, nadawał bowiem jej cerze ziemisty odcień. Suknię tę kupiła specjalnie na wielkie przyjęcie z okazji rocznicy ślubu ich przyjaciół. Zaproszono wtedy spośród znajomych i sąsiadów wszystkie pary małżeńskie, które się pobrały mniej więcej w tym samym czasie, i dlatego poszedł tam z Midge.

Było morze szampana, parę mów i mnóstwo śmiechu i żartów - kilka niezbyt wybrednych. Pamiętał, że gdy zabawa się skończyła i wsiadali do samochodu, gospodarz wybuchnął śmiechem i rzekł:

- Spróbuj zalecać się w cylindrze, staruszk. Powiadają, że to nigdy nie zawodzi!

Zdawał sobie sprawę, że Midge, w tej zielonej wieczorowej sukni, siedzi obok bardzo sztywno i prosto, z tym samym uśmiechem, co na spalonej fotografii - szerokim, a zarazem niepewnym. Z jednej strony miała wątpliwości, nie domyślając się znaczenia słów lekko podpitego gospodarza, z drugiej zaś pragnęła uchodzić za osobę postępową, chciała być dla niego miła, a przede wszystkim zależało jej na tym, by się podobać.

Kiedy wprowadził samochód do garażu i wszedł do domu, zastał ją w salonie, gdzie na niego czekała, jakby bez powodu. Z niepewnym uśmiechem na twarzy zrzuciła płaszcz, pokazując sukienkę.

Jej mąż ziewnął, rozsiadł się w fotelu i sięgnął po książkę. Midge przez chwilę stała, a potem niespiesznie wzięła płaszcz i weszła na górę. Spalone zdjęcie musiało być zrobione wkrótce potem.

„Mojemu najdroższemu Buziaczkowi kochająca Midge”. Wrzucił do kominka sporą garść suchych patyków. Płonąc z trzaskiem, zmieniły fotografię w popiół. Inaczej niż tamte wilgotne zielone polana...

Następnego dnia było ładnie i ciepło. Świeciło słońce, śpiewały ptaki. Pod wpływem nagłego impulsu postanowił wybrać się do Londynu. W taki dzień miał ochotę włóczyć się po Bond Street i obserwować tłumy przechodniów, a także wpaść do krawca, iść do fryzjera i zjeść ostrego w ulubionym barze. Przeziębienie już minęło. Miał przed sobą wiele miłych godzin. Mógłby również obejrzeć jakiś film.

Spędził dzień spokojnie, bez zmęczenia, tak jak sobie zaplanował, co stanowiło przyjemną odmianę w codziennym wiejskim życiu. Było tak ciepło, że nawet teraz, gdy słońce już zachodziło, nie musiał włożyć płaszcza. Kiedy skręcał na podjazd do domu, pomachał ręką sąsiadowi, który akurat tamtędy przechodził, i zawołał:

- Piękny dzień!

Sąsiad z uśmiechem pokiwał głową.

- Dla mnie taka pogoda mogłaby trwać jak najdłużej! - odkrzyknął.

Przyzwoity facet. Bardzo się z nim zaprzyjaźnił od czasu wojny, gdy jeździł u niego traktorem.

Zostawił samochód w garażu, napił się whisky, a później, czekając na kolację, wyszedł do ogrodu. Kilka godzin słońca i taka różnica! Zakwitły niektóre żonkile i narcyzy, żywopłoty pokryły się świeżą zielenią i wypuściły pędy. Na wszystkich jabłoniach z pączków rozwinęły się kwiaty. Podszedł do swojego ulubionego drzewka i dotknął płatków. Były bardzo miękkie i delikatne. Lekko potrząsnął gałązką. Kwiaty mocno się trzymały i zapewne nie opadną. Prawie nie wyczuwało się ich woni, lecz lada dzień, gdy trochę popada i dostaną nieco więcej słońca, zaczną wypełniać powietrze łagodnym, subtelnym zapachem, który nigdy się nie narzuca. Tego zapachu trzeba szukać, jak to robią pszczoły, a kiedy się go znajdzie, nieustannie snuje się za człowiekiem - słodki, ponętny, dodający otuchy. Mężczyzna poklepał pień jabłunki i wrócił do domu.

Na drugi dzień, podczas śniadania, kiedy ktoś zapukał w okno jadalni i służąca powiedziała, że to Willis z jakąś sprawą, zaprosił go do środka.

Ogrodnik wszedł z zaszępioną twarzą. Czyżby jakieś kłopoty?

- Przepraszam, że pana niepokoję, ale dziś rano rozmawiałem z panem Jacksonem. Miał pretensje.

Jackson był właścicielem sąsiednich pól.

- Tak? O co?

- Mówi, że przez płot wyrzuciłem na jego pole jakieś drewno i że żrebie, które tam wypuścił z kłaczą, potknęło się o nie i okulało. Nigdy w życiu nie wyrzucałem za płot żadnego drewna, proszę pana. Jackson zachował się bardzo niegrzecznie. Powiedział, że ten żrebak jest wiele wart i że teraz trudno mu będzie go sprzedać.

- Mam nadzieję, że pan zaprzeczył, prawda?

- Owszem, proszę pana, ale chodzi o to, że naprawdę ktoś wyrzucił drewno za płot. Jackson pokazał mi to miejsce, tuż przy garażu. Rzeczywiście leżały tam polana. Uważałem, że lepiej najpierw porozmawiam z panem, zanim spytam o to w kuchni, bo mogłyby wynikać jakieś nieprzyjemności. Pan wie, jak to jest.

Czuł na sobie wzrok ogrodnika. Oczywiście nie miał innego wyjścia i musiał się przyznać, tym bardziej że właściwie Willis był wszystkim winien.



- Nie trzeba o nic pytać w kuchni. To ja wyrzuciłem te polana. Niemniej pan je tu przyniósł bez pytania i tylko zdusiły mi ogień w kominiku, zadymiły cały pokój, a w rezultacie miałem popsuty wieczór. Ze złości wyrzuciłem je za płot. Jeśli z tego powodu okulało źrebę Jacksona, niech go pan przeprosi w moim imieniu i powie, że wypłacę mu odszkodowanie. Chciałbym jednak, żeby pan już więcej nie przynosił takich polan.

- Tak jest, proszę pana. Rozumiem, że nie bardzo się przydały, chociaż nie przypuszczałem, że pan je wyrzuci.

- W każdym razie wyrzuciłem i nie wracajmy do tej sprawy.

- Dobrze, proszę pana - odparł Willis i już zbierał się do wyjścia z jadalni, ale przystanął i rzekł: - Mimo wszystko nie mam pojęcia, dlaczego te polana nie chciały się palić. Zaniósłem jedno niewielkie żonnie i w naszej kuchni paliło się jasnym płomieniem.

- Tutaj przeciwnie.

- Tak czy inaczej ta stara jabłonka nadrabia utratę gałęzi. Czy pan ją widział dziś rano?

- Nie.

- Wczorajsze słońce to sprawiło, proszę pana, i ciepła noc. Przepięknie wygląda. Cała w kwiatkach. Powinien pan ją zobaczyć.

Po odejściu Willisa gospodarz wrócił do śniadania.

Wkrótce wyszedł na taras. Początkowo nie zamierzał iść do ogrodu. Udawał, że zajmuje się czymś innym. Najpierw wyciągnął ciężką ławkę ogrodową, skoro ładna pogoda się ustaliła, później sekatorem przyciął róże pod oknami, a wreszcie coś go przyciągnęło do starej jabłonki.

Wyglądała tak, jak mówił Willis. Trudno powiedzieć, czy to wskutek słońca i ciepłej, spokojnej nocy, ale małe, brunatne pączki rzeczywiście się rozwinęły i teraz nad głową mężczyzny tworzyły fantastyczną chmurę białych, wilgotnych kwiatów. Najgęściej rosły na czubku drzewa i było ich tak dużo, że gałęzie wydawały się oblepione mokrą watą, co całej koronie nadawało jednolitą, chorobliwie bladą barwę.

Jabłonka w ogóle nie przypominała drzewa, raczej namiot, obwisły na deszczu, albo ogromną, postrzępioną ścierkę, która wyblakła od słońca. Wielka masa kwiatów nadmiernie obciążała wątły pień, tym bardziej że były wilgotne. Wysiłek chyba okazał się zbyt duży, najbliższe ziemi bowiem brązowiwały, choć ostatnio nie padał deszcz.

Więc jednak Willis miał rację - jabłonka zakwitła. Niemniej stała się wybrykiem natury, coś bowiem się w niej pokręciło i wypiękniła

nie po to, by dać nowe życie, lecz sprawiać przyjemność. Zupełnie jak-by afektowanie się uśmiechała i z pełną świadomością mówiła: „Popatrz, to wszystko dla ciebie”.

Wtem usłyszał za sobą kroki. Nadszedł Willis.

- Piękny widok! Prawda, proszę pana?

- Przykro mi, ale ja nie jestem tym zachwycony. Kwiaty są o wiele za gęste.

Ogrodnik popatrzył na niego w milczeniu. Pewnie uważał go za ekscentryka o trudnym charakterze i pójdzie do kuchni plotkować o nim ze służącą.

Mężczyzna z przymusem uśmiechnął się do Willisa.

- Proszę posłuchać - rzekł. - Nie chciałbym pana zniechęcać, ale te kwiaty mnie nie obchodzą. Wolę mniejsze, rzadsze i żywsze w kolorze, jak na tej małej jabłonce. Te może pan wziąć do domu i podarować swojej żonie. Niech pan sobie weźmie, ile dusza zapagnie. Nie mam nic przeciwko temu. W ten sposób tylko sprawi mi pan przyjemność.

Zatoczył ręką łuk w geście pełnym hojności. Pragnął, by Willis od razu przyniósł drabinę i zabrał to słońce.

Ogrodnik pokręcił głową. Sprawił wrażenie wstrząśniętego.

- Nie, dziękuję. Nawet nie chcę o tym myśleć. To by zaszkodziło drzewu. Poczekam na owoce. Liczę, że będzie je miała.

- W porządku, Willis. Nie to nie.

Cóż innego mógł powiedzieć? Wrócił na taras. Kiedy jednak usiadł w słońcu i popatrzył na ogród, w ogóle nie widział małej, niepozornej jabłonki, która rosła nieopodal schodów, skromnie wyciągając ku niebu gałązki pokryte delikatnymi kwiatkami. Całkowicie ją zasłaniała i przytłaczała ogromną chmurą obwisłych kwiatów ta stara, spotworzyła jabłoń. Na trawie leżało wiele jej płatków, już zwiędłych i pociemniałych. Gdziekolwiek przesuwał się z fotelem po tarasie, nie mógł uciec od widoku tego drzewa. Zdawało się mieć do niego pretensje, a jednocześnie było jakby spragnione podziwu, którego nie potrafiło w nim wzbudzić.

Od dawna nie zrobił sobie tak długich wakacji jak tego lata. Wprawdzie u starej matki w Norfolk był ledwie dziesięć dni, zamiast zwyczajowego miesiąca, kiedy odwiedzał ją z Midge, ale resztę sierpnia i cały wrzesień spędził we Włoszech i Szwajcarii.

Wziął samochód, co pozwalało mu swobodnie jeździć, dokąd tylko miał ochotę. Niezbyt interesowało go zwiedzanie i wycieczki, a po

górach chodził słabo. Najbardziej lubił się zatrzymać w jakimś małym miasteczku wieczorem, kiedy robiło się trochę chłodniej, znaleźć niewielki, ale wygodny hotelik i jeśli mu się spodobał, mieszkać tam przez dwa-trzy dni. W tym czasie nie robił nic, tylko włóczył się po uliczkach.

Całe ranki przesiadywał nad kieliszkiem wina w kafejce lub restauracji, z przyjemnością obserwując ludzi, tym bardziej że obecnie podróżowało tyle wesołej młodzieży. Lubiał, jak wokół toczyły się rozmowy, byle tylko nie musiał w nich uczestniczyć. Najbardziej mu odpowiadało, gdy ktoś czasami się do niego uśmiechnął albo jeśli mieszkaniiec tego samego hoteliku zamienił z nim kilka słów powitania bez żadnych zobowiązań. Wtedy czuł, że jest w głównym nurcie, lecz jako człowiek niezależny, przebywający za granicą, zdany wyłącznie na siebie.

W dawnych czasach, gdy jeździł na wakacje z Midge, największy kłopot polegał na tym, że ona miała zwyczaj zawierania przygodnych znajomości, przeważnie z innymi parami, o których mówiła, że są „miłe” lub „takie jak my”. Wszystko się zaczynało od rozmowy przy kawie, a kończyło na wspólnych jazdach samochodami i spędzaniu czasu we czwórkę, czego nie znosił i miał zepsute wakacje.

Teraz, dzięki Bogu, nie był na to narażony. Robił, co chciał i kiedy mu się podobało. Midge już nie mogła powiedzieć: „No co, ruszamy?”, gdy on jeszcze siedział nad winem, delektując się jego smakiem, i wcale nie miał ochoty zwiedzać starego kościoła, który go w ogóle nie interesował.

W czasie wakacji przybrał na wadze, ale się tym nie przejmował. Po dobrym jedzeniu nikt mu nie proponował długiego spaceru dla podtrzymania kondycji, mącąc nastrój miłej senności, jaka ogarnia człowieka przy kawie i deserze, ani nie rzucał zdziwionych spojrzeń, widząc go w jaskrawej koszuli czy kwiecistym krawacie.

Kiedy z gołą głową leniwie się przechadzał po miasteczkach czy wsiach, ćmiąc cygara, i młodzi ludzie uśmiechali się do niego wesoło, był w siódmym niebie. To ci dopiero życie - bez kłopotów, bez trosk. Nikt nie powtarzał: „Musimy wrócić przed piętnastym, bo w szpitalu mam zebranie komitetu” ani: „W żadnym wypadku nie wolno nam zostawiać domu na dłużej niż dwa tygodnie, bo coś się może zdarzyć”. Zamiast tego kolorowe żarówki pa festynie w jakiejś wiosce, o której nazwę nawet nie pytał, dźwięczna muzyka, śmiech dziewcząt i chłopców. Po butelce miejscowego wina ukłonił się młodziutkiej dziewczyny-

nie w barwej chustce na głowie i porwał ją do tańca w dusznym namiocie. Nieistotne, że nie zawsze stawiał kroki tak samo jak ona - przecież od lat nie tańczył - ale najważniejsze, że robił to, o co mu chodziło. Kiedy ją puścił, gdy muzyka ucichła, chichocząc wróciła do koleżanek i wszystkie się śmiały, bez wątpienia z niego. No to co? Tak czy inaczej się zabawiał.

W końcu września pogoda się zmieniła i wtedy wyjechał z Włoch. Wrócił do domu w pierwszym tygodniu października. Nie miał z tym żadnych kłopotów. Telegraficznie zawiadomił służącą o przypuszczalnej dacie przyjazdu, i tyle. Powroty z Midge, nawet z najkrótszego urlopu, zawsze oznaczały komplikacje. Wysyłała szczegółowe pisemne wskazówki, dotyczące zakupów rozmaitych artykułów, pieczywa i mleka, a także w sprawie wietrzenia pościeli, palenia w piecu i na kominu, zaopatrzenia w poranne gazety. Powrót stawał się koszmarem.

Kiedy w łagodny październikowy wieczór skręcił na podjazd, z kominów unosił się dym, frontowe drzwi były otwarte - miły dom oczekiwał gospodarza. Nikt w pośpiechu nie sprawdzał, czy gdzieś nie przecieka rura, czy nie doszło do włamania, czy nie brakuje wody lub jedzenia. Służąca okazała dość rozsądku, by takimi sprawami nie zwracać mu głowy. Po prostu zwyczajnie powiedziała:

- Dobry wieczór panu. Mam nadzieję, że wakacje się udały. Kolaćja o zwykłej porze?

Później zaległa cisza. Mógł spokojnie napić się whisky, wypalić fajkę i odpocząć, nie przejmując się stertą listów. Nikt gorączkowo nie rozdzierał kopert ani nie wydzwaniał do przyjaciółek, więc nie musiał słuchać połowicznych rozmów, które ciągnęły się bez końca: „No, jak leci? Naprawdę? Moja droga... A co ty na to?... Rzeczywiście tak zrobiła?... Nie, w śróde w żadnym wypadku nie mogę...”

Przeciągnął się z rozkoszą - zeszytniał, prowadząc samochód - i zadowolony, że jest sam, rozejrzał się po salonie, gdzie panował przyjemny nastrój. Z Dover przyjechał głodny, ale się nie nasycił kotletem siekanym, który w porównaniu z zagraniczną kuchnią wydał mu się dość skromny. Trudno i darmo, trzeba jednak wrócić do mniej wyszukanych dań. Po kotlecie zjadł grzanekę z sardynką i zaczął się rozglądać za deserem.

Na kredensie zobaczył talerz z jabłkami. Postawił je przed sobą na stole w jadalni. Wyglądały marnie: drobne, pomarszczone, brunatne i bez połysku. Ugryzł jedno, lecz natychmiast wypluł, bo smakowało jak zgniłe. Spróbował następne, ale się okazało dokładnie takie samo.

Uważniej przyjrzał się owocom. Skórkę miały grubą i twardą, zatem należałoby oczekiwać, że w środku są twarde, zielone i kwaśne, a tymczasem były miękkie i żółte, a przy tym obrzydliwe w smaku. Mężczyzna poczuł, że do zęba przylgnęło mu kawałtko, które ze wstrętem usunął. Włókniste paskudztwo...

Dzwonkiem przywołał służącą.

- Czy jest jakiś inny deser? - spytał, kiedy przyszła z kuchni.
- Niestety nie, proszę pana. Pamiętałam, że pan lubi jabłka i Willis przyniósł je z ogrodu. Powiedział, że są wyjątkowo smaczne, że właśnie dojrzały i świetnie nadają się do jedzenia.
- Całkowicie się myli. One są po prostu niejadalne.
- Bardzo pana przepraszam. Nie wiedziałam, bo inaczej nie śmiałabym ich podać. W ogrodzie jest ich zatręśnienie. Willis przyniósł pełen kosz.
- Wszystkie jednej odmiany?
- Owszem, proszę pana. Takie małe, brunatne. Innych w ogóle brak.
- Mniejsza o to, nie ma rady. Rano sam poszukam.

Wstał od stołu i poszedł do salonu. Wypił kieliszek porto, chcąc zabić smak jabłek, ale bez skutku. Na języku i podniebieniu wciąż czuł posmak tego zgniłego miąższu i wreszcie musiał iść do łazienki, by umyć zęby. Gniewało go to, bo po raczej marnej kolacji miał wielką ochotę na dobre, świeże jabłko z gładką, czystą skórką i o niezbyt słodkim, lekko cierpkim miąższu. Znał takie owoce. Idealne do chrupania. Oczywiście, trzeba je zrywać w odpowiedniej chwili.

Tej nocy mu się śniło, że znowu jest we Włoszech i tańczy pod namiotem na niewielkim rynku, brukowanym kocimi łbami. Kiedy się obudził, uszy miał jeszcze pełne muzyki, lecz nie pamiętał ani twarzy, ani dotyku ciała tamtej wiejskiej dziewczyny, potykającej się o jego nogi. Leżąc w łóżku, sączył poranną herbatę i próbował wywołać to wspomnienie, ale mu umykało.

Wstał i podszedł do okna, by zobaczyć, jaka jest pogoda. Było dość ładnie, tylko jakby trochę mroźno.

I wtedy spostrzegł starą jabłonkę. Wyglądała tak nieoczekiwanie, że doznał szoku. Teraz w lot zrozumiał, skąd pochodziły wczorajsze jabłka. Drzewo aż się ugięło pod ciężarem owoców. Małe, brunatne, wprost oblepiały każdą gałąź, im wyżej, tym drobniejsze - bliżej czubka, jeszcze nie wyrosnięte, przypominały orzechy. Swoją wagą wręcz przytłaczały jabłoni, powykrecały ją i zniekształciły. Dolne gałę-

zie niemal dotykały ziemi, a w trawie pod drzewem leżało mnóstwo spadów - tych, co pojawiły się pierwsze i zostały strącone przez napierające rodzeństwo. Pokrywały wokół ziemię. Te, do których dobrały się osy, popękały i już gniły. Nigdy w życiu nie widział jabłonki dzwi-gającej tyłu owoców. Jedynie cudem nie padła pod ich ciężarem.

Ulegając ciekawości, wyszedł przed śniadaniem, stanął i z bliska przyjrzał się drzewu. Nie miał żadnych wątpliwości, że wieczorem wja-dalni leżały takie same jabłka. Chyba nie większe od mandarynek, liczne nawet mniejsze, tak gęsto rosły na gałęziach, że nie dało się zerwać tylko jednego, ale od razu kilkanaście.

W tym widoku było coś potwornego. Budził niesmak, a równocześnie współczucie dla drzewa, któremu ostatnie miesiące przyniosły straszliwe męczarnie. Tak, męczarnie - inne określenie by tego nie wyraziło. Jabłonka, torturowana przez owoce, jakby stękała pod tym brzemieniem, lecz najbardziej przerażał fakt, że żadne jabłko nie nadawało się do jedzenia. Wszystkie były przegniłe. Mężczyzna rozdeptywał spady leżące na trawie, bo po prostu nie mógł tego uniknąć. Natychmiast powstawała z nich szlamowata breja, która się lepiała do obcasów - musiał oczyścić buty wiechciami trawy.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby jabłonka w ogóle nie odżyła, pozostała naga i martwa. Co za pożytek z kupy gnijących owoców, które zaśmiecają ogród i paskudzą ziemię? I samo drzewo tylko cierpi, choć prawie mógłby przysiąc, że się tym napawa i triumfuje.

Podobnie jak wiosną przykuwało wzrok niezwykłą obfitością wilgotnych i bezbarwnych kwiatów, tak teraz masą owoców, odciągając uwagę od innych drzew. Nie sposób było nie patrzeć na tę jabłonkę. Widziało się ją ze wszystkich frontowych okien. Świetnie zdawał sobie sprawę, czym to się skończy. Jabłka zostaną na gałęziach i będą wisiały przez październik i listopad, dopóki ktoś ich nie zerwie, a nikt nigdy tego nie zrobi, bo są niejadalne. W wyobraźni zobaczył siebie nękanego widokiem drzewa przez całą jesień. Za każdym razem, gdy wyjdzie na taras, będą go prześladowały te obmierzłe zwisające gałęzie.

Dziwne, że to drzewo budziło w nim taką niechęć. Zdawało się nieustannie przypominać... Właściwie nie miał pojęcia co, ale mu się kojarzyło z tym wszystkim, czego zawsze najbardziej nie znosił, choć nie potrafił tego nazwać. Wówczas postanowił, że każe Willisowi zerwać owoce, wziąć je lub sprzedać, pozbyć się ich w jakikolwiek sposób, aby tylko on nie musiał tych jabłek jeść ani codziennie, przez całą jesień, patrzeć na uginające się drzewo.

Odwrócił się do niego tyłem i z ulgą spostrzegł, że żadne z pozostałych drzew tak nie zwyrodniało. Wszystkie pięknie owocowały bez najmniejszych odchyień. Mógł się przekonać, że młode, rosące z prawej strony starego, śmiało zdobyło się na kilka bladorożowych jabłek średniej wielkości, świeżo poczerwieniałych tam, gdzie dojrzały pod wpływem słońca. Chciał jedno zerwać, wziąć do domu i zjeść przy śniadaniu. Wybrał je i ledwie go dotknął, wpadło mu prosto w dłoń. Wyglądało tak kusząco, że z apetytem od razu je ugryzł. Właśnie o takie mu chodziło: soczyste, pachnące, cierpkie, jeszcze z kropelkami rosy. Nie odwrócił się i nie spojrzął na stare drzewo. Zgłodniały wrócił do domu na śniadanie.

Prawie tydzień zajęło ogrodnikowi zerwanie wszystkich owoców ze starej jabłonki. Wyraźnie działał wbrew sobie.

- Nie obchodzi mnie, co pan z nimi robi - powiedział jego pracodawca. - Niech pan je sprzeda i zatrzyma pieniądze albo zabierze do domu i nakarmi nimi świnię. Nie mogę patrzeć na te jabłka i tylko dlatego zależy mi na tym, żeby stąd zniknęły. Proszę znaleźć jakąś dużą drabinę i natychmiast wziąć się do roboty.

Odnosił wrażenie, że Willis zwleka po prostu z przekory. Obserwował go z okien i widział, że ogrodnik rusza się jak na zwolnionym filmie: ślamazarnie ustawił drabinę, później mozolnie się na nią wspiął, a potem zszedł, by ją przesunąć. W końcu zaczęło się przedstawienie ze zrywaniem owoców - chwycił je po jednym i każde z osobna wrzucał do kosza. Codziennie to samo. Willis tkwił na drabinie, gałęzie trzeszczały, a na trawie pod drzewem stały najrozmaitsze kosze, wiadra i miski z jabłkami.

Wreszcie praca się skończyła. Drabina, kosze i wiadra zniknęły. Wieczorem mężczyzna wyjrzał i z satysfakcją popatrzył na ogołoconą jabłonkę. Gnijące owoce już go nie raziły. Nie było ani jednego jabłka.

Niemniej miał wrażenie, że starej jabłonce wcale nie ulżył zdjęty ciężar. Choć to raczej niemożliwe, wyglądała na jeszcze bardziej zgnębioną. Nie podniosły się obwisłe gałęzie, a liście, więdnąc w chłodzie jesiennego wieczoru, zwijały się i drżały.

„Więc tak mi odpłacasz? - wydawała się pytać. - Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam?”

W zapadającym mroku cień drzewa rzucał zły urok na wilgotną noc. Wkrótce przyjdzie zima i krótkie, nudne dni.

Nigdy nie lubił jesieni. Dawniej, gdy jeszcze pracował w biurze, oznaczała codzienną jazdę do Londynu wczesnym pociągiem w zimny poranek. Po południu urzędnicy zapalali światło już przed trzecią. W powietrzu najczęściej unosiła się gęsta, przygnębiająca mgła. Później wlokąca się podróż do domu zatłoczonym pociągiem razem z innymi zjadaczami chleba, nierzadko zakatarzonymi. Potem przy kominku w salonie spędzał długi wieczór z Midge, która siedząc naprzeciwko niego, opowiadała o tym, co robiła w ciągu dnia i co nawaliło, a on słuchał albo udawał, że słucha.

Jeśli w domu nie nastąpił żaden kataklizm, swoimi uwagami na jakiś aktualny temat wywoływała ponury nastrój.

- Widzę, że znowu drożęją bilety. Co będzie z twoim miesięcznym?

Albo:

- Brzydka sprawa z tą Południową Afryką. W dzienniku o szóstej dużo o tym mówili.

Czy też:

- W szpitalu zakaźnym kolejne trzy przypadki heinemediny. Nie wiem, naprawdę nie mam pojęcia, co ci lekarze sobie wyobrażają...

Teraz przynajmniej nie musiał występować w roli słuchacza, lecz wciąż pamiętał tamte długie wieczory, kiedy więc w salonie paliło się światło i okna były zasłonięte, przypominał sobie postukiwanie drutów, bezmyślną gadaninę i głośne ziewanie. Przed kolacją, a niekiedy po, zaczął czasami wpadać do starego pubu przy głównej drodze, niepełna pół kilometra od domu. Tam nikt mu się nie naprzykrzał. Przywitawszy się z właścicielką, sympatyczną panią Hill, siadał w kącie ze szklanką whisky z wodą sodową, a później, paląc papierosa, obserwował okolicznych mieszkańców, którzy przychodzili wypić piwo, zagrać w strzałki i poplotkować.

W ten sposób niejako przedłużał sobie letnie wakacje. W atmosferze lokalu widział pewne podobieństwo, choć trzeba przyznać, że niewielkie, do beztróskiego nastroju tamtych kafejek i restauracji. W jasnym, zadymionym barze, gdzie tłum robotników niczym nie zwracał mu głowy, znajdował specyficzne ciepło, przyjemne i podnoszące na duchu. Owe wizyty w pubie skracały ciemne, zimowe wieczory, które stawały się znosińsze.

W połowie grudnia złapał katar i przeszło tydzień tam nie zaglądał. Zmuszony do przebywania w domu, bardzo się dziwił, że tak mu brakuje wypadów do pubu i że siedzenie w salonie czy gabinecie, gdzie mógł jedynie czytać albo słuchać radia, jest tak śmiertelnie nudne.



Wskutek kataru i nudy zmarkotniał i stał się drażliwy, a przymusowa beczynność działała mu na wątrobę. Potrzebował ruchu. Jednego z takich ponurych wieczorów zdecydował się wyjść następnego dnia bez względu na pogodę. Wprawdzie po południu nadciągnęły chmury, zapowiadając śnieg, lecz na to nie zważał - wiedział, że kolejnej doby w domu nie wytrzyma.

Podczas kolacji do ostateczności doprowadziło go ciasto owocowe. Przeziębienie się kończyło i najgorsze minęło, a choć jeszcze nie całkiem odzyskał smak, odczuwał już pewną czczość, wymagającą szczególnej diety. Najlepszy byłby drób, na przykład połowa doskonale upieczonej kuropatwy, i suflet z sera. Równie dobrze mógłby pragnąć gwiazdki z nieba. Służąca, nie obdarzona zbyt wyobraźnią, podała flandrę - najmniej smaczną ze wszystkich ryb, a przy tym najbardziej wiórowatą. Odniósłszy do kuchni talerz z ledwie tkniętym daniem, wróciła z ciastem, a ponieważ gospodarz był daleki od zaspokojenia głodu, wziął sobie spory kawałek.

Wystarczyło, że poczuł smak pierwszego kęsa. Krztusząc się i prychnając, wypluł wszystko na talerzyk. Wstał i potrząsnął dzwonkiem.

Po chwili zjawiła się służąca, zdziwiona niespodziewanym wezwaniem.

- Cóż to za paskudztwo, u licha?!
- Placek owocowy, proszę pana.
- Z czym?
- Z dżemem jabłkowym, który sama zawekowałam.

Cisnął na stół serwetkę.

- No właśnie. Użyła pani tych jabłek, na które tak narzekałem parę miesięcy temu. Przecież wyraźnie powiedziałem i pani, i Willisowi, że nie chcę ich widzieć w tym domu.

Twarz kobiety stężała.

- Mówił pan, żeby ich nie gotować i nie podawać na deser, ale nie wspominał o dżemie. Pomyślałam, że jako dżem mogą być smaczne. Usmażyłam trochę na próbę i rzeczywiście się udał, więc z jabłek, które dostałam od Willisa, zrobiłam kilka słoików. Z panią zawsześmy robiły tu dżemy.

- Cóż, przykro mi, że się pani trudziła, ale ja nie mogę go jeść. Już na jesieni te jabłka mi nie służyły i czy pani zrobi z nich dżem, czy cokolwiek innego, znowu będzie to samo. Proszę zabrać to ciasto i żebym więcej nie widział ani jego, ani tego dżemu. Kawę wypiję w salonie.

Wyszedł z jadalni roztrzęsiony. Dziwne, że ten drobny incydent aż tak go rozgniewał. Boże, ale ludzie są głupi! Przecież służąca i Willis wiedzieli, że on nie lubi tych jabłek, wręcz nie znosi ich smaku ani zapachu, lecz kierując się swoją mentalnością dusigroszy uznali, że oszczędzą nieco pieniędzy, jeśli mu podadzą domowy dżem, zrobiony z jabłek, których tak nie cierpi.

Napił się whisky bez wody i zapalił papierosa. Wkrótce służąca przyniosła mu kawę, jednakże postawiwszy tacę, nie wyszła.

- Czy mogłabym zamienić z panem parę słów?

- A o co chodzi?

- Chyba będzie najlepiej, jeśli złożę wymówienie

Na dobitkę jeszcze to. Co za dzień, co za wieczór!

- Z jakiego powodu? Dlatego, że nie chcę jeść ciasta z jabłkami?

- Nie tylko, proszę pana. Jakoś wszystko wygląda zupełnie inaczej niż przedtem. Już kilka razy zamierzałam to powiedzieć.

- Przecież nie sprawiam pani zbyt wiele kłopotu.

- Nie, ale dawniej, kiedy żyła pani, moja praca była doceniana, a teraz jakby bez różnicy, czy coś robię tak czy siak. Nic się o tym nie mówi, a choć staram się jak mogę, nigdy nie jestem pewna. Bardziej by mi odpowiadał dom z gospodynią, która by zwracała uwagę na to, co robię.

- Oczywiście, decyzja należy do pani. Przykro mi, że ostatnio pani się tu nie podobało.

- Tego lata długo pana nie było. Z panią nigdy pan nie wyjeżdżał na więcej niż dwa tygodnie. Wszystko tak się zmieniło. Po prostu nie wiem, na czym stoje. Tak samo Willis.

- Więc i Willisowi tutaj się znudziło?

- Naturalnie, trudno mi mówić za niego, ale wiem, że jakiś czas temu bardzo go wzburzyła sprawa tych jabłek. Może sam panu powie.

- Może. Nie miałem pojęcia, że oboje aż tak się ze mną męczycie. No dobrze, ale już kończmy. Dobranoc.

Kiedy służąca wyszła, rozejrzał się smętnym wzrokiem. Nawet lepiej, że odejda, jeśli tak uważają. Cholerna bzdura, że nic nie jest tak jak przedtem, że wszystko się zmieniło. I co za bezczelność ze strony Willisa w sprawie jabłek. Czy nie wolno rozporządzać swoją własnością? Pal licha przeziębienie i niepogodę! Miał już dość siedzenia przy kominku. Ile jeszcze można myśleć o kucharce i ogrodniku? Trzeba iść do pubu i o tym wszystkim zapomnieć.

Włożywszy palto, gruby szalik i starą czapkę, wyszedł żwawym krokiem i po dwudziestu minutach już siedział w tym samym kącie,

co zwykle, a pani Hill, nalewając mu whisky mówiła, jaka jest zachwycona, że znowu go widzi. Kilku stałych bywalców z uśmiechem spytało go o zdrowie.

- Przeziębił się pan, co? Wszędzie to samo. Wszyscy są teraz zakażeni.

- Faktycznie.

- Hm, to przez tę porę roku, no nie?

- Należało się tego spodziewać. Gorzej, jak przetrzuci się na płuca.

- Najgorzej mieć zatłkany nos, jak ja.

- Też prawda, ale łatwo się tak mówi. I jedno, i drugie jest niedobre.

Przyjemni faceci. Życzliwi. Nie gędzą bez przerwy, nie zawracają człowiekowi głowy.

- Poproszę jeszcze jedną whisky.

- Służę uprzejmie.

Pani Hill promieniała za barem. Bardzo zacna dusza. Siedząc w kacie, przez mgiełkę dymu słyszał gwar rozmów, tubalny śmiech, uderzenia strzałek w tarczę i radosne okrzyki po celnych rzutach.

- ... i jeśli spadnie śnieg, nie wiem, jak sobie damy radę, skoro tak się spóźniają z dowozem węgla - mówiła pani Hill. - Drewno wybawiłoby nas z kłopotu, ale jak myślicie, ile oni żądają? Dwa funty za jedną dostawę! Według mnie...

Pochylił się do przodu i nawet sam miał wrażenie, że jego głos dochodzi z daleka, kiedy powiedział:

- Ja pani dam trochę drewna.

Dotychczas rozmawiała z innymi gośćmi, ale teraz zwróciła się do niego:

- Przepraszam, nie dosłyszałam.

- Ja pani dam trochę drewna - powtórzył. - W ogrodzie mam stare drzewo, które już dawno powinienem ściąć. Dla pani zrobię to jutro.

Z uśmiechem skłonił głowę.

- O nie, proszę pana. Ani myślę sprawiać panu taki kłopot. Węgiel przywiozą, nie ma obawy.

- Żaden kłopot. Wręcz przyjemność. Dla pani chętnie to zrobię. Poza tym przyda mi się trochę ruchu, bo tyję. Może pani na mnie liczyć.

Zsunął się z barowego stołka i nie bez skupienia sięgnął po palto.

- To jabłonka - dodał. - Czy to pani nie przeszkadza?

- Ależ skąd! Każde drewno będzie dobre. Tylko czy na pewno może je pan oddać?

Z tajemniczą miną pokiwał głową. Nadarzyła się okazja, lecz to pozostanie sekretem.

- Jutro wieczorem przywiozę pani całą przyciepę.

- Ostrożnie, proszę pana - powiedziała. - Uwaga na schodek...

Wracając do domu w tę przenikliwie zimną noc, uśmiechał się do siebie. Obudziwszy się następnego ranka, nie pamiętał, kiedy się rozebrał i poszedł spać, ale natychmiast przypomniał sobie obietnicę w sprawie drewna.

Ucieszył się, że to jeden z tych dni, w które Willis nie pracuje, więc nie zacznie się wtrącać. W nocy spadł śnieg. Niebo przesłaniały ciężkie chmury, zapowiadając dalsze opady. Na razie nie ma się czym przejmować. Nic nie będzie przeszkadzało.

Po śniadaniu z komórki w warzywniku wyjął piłę, kliny i siekierę - wszystkie mogą okazać się niezbędne. Kciukiem sprawdził, że są dostatecznie ostre. Niosąc je do ogrodu, zaśmiał się do siebie, pomyślał bowiem, że przypomina kata, który w dawnych czasach wyruszał do Tower, by pozbawić głowy jakąś nieszczęsną ofiarę.

Położył narzędzia pod starą jabłonką. Uznał jej ścięcie za akt miłosierdzia. Nigdy nie widział niczego, co by wyglądało aż tak marnie i żałośnie jak ona. To wręcz niemożliwe, żeby pozostała w niej choćby iskierka życia. Nie miała ani jednego liścia. Powykręcana, brzydka, krzywa, tylko szpeciła ogród, który zmieni się na korzyść, jeśli ona zniknie.

Mężczyzna zauważył, że na dłoń spadł mu płatek śniegu, a potem drugi. Spojrzał w okno jadalni. Służąca nakrywała stół. Wszedł do domu i powiedział:

- Proszę wstawić mój obiad do piekarnika. Sądzę, że sam potrafię się obsłużyć. Dziś jestem bardzo zajęty i wolałbym nie być związany czasem. Poza tym zaczyna padać śnieg, więc lepiej, żeby pani wyszła wcześniej i dotarła do domu, nim na dobre się rozpada. Doskonale dam sobie radę. Nawet bardziej mi to odpowiada.

Być może uznała, że się na nią obraził z powodu wymówienia, lecz jego to nie obchodziło. Pragnął zostać sam. Nie chciał, żeby się przyglądała z okna.

Wyszła około wpół do pierwszej, a wtedy on natychmiast wyjął obiad z piekarnika. Zamierzał jak najszybciej zjeść, by całe krótkie popołudnie przeznaczyć na ścinanie drzewa.

Prócz kilku płatków, które od razu stopniały, nie spadło więcej śniegu. Mężczyzna zdjął palto, podwinął rękawy i chwycił piłę. Lewą

ręką ściągnął drut z dolnej części pnia i zaczął piłować jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemią.

Początkowo szło mu gładko. Piła wrzynała się w drewno, jej zęby cięły bez przeszkód. Po kilku chwilach zaczęła się jednak wyginać. Właśnie tego się obawiał.

Próbowała ją wyciągnąć, lecz uniemożliwiła to zbyt wąska szczelina, jakby drzewo trzymało piłę i nie chciało jej puścić. Wbił klin, ale to nic nie dało. Wbił drugi. Szczelina trochę się poszerzyła, niemniej wciąż nie można było uwolnić piły.

Bezskutecznie ciągnął ją i szarpał. Powoli tracił cierpliwość. Złapał siekiere i zaczął rąbać pień. Na trawę posypały się wióry.

To na pewno coś da. Nareszcie jest rozwiązanie.

Ciężka siekiera wznosiła się i opadała, odłupując płaty kory i długie kawałki bieli, świeżej i włóknistej. Rąb, wal, rozetnij twardej, odzrzuć siekiere i gołymi rękami dobierz się do gąbczastego rdzenia! No, jeszcze troszeczkę. Mocniej, mocniej!

Wypada uwolniona piła, a wraz z nią kliny. Teraz siekiera znów poszła w ruch. Ciężko spada tam, gdzie twarde włókna wciąż niewzruszenie trzymają. Jabłonka z trzaskiem pęka, chwije się i kołysze na ostatnim pasemku, ociekającym sokiem. Więc ją kopnij. Właśnie, kopnij ją, dobij. W końcu ma dość... pada... bodaj ją cholera wzięła, niech ją szlag trafi... wali się z przeraźliwym hukiem i jej gałęzie rozciągają się na ziemi.

Cofnął się, ocierając pot z czoła i brody. Stał przy obalonej jabłonce, a u jego stóp białał rozszczępiony, poszarpany pień.

Zaczął padać śnieg.

Teraz najważniejszą rzeczą było odrabianie gałęzi i pocięcie ich na krótsze odcinki, ułatwiające transport.

Drobniejsze gałązki, powiązane w pęki, przeznaczy się na podpałkę, co niewątpliwie również ucieszy panią Hill. Samochodem z przyczepą podjechał do bramy ogrodu i ustawił go tuż przy tarasie. Odcinanie gałęzi nie sprawiło trudności - najczęściej używał do tego sierpa. Męczące okazało się wiązanie ich w pęki, a potem przenoszenie i załadunek na przyczepę. Grubsze gałęzie musiał odrąbywać siekiere, ciąć na trzy, cztery krótsze kawałki, które także wiązał i kolejno przeciągał po ziemi do przyczepy.

Zarazem nieustannie walczył z czasem. Światła i tak ciemnego dnia pozostało niewiele - o wpół do piątej zapadnie mrok - a przy tym bez przerwy padał śnieg i już przykrył ziemię. Kiedy mężczyzna na mo-

ment przerywał pracę, by otrzeć z twarzy pot, lodowate płatki, osiadające mu na wargach i podstępnie wpadające za kołnierz, spływały po szyi i ciele. Natychmiast go oślepiały, gdy tylko spojrzął w niebo. Z każdą chwilą gęściej i szybciej wirowały wokół jego głowy. Miał wrażenie, że niebo się zmieniło w śnieżny baldachim, który opadał coraz niżej, zbliżając się do ziemi, jakby chciał ją zadusić. Śnieg przysypywał gałęzie, co utrudniało pracę. Natychmiast pokrywał je ochronną warstwą puchu, jeśli tylko mężczyzna robił choćby najkrótszą przerwę, by trochę odetchnąć.

Nie mógł włożyć rękawic, w nich bowiem byłoby trudno trzymać sierp lub siekiere czy wiązać linki. Palce miał zdrętwiałe z zimna; wkrótce tak zeszywnieją, że mu się nie uda ich zgiąć. W okolicy serca czuł ból, spowodowany wysiłkiem, a pracy jakby nie ubywało. Za każdym razem, gdy wracał do ściętej jabłonki, wydawało mu się, że drewna jest ciągle tyle samo, co przedtem. Długie i krótkie gałęzie oraz te drobne na podpałkę, o których zapomniał, bo niemal całkowicie przykrył je śnieg, należało związać i przenieść albo zaciągnąć do przycepy.

Skończył je ładować po wpół do piątej, gdy już było prawie ciemno. Pozostał jeszcze tylko pień, przecięty na trzy części.

Mężczyzna zbliżał się do granic wyczerpania. Nie zrezygnował tylko dlatego, że pragnął pozbyć się drzewa. Ciężko dyszał. W płucach czuł ból i ledwo widział, oczy mu bowiem zalepiał nieustannie padający śnieg.

Wziął linkę i wsunął ją pod zimny, śliski pień. Z wściekłością zaciął węzeł. Jakże trudno unieść oporny kloc bez gałęzi! Chropowata kora kaleczyła zdrętwiałe dłonie.

- To twój kres - mruknął. - Koniec z tobą.

Chwiejąc się na nogach, dźwignął ciężki pień na ramię i zaczął pozwolić go ciągnąć. Bum... bum... bum... słyszał za plecami, wlokąc go po stopniach tarasu w stronę bramy ogrodu. Ostatnie trzy części martwego drzewa wolno sunęły po mokrym śniegu śladem mężczyzny.

Skończyło się. Wykonał zadanie. Sta! i głęboko oddychał, jedną ręką oparty o przyczepę. Pozostało mu tylko odwieźć to wszystko do pubu, nim śnieg uniemożliwi jazdę. Na wszelki wypadek miał łańcuchy, o których zawczasu pomyślał.

Wszedł do domu, żeby się napić i zmienić ubranie, które lepiło mu się do ciała. Nie obchodziło go rozpalanie ognia, zasłanianie okien, przygotowywanie kolacji ani inne czynności, zwykle wykonywane

przez służącą - na to przyjdzie czas później. Teraz musi się napić i odwieźć drewno.

Umysł miał zmęczony i odrętwiały tak samo jak ręce i całe ciało. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie pojechać do pubu następnego dnia, a teraz klapnąć na fotel i zamknąć oczy. Nie, to nierozsądne. Wyglądało na to, że padający śnieg może pokryć drogę nawet metrową warstwą. Przyczepa z zamarzniętym drewnem utkwiliby w zaspie. Trzeba się zdobyć na jeszcze jeden wysiłek i zakończyć sprawę.

Dopił whisky, przebrał się i wyszedł, by uruchomić samochód. Wciąż sypało, ale z zapadnięciem mroku zrobiło się zimniej i w powietrzu czuło się mróz. Płatki śniegu, przedtem wściekle wirujące, teraz opadały spokojniej i wolniej, jakby pedantycznie.

Włączywszy silnik, zjechał po pochyłości, ciągnąc przyczepę. Prowadził powoli i bardzo ostrożnie ze względu na ciężki ładunek. Przy tym musiał wypatrywać drogi w padającym śniegu i przecierać szybę, co po męczącej pracy przez całe popołudnie wymagało dodatkowego napięcia. Jeszcze nigdy światła pubu nie sprawiły mu takiej radości, jak w chwili, gdy się zatrzymał na niewielkim podwórku.

Przystanął w wejściu, mrużąc oczy i uśmiechając się do siebie.

- No więc przywiozłem to drewno - oznajmił.

Pani Hill wlepiła w niego zdziwiony wzrok, kilka osób się odwróciło i także nań spojrzało, a grający w strzałki umilkli.

- Niemożliwe... - powiedziała.

Wtedy zaśmiał się do niej i kiwnął głową w stronę drzwi.

- Proszę wyjść i się przekonać - rzekł. - Tylko niech mi pani nie każe rozładowywać tego jeszcze dziś.

Ruszył do swojego ulubionego kąta, chichocząc pod nosem. Wszyscy tłoczyli się przy drzwiach, pokrzykując, śmiejąc się i wymieniając komentarze. Goście uznali go niemal za bohatera, otoczyli kołem i zasypywali pytaniami. Nalewając mu whisky, pani Hill z uśmiechem dziękowała i niedowierzająco kręciła głową.

- Dziś będzie pan pił na konto firmy - oświadczyła.

- Nie ma mowy - odpowiedział. - To ja stawiam. Zamawiam dwie kolejki. Proszę, panowie!

W świątecznym, ciepłym i radosnym nastroju nieustannie życzył wszelkiej pomyślności gościom, pani Hill, sobie i całemu światu. Kiedy Boże Narodzenie? W przyszłym tygodniu czy następnym? Więc wypijmy za Boże Narodzenie. Wesołych Świąt! Co tam śnieg, co tam pogoda. Po raz pierwszy nie siedział odosobniony w kącie, lecz był

jednym z nich. Po raz pierwszy pił i śmiał się razem z nimi, a nawet rzucał strzałką do tarczy. Czuł, że wszyscy go lubią w tym ciepłym, dusznym, zadymionym pubie, że jest u siebie i już nie będzie „tym kulturalnym panem” z tamtego domu, trochę dalej, przy drodze.

Mijały godziny. Niektórzy wychodzili, ich miejsca zajmowali nowi goście, a on wciąż siedział, z lekka oszołomiony, napawając się nieskrępowaną atmosferą ciepłej sali, pełnej dymu. Nic z tego, co słyszał i widział, nie miało zbyt wiele sensu, ale jakoś fakt ten wydawał się bez znaczenia, była tam bowiem korpulentna, beztroska pani Hill, która dbała, by niczego mu nie brakowało, promiennie uśmiechając się doń zza baru.

W pewnej chwili zobaczył obok robotnika, z którym na zmianę jeździł traktorem w czasie wojny. Pochylił się i lekko dotknął jego ramienia.

- Co się stało z tą małą? - zapytał.

Tamten oderwał kufel od warg i odparł zdziwiony:

- Co proszę?

- Pamięta pan tę dziewczynę? Doiła krowy i karmiła świnie w tym samym gospodarstwie, gdzieśmy pracowali. Taka ładna, ciemnowłosa, kędzierzawa. Zawsze uśmiechnięta.

Pani Hill, obsługująca kogoś innego, usłyszała to i odwróciła się do nich.

- A może panu chodzi o May? - wtrąciła.

- O, właśnie tak miała na imię - potwierdził.

- Czyżby pan o tym nie słyszał? - spytała pani Hill, nalewając mu whisky. - Wszyscy byliśmy wtedy bardzo wstrząśnięci. O niczym innym się nie mówiło. Prawda, Fred?

- No.

Znajomy robotnik, pijący piwo, otarł dłonią usta.

- Zabiła się - rzekł. - Zginęła w wypadku motocyklowym. Jakieś cztery lata temu. Straszne, co? Z niego też był fajny chłopak.

- Wysłaliśmy wieniec od nas wszystkich - powiedziała pani Hill.

- Jej matka była bardzo wzruszona. Dostaliśmy od niej list i wycinek z miejscowej gazety. Prawda, Fred? Urządzili wspólny pogrzeb, całe mnóstwo kwiatów. Biedna May. Wszyscy bardzośmy ją lubili.

- Zgadza się - potwierdził Fred.

- Że też pan nigdy o tym nie słyszał! - dziwiła się pani Hill.

- Nie, nie słyszałem. Nikt mi nie powiedział. Żałuję, że tak się stało. Naprawdę, bardzo mi przykro.



Wbił wzrok w swoją szklanę z nie dopitą whisky.

Rozmowa wokół niego toczyła się dalej, ale on już nie należał do tego towarzystwa. Znowu siedział w kącie sam i milczał. A więc ona zginęła, biedaczka. Ta ładna dziewczyna nie żyje. Zabiła się na motocyklu trzy czy cztery lata temu. Jakiś cholerny dureń zbyt szybko wjechał w zakręt. Ona siedziała z tyłu, trzymając go za pasek, pewnie nawet śmiała mu się do ucha, a potem trach! i... koniec. Nigdy więcej nie będą powiewać te kędzierzawe włosy, okalające jej twarz, nigdy więcej nie zabrzmiał ten śmiech.

May. Właśnie tak miała na imię. Teraz wyraźnie sobie przypominał. Pamiętał, jak uśmiechała się przez ramię, kiedy ją wołali.

- Już idę! - odrzykiwała śpiewnie.

Z brzękiem stawiała wiadro na podwórku, po czym wychodziła, człapiąc gumiakami i pogwizdując. Jeden raz ją objął i całował przez krótką, ulotną chwilę. May, dziewczynę o śmiejących się oczach.

- Wychodzi pan? - zapytała pani Hill.

- Tak. Myślę, że na mnie pora.

Niepewnym krokiem podszedł do wyjścia i otworzył drzwi. W ciągu minionej godziny chwycił silny mróz. Już nie padało. Zniknęły ciężkie chmury i na niebie świeciły gwiazdy.

- Może panu pomóc z samochodem? - zaproponował ktoś.

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

Odłączywszy przyczepę, puścił dyszel, który uderzył w ziemię. Z łoskotem przesunęło się drewno. Można zająć się nim jutro. Jeśli będzie miał na to ochotę, wróci tu nazajutrz i pomoże przy rozładunku. Teraz nie. Już i tak dość zrobił. Był zmęczony, całkiem wyczerpany.

Uruchomienie silnika zajęło mu jakiś czas. Jeszcze nie minął połowy bocznej drogi, prowadzącej do domu, gdy zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, w ogóle biorąc samochód. Napadało bowiem mnóstwo śniegu, który zasypał ślady opon zostawione wcześniej. Pojazd kołysał się i ślizgał. Nagle prawe koło się zapadło i samochód, mocno pochylony na bok, utknął w zaspie.

Mężczyzna jakoś się wygramolił i ocenił sytuację. Uznał, że bez pomocy nie zdoła wyciągnąć samochodu z głębokiego śniegu, a gdyby nawet kogoś sprowadził, dalsza jazda w takich warunkach wydawała się niemożliwa. Lepiej go zostawić, wrócić rano ze świeżymi siłami i wtedy spróbować. Nie ma sensu męczyć się z odkopywaniem auta przez pół nocy, w dodatku na próżno. Tutaj, na tej bocznej drodze, nic mu się nie stanie. Przecież dziś już nikt inny nie będzie tędy jechał.

Ruszył w stronę domu. Najwidoczniej miał pecha, że wpadł samochodem w zaspę, bo środkiem drogi całkiem niezłe mu się szło w śniegu, który nie sięgał powyżej kostek. Wcisnąwszy ręce do kieszeni palta, wytrwale parł naprzód przez wielką płaszczyznę pustych, białych pól.

Przypomniał sobie, że w południe odesłał służącą, więc w domu będzie smutno i zimno. Ogień zgasł nie tylko na kominku, ale prawdopodobnie także w piecu. Nie zasłonięte okna nie oddziela wnętrza od mroźnej nocy. Kolacja nie przygotowana. Cóż, to wszystko jednak z jego własnej winy, mógł więc mieć pretensje wyłącznie do siebie. W takich chwilach ktoś powinien na niego czekać, wybiec z salonu do hallu, zapalić tam światło i otworzyć frontowe drzwi.

- Nic ci się nie stało, kochanie? Zaczynałam się niepokoić.

Przystanął na pagórku, by odsapnąć, i wtedy na końcu krótkiej alejki zobaczył swój dom, osłonięty drzewami. Bez światła w oknach wydawał się ponury i odpychający. Mężczyzna miał wrażenie, że pod rozgwieżdżonym niebem, na otwartej przestrzeni, pokrytej skrzypiącym śniegiem, jest przytulniej niż w tym mrocznym domu.

Odwołując drewno, zostawił otwartą furtkę, więc teraz ją zamknął, nim wszedł na taras. W ogrodzie panowała głęboka cisza - nie było słycać w ogóle żadnego dźwięku i nic się nie poruszało, jakby ktoś wszystko zauroczył.

Bezszelestnie stąpając po śniegu, mężczyzna zbliżył się do drzew.

Teraz młoda jabłonka stała sama, już jej nie przytłaczała stara. Z rozpostartymi gałęziami połyskiwała bielą niczym w świetle fantazji, pełnym duchów i widm. Ruszył ku niej, chcąc się upewnić, czy jest żywa, czy śnieg jej nie zaszkodził i czy wiosną znów będzie mogła zakwitnąć.

Miał ją niemal w zasięgu ręki, gdy potknął się i upadł, skręciwszy nogę, która uwięzła w jakiejś przeszkodzie, ukrytej pod śniegiem. Próbował poruszyć stopą, ale okazała się zakleszczona. Czując ostry ból zrozumiał, że znalazł się w pułapce, jego nogę trzymał bowiem rozszczepiony pieńek drzewa, ściętego po południu.

Oparł się na łokciach i szarpiąc nogą usiłował ją uwolnić, ale przy każdym ruchu tylko coraz bardziej się zaklinowywała. Macał ziemię pod śniegiem, lecz trafiał dłońmi jedynie na drobne gałązki starej jabłonki, które się poobłamywały, gdy padała. Wołał o pomoc, choć wiedział, że nikt go nie usłyszy.

- Puść mnie! Puść!

Kiedy tak krzyczał, jakby to, co go trzymało, mogło okazać litość i zwrócić mu wolność, po jego twarzy spływały łzy bezsilności i strachu. Zdawał sobie sprawę, że będzie leżał całą noc, unieruchomiony przez starą jabłonkę. W beznadziejnej sytuacji, z której nie ma wyjścia, musiał czekać do rana, aż przyjdą i go odnajdą. A jeśli zjawią się za późno i zobaczą jedynie sztywne ciało, zamrożone w śniegu?

Jeszcze raz z wysiłkiem spróbował się uwolnić, klnąc i pochlipując. Wszystko na próżno. Nie mógł się ruszyć. Wyczerpany oparł głowę na rękach i zaszczołał. Coraz głębiej zapadał w śnieg, a kiedy zbłąkana gałązka, zimna i wilgotna, dotknęła jego warg, zdawało mu się, że jakaś ręka z wahaniem i nieśmiało szuka go po omacku w ciemnościach.

# Prowincjonalny fotograf

Markiza leżała na szezlongu stojącym na balkonie hotelu. Ubrała tylko w szlafrok, miała gładkie, złote włosy, dopiero co nawinięte na lokówki i przytrzymywane turkusową opaską pod kolor oczu. Obok, na niewielkim stoliku, stały buteleczki z lakierem do paznokci.

Uniosła dłoń i przyglądała się trzech paznokciom, z których każdy na próbę pokryła lakierem w innym odcieniu. Nie, na kciuku jest zbyt czerwony, za żywy, i przy oliwkowej skórze szczupłej ręki wygląda niemal jak kropla krwi ze świeżej rany.

Głęboki róż na wskazującym palcu wydawał się nie pasować do obecnego nastroju markizy. Ten elegancki kolor nadawał się do salonów, gdzie stojąc w balowej sukni podczas jakiegoś przyjęcia, wolno poruszałyby wachlarzem ze strusich piór, a z oddali dobiegałyby dźwięki skrzypiec.

Paznokieć środkowego palca jedwabiście połyskiwał ni to karmazynem, ni cynobrem, czymś bardziej miękkim, subtelniejszym, jak piwonia w paku, jeszcze z kropelkami porannej rosy. Piwonia zimna i zamknięta, która spogląda z góry na bujną trawę i dopiero później, w samo południe, rozchyła płatki przed słońcem.

Tak, właśnie ten kolor. Markiza sięgnęła po watę i starła lakier z pozostałych dwóch paznokci, a potem ostrożnie zanurzyła pędzelek w wybranym lakierze i szybkimi, zręcznymi pociągnięciami, niczym artysta, rozpoczęła malowanie.

Skończywszy, poczuła zmęczenie. Wygodnie się oparła i w dziwnym geście, zupełnie jak ksiądz, machała uniesionymi dłońmi, by wysuszyć lakier. Zerknęła na swoje stopy w sandałkach. Postanowiła, że wkrótce, za kilka chwil, pomaluje również paznokcie u nóg, ale naj-

pierw musi trochę odpocząć. Było zbyt gorąco, żeby natychmiast odebrać plecy od wygodnego szeszlona i z podkurczonymi nogami zajmować się ozdabianiem stóp. Miała przed sobą mnóstwo czasu, w istocie cały długi, senny dzień.

Zamknęła oczy.

Z oddali dobiegały stłumione odgłosy hotelowego życia, dla niej przyjemne, jako że stanowiła jego część i napawała się swobodą, uwolniona od tyranii domu. Na balkonie piętro wyżej ktoś szurał krzesłem, a w dole, na tarasie, kelnerzy przed obiadem rozpinali nad stolikami parasole w wesołe, kolorowe paski; z jadalni *maitre d'hôtel* wydawał polecenia. W sąsiednim apartamencie sprzątała *femme de chambre*. Przesuwano meble, zaskrzypiało łóżko... *Valet de chambre* wyszedł na balkon pokoju obok i zamiatał blat stolika słomianą szczotką. Wreszcie szmery i gderliwe głosy umilkły. Odeszli. Ponownie zrobiło się cicho. Słychać było tylko plusk morza, gdy leniwe fale lizały gorący piasek, a także śmiech rozbawionych dzieci, w tym jej własnych, lecz nie irytujący, bo dochodził z dużej odległości.

Na tarasie jakiś gość zamówił kawę. Dym z jego cygara, ulatując w górę, dotarł na balkon. Markiza westchnęła. Jej śliczne ręce opadły jak lilie z obu stron szeszlona. Ogarnął ją rozkoszny spokój. Pragnęła, by trwał jeszcze choć z godzinę...

Po godzinie jednak coś ją tknęło, że nawet tutaj, na wakacjach, gdzie wreszcie miała swobodę, wróca dawne zmartwienia i dawna nuda.

Na balkon przyleciał trzmiel. Przez chwilę wisiał w powietrzu nad buteleczką lakieru, a potem zniknął w otwartym kwiecie, który leżał obok, zerwany przez jedno z dzieci. Buczenie ucichło. Otworzywszy oczy, markiza zobaczyła, jak opity trzmiel wychodzi. Ospale wzbił się w powietrze i bucząc odleciał. Czar przysł. Wtedy podniosła z podłogi balkonu list od Edouarda, swojego męża.

*... a zatem, najdroższa, w żaden sposób nie zdołam przyjechać do Ciebie i dzieci. W domu mam na głowie tyle spraw, a wiesz, że mogę polegać jedynie na sobie. Oczywiście uczynię wszystko, żeby osobiście Was zabrać pod koniec miesiąca. Tymczasem się baw, zażywaj kąpeli i wypoczywaj. Morskie powietrze dobrze ci zrobi. Wczoraj byłem u Mamy i Madeleine. Wydaje się, że staruszek wikary...*

Markiza wypuściła z ręki list, który ponownie znalazł się na podłodze. Z lekka opuszczone kąciki ust, nieco szpecące piękną twarz tej kobiety, jeszcze bardziej opadły. Znowu to samo. Zawsze ta jego praca. Majątek, fermy, lasy. Ludzie, z którymi musi się spotkać, nagle

wyjazdy w interesach i w rezultacie Edouard, własny mąż, choć bardzo jej oddany, nie ma dla niej czasu.

Przed ślubem ją przestrzegali: „*Cest un homme tres serieux, Monsieur le Marquis, vous comprenez*”\*. Jak niewiele ją to obchodziło, jak bardzo się cieszyła, że za niego wychodzi, bo cóż lepszego mogło się jej trafić w życiu niż markiz, a w dodatku *un homme serieux*? Cóż mogło być wspanialsze od tego *chateau* i tych ogromnych posiadłości czy bardziej imponować niż Paryż i orszak uniżonej służby, nieustannie się kłaniającej i nazywającej ją *Madame la Marquise*! To bajkowy świat dla osoby takiej jak ona, wychowanej w Lyonie, córki zapracowanego chirurga i chorowitej matki. Gdyby *Monsieur le Marquis* nagle się nie pojawił, wyszłaby za młodego asystenta swojego ojca i jej udziałem na zawsze stałaby się ta sama lionńska codzienność.

Na pewno wszystko zapowiadało się bardzo romantycznie. Oczywiście, początkowo jego krewni marszczyli brwi na jej widok, ale pan markiz, człowiek poważny, skończył już czterdzieści lat i sam podejmował decyzje, a ona była taka piękna, więc nikt się nie przeciwstawił. Pobrali się, mieli dwie córeczki i żyli szczęśliwie. Czasami jednak...

Markiza wstała z szezlonga, weszła do pokoju, siadła przy toalecie i zdjęła lokówki. Nawet to ją wyczerpało. Zrzuciła szlafrok i siedziała przed lustrem nago. Chwilami łapała się na tym, że żałuje lionńskiej codzienności. Przypomniała sobie, jak chichotała z dziewczętami, tłumiąc śmiech, gdy na ulicy obejrzał się za nimi przechodzący mężczyzna, jak pisywała sekretne listy i szeptała z przyjaciółkami w swoim pokoju, kiedy ją odwiedzały.

Teraz, jako pani markiza, nie miała nikogo, z kim mogłaby się pośmiać czy porozmawiać od serca. Przebywała w towarzystwie osób znacznie od niej starszych, prowadzących życie, które nigdy się nie zmieniało. Te nie kończące się wizyty rodziny Edouarda. Do zamku ciągle przyjeżdżała jego matka, siostry, bracia, szwagierki i szwagrowie. Tak samo zimą w Paryżu. Żadnych nowych twarzy. Chyba jedyną atrakcją stanowiło to, że od czasu do czasu Edouard zapraszał na obiad znajomego biznesmena, a ten, zdumiony widokiem tak urodzivej pani domu, rzucał jej krótkie, śmiałe spojrzenie, pełne podziwu, a później z ukłonem całował ją w rękę.

Obserwując go przy obiedzie, wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby spotykała się z nim w tajemnicy, jeździła do niego taksówką,

\* Pan markiz to człowiek bardzo poważny, pani rozumie, (fr.)

wchodziła do małej, ciemnej windy, naciskała dzwonek u drzwi, a potem wkraczała do nieznanego mieszkania. Jednakże po skończonym obiedzie biznesmen kłaniał się i odchodził. Później stwierdziła, że właściwie nie był przystojny, a do tego miał sztuczną szczękę. Niemniej pragnęła takich spojrzeń pełnych podziwu, choć ukradkowych.

Teraz, siedząc przed lustrem, zajmowała się swoją fryzurą. Z jednej strony zrobiła przedziałek i dla odmiany wplotła w złote włosy wstążkę barwy lakieru na paznokciach. Tak. O tak... Później ta biała sukienka i tamten szyfonowy szal, niedbale narzucony na ramiona, żeby potem ludzie się na nią gapili i szeptali między sobą, odprowadzając ją wzrokiem, gdy z dziećmi i angielską guwernantką wyjdzie na taras i *maitre d'hôtel* będzie ich wiódł do stolika w rogu, ocienionego pasiastym parasolem, a ona umyślnie schyli się nad którąś córką i z gracją pogładzi ją po lokach gestem pięknej, zadowolonej matki.

W tej chwili jednak widziała w lustrze tylko nagie ciało i grymas smutku na ustach. Inne kobiety mają kochanków. Do jej uszu docierały szepty o skandalach, nawet podczas długich, nudnych kolacji z Edouardem, siedzącym przy drugim końcu stołu. Takie skandale zdarzały się nie tylko plebsowi, z którym nigdy nie miała do czynienia, ale również starej arystokracji, do której obecnie należała.

- Wiecie, ludzie mówią...

A potem aluzje, szeptem przekazywane z ust do ust, unoszenie brwi, wzruszanie ramionami.

Niekiedy z popołudniowej herbatki jakaś dama wychodziła wcześniej, przed szóstą, usprawiedliwiając się tym, że gdzie indziej na nią czekają, a wówczas markiza, żegnając ją i jak echo powtarzając, że bardzo żałuje, zastanawiała się, czy to przypadkiem nie randka. Może za niespełna dwadzieścia minut pani hrabina, cała drżąca, będzie z uśmiechem zrzucała z siebie ubranie na podłogę?

Kochanka miała również Eliza, przyjaciółka z liceum w Lyonie, mężatka od sześciu lat. W listach nigdy nie podawała jego imienia. Zawsze nazywała go *mon ami*. Udawało im się spotykać dwa razy na tydzień, w poniedziałki i czwartki. Wozili ją samochodem za miasto, nawet zimą. Eliza pisała do markizy: *Takiej osobie z eleganckiego towarzystwa, jak Ty, mój drobny romans musi się wydawać bardzo plebejski. Zapewne masz wielu adoratorów i wspaniałe przygody! Napisz mi o Paryżu, o przyjęciach i o tym, kto jest Twoim wybrańcem tej zimy.* W odpowiedzi markiza tylko napomknęła o tych sprawach, skwitowała je żartem i przeszła do opisywania sukni, w której wystąpiła na

jednym z przyjęć. Nie wspomniała jednak, że przyjęcie było bardzo oficjalne, nudne i skończyło się o północy, że Paryż poznała jedynie z okien samochodu w czasie przejazdów z dziećmi albo w drodze do krawca, by przymierzyć nową suknię, czy do fryzjera, żeby zmienić uczesanie. Jeśli idzie o życie w zamku, szczegółowo opisała komnaty, a także, naturalnie, licznych gości, długie aleje, wysadzone drzewami, hektary lasów, lecz ani słowa o tym, że wiosną całymi dniami leje, latem zaś jest straszna spiekota i wtedy w zamku panuje głucha cisza.

- *Ah! Pardon, je croyais que madame etait sortie...* \*

Lokaj ze słomianą szczotką w rękę wszedł bez pukania i teraz dyskretnie się wycofał, ale zdążył zobaczyć, że markiza siedzi przed lustrem naga. Z pewnością wiedział, że nie wyszła, bo kilka chwil wcześniej musiał ją widzieć leżącą na szezlongu. Nim zniknął z pokoju, miała wrażenie, że dostrzegła w jego oczach współczucie, jakby chciał powiedzieć: „Taka piękna i zupełnie sama? W tym hotelu to rzecz niezwykła, bo ludzie przyjeżdżają tu dla przyjemności...”

Boże, jaki upał! Ani jednego powiewu, nawet od morza. Strużki potu spływały jej po ramionach i całym ciele.

Apatycznie ubrała się w chłodną białą sukienkę, a potem jeszcze raz wyszła na balkon i podniosła markizę - od razu zalała ją żar z nieba. Ciemne okulary chroniły jej oczy. W całej postaci kolorem świeciły tylko usta, paznokcie u rąk i nóg oraz szal narzucony na ramiona. Szkła słonecznych okularów przyciemniały wszystkie barwy; niebieskie morze stało się granatowe, a biały piasek na plaży przybrał odcień oliwkowobrazowy. Jaskrawe kwiaty w donicach na tarasie sprawiały wrażenie tropikalnych. Kiedy markiza wychyliła się z balkonu, nagrzane drewno balustrady parzyło ją w dłonie. Znów skądś dolatywała woń cygara. Kelner roznosił aperitify, podzwaniając kieliszkami. Gdzieś odezwała się jakaś kobieta. Ze śmiechem odpowiedział jej męski głos.

Owczarek alzacki z wywieszonym językiem szukał przy murku tarasu chłodnej kamiennej płyty, by się położyć. Od strony plaży zbliżała się grupka młodych ludzi, opalonych na brąz, w biegu wołając o martini. Na ich ciałach białała wyschnięta sól z morskiej wody. Rzucili ręczniki na krzesła. Oczywiście Amerykanie. Któryś gwizdnął na owczarka, lecz pies nawet się nie ruszył. Markiza spojrzała na nich pogardliwie, ale również z pewną zazdrością. Mieli całkowitą swobodę.

\* tu: O, przepraszam! Myślałem, że pani wyszła... (fr.)



W każdej chwili mogli wsiąść do samochodu i pojechać gdzie indziej. Żyli w stanie dzikiej, beztroskiej radości. Zawsze w grupach po sześć, osiem osób. Oczywiście tworzyli pary, które demonstracyjnie się obla-  
piały. Jednakże w tej radości nie było żadnej tajemnicy i tu markiza dała upust swojej pogardzie. Ich prostym, bezproblemowym roman-  
som brakowało emocjonujących chwil niepewności. Nikt tam skrycie nie czekał za uchylonymi drzwiami.

„Romans powinien wyglądać zupełnie inaczej”, pomyślała odła-  
mując różę, która pięła się po kracie balustrady. Wsunęła kwiat w de-  
kolt. Romans to sprawa delikatna, nie należy o nim mówić ani się z nim obnosić. Żadne takie dzikie wrzaski i nagłe wybuchy śmiechu, lecz ukradkowe zaciekawienie, któremu towarzyszy obawa, a gdy oba-  
wa mija, bezwstydną zaufanie. Nigdy wzajemna sympatia dwojga zna-  
jomych, tylko namiętność między obcymi...

Hotelowi goście kolejno wracali z plaży. Zapełniały się stoliki. Taras, od rana pusty i gorący, znów ożył. Ludzie, którzy przyjechali sa-  
mochodem jedynie na obiad, przemieszali się z mieszkańcami hotelu. W prawym kącie siedziało sześć osób, a pod balkonem trzy. Coraz większa krzątanina, coraz głośniejszy gwar rozmów, podzwanianie kieliszków i sztućców sprawiły, że plusk morza, przez całe rano domi-  
nujący odgłos, teraz jakby zszedł na drugi plan. Zaczynał się odpływ, fale z wolna się cofały.

Nadchodziły dziewczynki z guwernantką. Elegancko, niczym la-  
leczki, szły przez taras, a za nimi pani Clay w bawełnianej sukience w paski; włosy miała zmierzwione po morskiej kąpieli. Nagle, spoj-  
rzawszy na balkon, dzieci pomachały rączkami.

- *Maman... maman...* - oznajmiły.

Wychyliła się i uśmiechnęła, a potem, jak zwykle, to drobne wyda-  
rzenie wzbudziło zainteresowanie. Ktoś powiódł oczami za wzrokiem  
dzieci, przy stoliku z lewej strony jakiś mężczyzna z uśmiechem zwró-  
cił na nią uwagę swoich towarzyszy, no i się zaczęło. Podziw osiągnął  
szczyt, kiedy zeszła. Oto markiza, piękna markiza z dwojgiem dzieci  
jak cherubinki. Szepty pełne zachwytu docierały do niej jak dym z pa-  
pierosów i gwar rozmów, kiedy goście przy stolikach dzielili się ko-  
mentarzami. To było wszystko, co wówczas dawały jej codzienne obia-  
dy na tarasie: podziw i respekt, lecz później wszyscy o niej zapominali.  
Każdy zajmował się swoimi sprawami: pływał, grał w golfa czy tenisa,  
odjeżdżał samochodem, a ona, piękna i przez nikogo nie niepokojona,  
zostawała z dziećmi i panią Clay.

- Popatrz, mamó, na plaży znalazłam maleńką rozgwiazdę. Zabiorę ją do domu, kiedy stąd wyjedziemy.

- Nie, bo ona jest moja. To ja ją zobaczyłam pierwsza.

Dziewczynki z twarzami poczerwieniałymi ze złości rzuciły się na siebie.

- Celestyno, Heleno, uspokójcie się. Od tego boli mnie głowa.

- Pani jest zmęczona? Po obiedzie powinno się odpocząć. W taki skwar to dobrze robi - rzekła guwernantka i pochylając się nad dziećmi, taktownie przywołała je do porządku: - Po obiedzie każdy jest zmęczony. Wszystkim nam odpoczynek dobrze zrobi.

„Odpoczynek... Ależ ja nie robię nic innego”, pomyślała markiza. „Całe moje życie to jeden długi odpoczynek”.

„Trzeba odpoczywać. Odpocznij, moja droga, bo nie najlepiej wyglądasz” - stale słyszała te słowa, zimą i latem. Od męża, guwernantki, szwagierek, od wszystkich starszych, męczących znajomych. Ze względu na jej bladą cerę i rezerwę uważali bowiem, że jest wątła. Jej życie było nieprzerwanym ciągiem odpoczywania. Tylko wstawiała i ponownie się kładła.

Bóg świadkiem, że od początku swojego małżeństwa całe godziny spędzała w łóżku przy zamkniętych okiennicach, czy to w paryskim mieszkaniu, czy w zamku na wsi. Od drugiej do czwartej odpoczynek. Zawsze nieustannie odpoczywała.

- Wcale nie jestem zmęczona - odparła guwernantce i po raz pierwszy głoś, zwykle melodyjny i łagodny, zabrzmiał ostro. - Po obiedzie idę na spacer. Przejdę się do miasta.

Dziewczynki wytrzeszczyły oczy, a zaskoczona pani Clay rozdziała usta i poblądła.

- Ten upał panią zabije. Poza tym nieliczne tutejsze sklepy są zamknięte między pierwszą a trzecią. Nie lepiej z tym poczekać do podwieczorka? Chyba tak będzie rozsądniej? Wówczas mogłaby pani wziąć ze sobą dziewczynki, a ja bym trochę poprasowała.

Markiza bez słowa wstała. Obiad już się skończył, tylko dziewczynki jeszcze marudziły - Celestyna zawsze jadła wolno. Na prawie pustym tarasie nie było nikogo ważnego, kto zwróciłby uwagę na ich powrót do hotelu.

Weszła na górę, jeszcze raz lekko przypudrowała twarz, podmalaowała usta, wzięła kropelkę perfum. Zza ściany dochodził bek dziewczynek, które pani Clay kładła do łóżek, zamknawszy okiennice. Markiza sięgnęła po torebkę ze słomianej plecionki, włożyła do niej

portmonetkę, rolkę filmu i parę drobiazgów. Na palcach minąwszy drzwi pokoju dzieci, ruszyła po schodach w dół i wyszła z hotelu na pustą drogę, pokrytą pyłem.

Drobne kamyki wpadały jej do sandałów, głowę prażyło słońce, więc wkrótce pomyślała, że to co robi, jest głupie i bez sensu. Goście, którzy grali i chodzili całe przedpołudnie, kiedy ona beczynnienie leżała na balkonie, teraz odpoczywali w swoich pokojach, tak jak dziewczynki i pani Clay. Markiza samotnie wkroczyła do niewielkiego miasteczka drogą zalaną słońcem.

Słowa guwernantki sprawdziły się dokładnie. Oczywiście, sklepy pozamykano ze względu na sjęstę, której bezwzględnie przestrzegali ich właściciele i wszyscy mieszkańcy.

Markiza z torbą dyndającą na ramieniu wolno szła ulicą - jedyny przechodzień w tym śpiącym świecie. Nawet bistro na rogu świeciło pustką. Jakiś żółty pies leżał z głową między łapami. Od czasu do czasu, nie otwierając oczu, kłapał morda, by odpędzić natrętne muchy. Muchy były wszędzie. Bzyczały na wystawie apteki, gdzie ciemne butelki z tajemniczym lekarstwem stały obok odżywek, gąbek i kosmetyków. Fruwały za szybami sklepów pełnych markiz, łopat, różowych lalek i obuwia na sznurkowych podszwach, łąziły u rzeźnika po pustym blacie kontuaru, poplamionym krwią. Z mieszkania na piętrze dobiegały dźwięki skrzeczącego radia, które ktoś nagle wyłączył i gębokoboko westchnął - chciał spać i nie życzył sobie, żeby mu przeszkadzało. Nawet poczta była zamknięta. Markiza pragnęła kupić znaczki, lecz bezskutecznie kołatała do drzwi.

Czuła pot spływający strużkami pod sukienką, a także doskwierały jej stopy w cienkich sandałkach, choć przeszła tylko kawałek. Słońce wściekle paliło, więc rozglądała się po ulicy i wszystkich domach ze sklepami zamkniętymi z powodu sjęsty, nagle bowiem zapragnęła się znaleźć w jakimś chłodnym, ciemnym miejscu, choćby piwnicy, byleby miała tam do dyspozycji kran z zimną wodą. Plusk wody spadającej na kamienną podłogę ukoiłby markizie nerwy rozstrojone przez upał.

Sfrustrowana niemal do łez, skręciła w zaułek między dwoma sklepami, dotarła do schodów, które prowadziły w dół na niewielkie, zacienione podwórko, gdzie przystanęła z ręką na zimnym murze, tuż obok zamkniętej okiennicy, o którą oparła czoło. Nagle okiennica się otworzyła i markiza z zakłopotaniem ujrzała jakąś twarz na tle mrocznego wnętrza.

- Przepraszam, ale... - bąknęła i urwała, uświadomiwszy sobie, w jak absurdalnej sytuacji się znalazła, przyłapano ją bowiem niczym intruza, podglądającego czyjeś prywatne życie, a całkiem zgłupiała, gdy się okazało, że to twarz niezwykle, o łagodnym wyrazie świętego z witraża katedry, okolona ciemnymi kędziorami. Mężczyzna miał nieduży, prosty nos, usta rzeźby i ciepłe, ujmujące spojrzenie brązowych oczu gazeli.

- Jak pani markiza sobie życzy - rzekł w odpowiedzi na jej nie do-kończone zdanie.

„Zna mnie”, pomyślała zdziwiona, „musiał mnie gdzieś widzieć”, lecz jeszcze bardziej ją zdumiał jego głos. Nie był to szorstki, chrapliwy głos osoby mieszkającej w suterenie pod sklepem, ale człowieka kulturalnego, i pasował do tych oczu gazeli.

- Na ulicy jest taki upał. Wszystkie sklepy pozamykane... Zrobiło mi się słabo, więc tu zesłałam. Najmocniej przepraszam za wtargnięcie, bo to, oczywiście, teren prywatny.

Mężczyzna znikł. Po chwili otworzył drzwi, których przedtem nie spostrzegła. Nagle znalazła się na krześle, stojącym w wejściu. Wewnątrz było mroczno i chłodno, jak w tej piwnicy, którą sobie wyobrażała, a on podawał jej wodę w glinianym kubku.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - rzekła.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że mężczyzna spogląda na nią uniesieniem i z szacunkiem, trzymając w ręku dzbanek.

- Czym jeszcze pani markizie mogę służyć? - zapytał tym swoim delikatnym, miękkim głosem.

Przecząco pokręciła głową, skrywając zadowolenie, jakie jej sprawiał podziw okazywany przez mężczyznę od pierwszej chwili, gdy otworzył okno. Umyślnie ciaśniej owinęła szalem ramiona. Zauważyła, jak oczy gazeli spojrzały na różę w wycięciu sukni.

- Skąd pan wie, kim jestem? - zagadnęła.

- Trzy dni temu przyszła pani z dziećmi do mojego zakładu po film do aparatu.

Patrzyła nań zaintrygowana. Pamiętała, że kupiła film w jakimś sklepiku z reklamą Kodaka na wystawie. Przypomniała sobie również brzydką, utykającą kobietę za kontuarem. W obawie, że dzieci zaczną się śmiać z jej kalektwa i że sama z nerwów będzie się śmiała razem z nimi, markiza pośpiesznie zamówiła kilka rzeczy z prośbą o przysłanie i szybko wyszła.

- Obsługiwała panią moja siostra - wyjaśnił. - Widziałem panią

z pokoju na zapleczu. Rzadko stoję za kontuarem. Zwykle fotografuję ludzi, krajobrazy, a potem sprzedaję zdjęcia tym, którzy latem przyjeżdżają tu na wakacje.

- Aha, rozumiem - rzekła i jeszcze raz uniosła gliniany kubek z wodą. Piła ją również za podziw w oczach mężczyzny. - Mam w torebce film do wywołania. Zrobiłby pan to dla mnie?

- Oczywiście, pani markizo. Dla pani zrobię wszystko, o co tylko pani poprosi. Od tamtego dnia, kiedy panią zobaczyłem w moim zakładzie, nie mogłem...

W tym momencie urwał, spąsował i odwrócił wzrok. Był bardzo zakłopotany.

Markiza ledwo powstrzymała się od śmiechu. Podziw tego mężczyzny uznała za absurdalny, a jednak, rzecz dziwna, dawała jej poczucie władzy.

- Czego pan nie mógł od czasu, gdy przyszedłem do pańskiego zakładu?

- Nie mogłem myśleć o niczym innym, naprawdę nie mogłem - odpowiedział tak żarliwie, że niemal ją przestraszył.

Uśmiechnęła się i zwróciła mu kubek.

- Jestem całkiem przeciętną kobietą. Pewnie by się pan rozczarował, gdyby mnie lepiej poznał.

„Jakie to dziwne, że tak spokojnie reaguję”, skonstatowała w duchu. „Nie czuję się oburzona ani wstrząśnięta. Oto sobie siedzę w suterenie pod zakładem i rozmawiam z fotografem, który przed chwilą oznajmił, że mnie uwielbia. Bardzo zabawne, lecz ten biedak mówił to szczerze, z głębokim przekonaniem”.

- No więc weźmie pan mój film?

Wydawało się, że mężczyzna nie może oderwać od niej oczu, ale gdy śmiało spojrzała mu prosto w twarz, znów się zaczerwienił i cofnął wzrok.

- Jeśli pani wróci tą samą drogą, którą przyszła, specjalnie dla pani otworzę zakład.

Dopiero teraz mu się przyjrzała. Bez koszuli, rozpięta kamizelka, nagie ramiona, szyja, kędzierzawe włosy na głowie.

- Dlaczego nie mogę dać panu filmu tutaj?

- Nie wypada, pani markizo.

Odwróciła się ze śmiechem i po schodach wyszła na rozgrzaną ulicę. Stojąc na chodniku, słyszała za plecami zgrzyt klucza w zamku i otwieranie drzwi. Umyślnie zwlekała z wejściem, by mężczyzna musiał na nią czekać. W zakładzie było duszno i ciasno, zupełnie inaczej niż w chłodnej suterenie.

Stał za kontuarem. Zawiedziona spostrzegła, że włożył przesadnie wykrochmaloną koszulę, w dodatku zbyt niebieską, i zwykłą szarą marynarkę, jaką nosi każdy ekspedient. Okazał się po prostu przeciętnym sklepikarzem, który teraz wyciągał rękę po film.

- Kiedy będzie gotowe?
- Jutro - odparł.

Znowu z podziwem na nią patrzył tymi swoimi brązowymi oczami. Zapomniała o przeciętnej marynarce i sztywnej, niebieskiej koszuli. Zobaczyła rozpiętą kamizelkę i gołe ramiona.

- Skoro pan jest fotografem, mógłby pan przyjść do hotelu i zrobić kilka zdjęć mnie i moim dzieciom.
- Naprawdę pani tego chce?
- Czemu nie?

Jego oczy tajemniczo zabłyśły. Schylił się i udawał, że czegoś szuka pod kontuarem. Uśmiechając się do siebie, markiza pomyślała, że jest podniecony, bo drżą mu dłonie, i że z tego samego powodu jej serce bije szybciej niż przedtem.

- Doskonale, pani markizo - rzekł. - Przyjdę do hotelu, kiedy tylko będzie to pani odpowiadało.
- Chyba najlepiej rano. Na przykład o jedenastej.

Niespiesznie wyszła, jak gdyby nigdy nic. Nawet nie powiedziała do widzenia.

Oglądając bez szczególnego celu wystawę sklepu po drugiej stronie ulicy, zobaczyła w szybie, że fotograf obserwuje ją zza drzwi. Już zdjął marynarkę i koszulę - przecież sjeść jeszcze się nie skończyła. Wówczas markiza spostrzegła, że on także jest kaleką, podobnie jak jego siostra: but na prawej nodze miał grubą, wysoką podeszwę. Tym razem widok ten, o dziwo, nie raził markizy ani nie wzbudzał w niej ochoty do nerwowego śmiechu, a raczej fascynował czymś frapującym, nieznanym.

Wróciła do hotelu drogą pokrytą pyłem.

Nazajutrz rano, o jedenastej, portier zawiadomił markizę, że w hallu czeka na nią monsieur Paul, fotograf. W odpowiedzi markiza poprosiła, by przysłano go na górę, do apartamentu. Wkrótce rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi, jakby przybysz się wahał.

- *Entrez!*\* - zawołała, stojąc na balkonie i obejmując córki. Specjalnie dla fotografa przygotowała tę scenkę.

\* tutaj: proszę (fr.)

Dziś była ubrana w luźną, jedwabną sukienkę barwy *chartreuse*\*. Miała inną fryzurę niż poprzedniego dnia: jej włosy, zaczesane do tyłu i pośrodku rozdzielone przedziałkiem, odsłaniały uszy ze złotymi klipsami.

Fotograf otworzył drzwi i zastygł w wejściu. Onieśmiałe dziewczynki z ciekawością zerkwały na podwyższony but, lecz nic nie mówiły, uprzedzone przez matkę.

- Oto moje maleństwa - odezwała się markiza. - A teraz musi nam pan powiedzieć, gdzie i jak powinnyśmy się ustawić.

Dziewczynki, które w takich sytuacjach zwykle dygały, tym razem tego nie zrobiły. Matka powiedziała im, że nie trzeba, bo *monsieur Paul* jest tylko fotografem z miasteczka.

- Jeśli to możliwe, pani markizo, proszę zostać w obecnej pozie. Jest całkiem ładna, taka naturalna i pełna gracji.

- Ależ oczywiście, jak pan sobie życzy. Heleno, stój spokojnie.

- Przepraszam, ale chwilę potrwa przygotowanie kamery.

Pochłonięty czynnościami związanymi ze swoim zawodem odzyskał spokój. Obserwując go, gdy ustawiał statyw, zawieszał pluszową osłonę i regulował kamerę, markiza przyglądała się jego rękom, zręcznym i sprawnym. Nie były to dłonie rzemieślnika ani sklepikarza, lecz prawdziwego artysty.

Przeniosła wzrok na podwyższony but. Fotograf nie utykał tak wyraźnie jak jego siostra i chodził bez tego podrygiwania, które sprawiało, że ludzie dusili się ze śmiechu. Stawiał kroki wolno, powłócząc nogą. Markiza trochę mu współczuła, bo kaleka stopa w takim bucie z pewnością bolała go i piekła, zwłaszcza podczas upału.

- Już, pani markizo - oznajmił.

Z nieczystym sumieniem oderwawszy wzrok od buta, przyjęła odpowiednią pozę, uśmiechając się i obejmując dzieci.

- Świetnie. Tak będzie bardzo ładnie.

Fotograf mówił półgłosem, łagodnym tonem, wpatrując się w nią brązowymi oczami. Ogarnęło ją przyjemne uczucie jak poprzedniego dnia. Cicho trzasnęła migawka.

- Powtórzmy to - rzekł.

Więc dalej pozowała z uśmiechem na ustach, w pełni świadoma, że tym razem fotograf zwleka z wykonaniem zdjęcia nie dlatego, że ona lub dzieci się poruszyły, lecz zwyczajnie pragnie jak najdłużej rozkoszować się jej widokiem.

\* zielonkawożółty likier ziołowy (fr.)

- A teraz tam - oświadczyła i wyszła na balkon, podśpiewując.  
Czar prysł.

Po półgodzinie znużone dzieci zaczęły się wiercić.

- Jest taki upał, że musi im pan wybaczyć - przeprosiła marki-  
za. - Dziewczynki, weźcie lalki i pobawcie się na drugim końcu bal-  
konu.

Szczebiocząc pobiegły do swojego pokoju. Markiza odwróciła się  
plecami do fotografa, który wkładał do kamery nowe płyty.

- Pan wie, jak to z dziećmi - rzekła. - Przez parę minut to dla nich  
nowość, a potem im się nudzi, pragną czegoś innego. Był pan bardzo  
cierpliwy, *monsieur* Paul.

Zerwała różę z balkonu i ująwszy kwiat w dłonie, pochyliła nad  
nim twarz.

- Błagam - odezwał się fotograf nagłym tonem. - Gdyby pani  
pozwoliła... Prawie nie mam śmiałości prosić...

- O co?

- Czy mógłbym sfotografować panią samą, bez dzieci?

Zaśmiała się. Cisnęła różę na taras pod balkonem.

- Ależ naturalnie! - odparła. - Jestem do pańskiej dyspozycji. Nie  
mam nic innego do roboty.

Usiadła na brzegu szeszlona i oparła się na poduszkach, podło-  
żywszy dłoń pod głowę.

- Tak dobrze? - spytała.

Zniknął pod pluszową zasłoną, wyregulował kamerę i kulejąc pod-  
szedł do szeszlona.

- Jeśli mi wolno... Ręka powinna być ciut wyżej. O, w ten sposób...  
Głowę proszę lekko pochylić w bok.

Ułożył markizie rękę według swego życzenia, a potem z wahaniem  
delikatnie uniósł jej brodę. Markiza przymknęła oczy. Nie cofnął dło-  
ni. Jego palce prawie niewyczuwalnie błędziły po jej szyi niczym piór-  
ko, jakby skóry dotykał koniuszek ptasiego skrzydła.

- Właśnie tak - powiedział. - Teraz jest idealnie.

Otworzyła oczy. Kuśtykał z powrotem do kamery.

Markiza nie męczyła się pozowaniem jak jej dzieci. Pozwoliła zro-  
bić sobie jedno zdjęcie, później drugie i następne. Dziewczynki wróci-  
ły i zgodnie z jej poleceniem bawiły się razem na drugim końcu balko-  
nu. Ich szczebiot stanowił miłe tło i oboje dorośli z uśmiechem słuchali  
tego trajkotania. Między markizą a fotografem nawiązała się nić zaży-  
łości, zniknęło poprzednie napięcie.



On stał się śmielszy, bardziej pewny siebie. Ona akceptowała wszystkie jego sugestie i przyjmowała najrozmaitsze pozy. Kilkakrotnie zrobiła to źle, a wtedy on taktownie zwracał jej uwagę:

- Nie, pani markizo, nie tak. O, w ten sposób.

Podchodził, obracał ją nieco, chwytając za ramię, czy klękał i przesuwając jej stopę, a za każdym razem dotknięcia jego dłoni były coraz mocniejsze i bardziej śmiałe. Kiedy jednak markiza spoglądała mu w oczy, uciekał ze wzrokiem, jakby się tego wstydził, i cofał ręce, przecząc swoim odruchom. Czuła, że on ze sobą walczy, i sprawiało jej to przyjemność.

W końcu, gdy drugi raz drapował jej sukienkę, zauważyła, że całkiem zbladł i na czoło wystąpił mu pot.

- Okropny upał - powiedziała. - Chyba na dziś nam wystarczy.

- Jak pani markiza sobie życzy - odparł. - Rzeczywiście jest bardzo gorąco. Myślę, że najlepiej przerwać.

Wstała z szeszlonga spokojnie i bez wysiłku. Nic jej nie dolegało ani nie czuła zmęczenia, lecz raczej ożywienie, jakby doznała przypływu energii. Postanowiła iść na plażę i popływać w morzu, gdy tylko fotograf odejdzie.

On wyglądał zupełnie inaczej. Zauważyła, że wycierał twarz chusteczką, pakując kamerę i statyw do futerału. Sprawiał wrażenie wyczerpanego i powłóczył nogą bardziej niż przedtem.

Markiza udawała, że przegląda odbitki, które dla niej zrobił po wywołaniu jej filmu.

- Te zdjęcia są bardzo słabe - powiedziała lekceważąco. - Pewnie źle nastawiałam aparat. Powinnam brać u pana lekcje.

- Pani markiza potrzebuje tylko troszeczkę praktyki. Początkowo miałem prawie taki sam aparat jak pani. Nawet obecnie, kiedy fotografuję plenery, wędrując po nadmorskich skałach, korzystam z aparatu małoobrazkowego i zdjęcia są tak samo dobre, jakbym je robił dużą kamerą.

Położyła odbitki na stoliku. Fotograf już trzymał w ręku futerał i zbierał się do wyjścia.

- W sezonie musi pan być bardzo zajęty. Skąd pan bierze czas na zdjęcia w plenerze?

- Sam rozporządzam moim czasem, pani markizo. Właściwie wolę robić zdjęcia krajobrazowe niż portrety w studiu. Rzadko znajduję satysfakcję w fotografowaniu ludzi, tak jak, na przykład, dziś.

Spojrzała nań. Patrzyła mu w oczy, w których znów dostrzegła odanie i uniżoność. W końcu speszony odwrócił wzrok.

- Wzdłuż całego wybrzeża są bardzo piękne widoki - ciągnął. - Na pewno pani to zauważyła w czasie spacerów. Po południami najczęściej biorę aparat i wchodzę na urwisko nad tą dużą skałą, która sterczy z morza na prawo od plaży, w pobliżu kąpieliska.

Markiza skierowała wzrok tam, gdzie fotograf pokazał ręką. W oddali, przez mgiełkę powietrza, rozedrganego od upału, dostrzegła cypel migocący zielenią.

- Wczoraj tylko przypadkiem zastała mnie pani w domu. W suterenie wywoływałem filmy obiecane klientom, którzy mieli dzisiaj wyjechać. Zwykle o tej porze spaceruję nad urwiskiem.

- Tam musi być strasznie gorąco.

- Może, ale wyżej trochę wieje. Najlepsze jest jednak to, że między pierwszą a czwartą prawie nikogo tam nie spotykam. W tym czasie ludzie odbywają siestę, a wtedy ja mam te piękne widoki wyłącznie dla siebie.

- Tak, rozumiem.

Przez chwilę oboje stali w milczeniu. Zdawało się, że między nimi zachodzi coś, czego nie potrafią wyrazić słowami. Markiza bawiła się swoją szyfonową apaszką, leniwie owijając nią nadgarstek w machinalnym geście.

- Kiedyś ja też muszę spróbować i wybrać się na spacer o takiej porze, kiedy panuje największy skwar - odezwała się w końcu.

Na balkon wyszła pani Clay, wołając do dzieci, by się umyły przed obiadem. Fotograf odsunął się o krok, przepaszając, z szacunkiem. Markiza, spojrzawszy na zegarek stwierdziła, że już jest *midi*\*, że stoliki na tarasie obsiedli goście, że jak zwykle słychać krzątanie, gwar rozmów, podzwanie kieliszków i sztućców, a ona dotychczas tego nie spostrzegła.

Odwróciła się bokiem do fotografa, udając przed panią Clay, że chłodno i obojętnie go zwalnia, skoro pozowanie się skończyło.

- Dziękuję panu - rzekła. - Za kilka dni przyjdę obejrzeć próbne odbitki. Żegnam.

On się uklonił i odszedł jak pracownik, który wykonał polecenie.

- Mam nadzieję, że zrobił parę dobrych zdjęć - odezwała się guwernantka. - Pan markiz bardzo by się ucieszył.

\* południe (fr.)

Markiza nie odpowiedziała. Akurat zdejmowała złote klipsy, bo z jakiegoś powodu już nie pasowały do jej nastroju. Wkrótce zejdzie na obiad nie ozdobiona żadną biżuterią, sama uroda powinna wystarczyć.

Minęły trzy dni, lecz markiza ani razu nie poszła do miasteczka. Pierwszego dnia pływała, a po południu przyglądała się grze w tenisa. Drugi dzień spędziła z dziećmi, zwolniwszy guwernantkę, która pojechała autokarem na wycieczkę po starych warownych grodach, leżących w głębi łąd. Trzeciego dnia wysłała panią Clay z dziećmi do miasteczka po wglądówki. Przyniosły je elegancko zapakowane. Markiza obejrzała zdjęcia. Okazały się bardzo dobre, a studia portretowe najlepsze, jakie dotychczas jej zrobiono.

Zachwycona pani Clay nalegała, by wysłać po jednej odbitce do Anglii.

- Nikt nie uwierzy, że jakiś prowincjonalny fotograf z małego nadmorskiego miasteczka potrafi robić tak wspaniałe zdjęcia! W Paryżu kosztowałyby krocie.

- Są niezłe - odparła markiza ziewając. - Z pewnością zadał sobie wiele trudu. Mnie zrobił lepsze niż dzieciom. - Z powrotem zapakowała fotografie i włożyła je do szuflady, a potem spytała guwernantkę: - Czy *monsieur* Paul był z nich zadowolony?

- Nic na ten temat nie mówił. Wydawał się rozczarowany, że pani markiza nie przyszła po nie sama. Wspomniał, że są gotowe od wczoraj. Zapytał, jak się pani czuje. Dziewczynki odpowiedziały, że *maman* pływa. Zachowywały się wobec niego całkiem przyzwoicie.

- W miasteczku jest zbyt gorąco i za dużo kurzu - powiedziała markiza.

Następnego dnia po południu, kiedy guwernantka i dziewczynki odpoczywały, a goście spali, znużeni słońcem, markiza przebrała się w zwykłą, prostą sukienkę bez rękawów, wzięła aparat i cichutko, by dzieci nie zauważyły, wymknęła się z hotelu, dotarła na plażę i ruszyła wąską ścieżką w górę. Słońce paliło bezlitośnie, ale markizie to nie przeszkadzało. Wkrótce znalazła się na krawędzi urwiska, gdzie o jej gołe nogi ocierały się paprocie, a pod stopami miała sprężystą darń bez żadnego kurzu.

Prawie niewidoczna ścieżka wiła się wśród bujnych paproci, miejscami tak blisko urwiska, że każdy fałszywy krok groził poważnym niebezpieczeństwem. Markiza jednak się nie bała. Wcale nie zmęczo-

na szań powoli, leniwie kołysząc biodrami w swój charakterystyczny sposób. Pragnęła dotrzeć tylko do miejsca nad wielką skałą, sterczącą pośrodku zatoki. Nikogo nie widziała, na cyplu była zupełnie sama. Za jej plecami, daleko w dole bieleł się hotel; rzędy kabin przebieralni na plaży wyglądały jak klocki, którymi bawią się dzieci. Gładkiej powierzchni bardzo spokojnego morza nie zakłócała ani jedna zmarszczka, nawet tam, gdzie omywało skałę.

Nagle markiza dostrzegła w paprociach jakiś błysk. Z pewnością obiektyw aparatu. Nie zwracając nań uwagi udała, że sprawdza swój aparat, a potem zaczęła fotografować. Zrobiła jedno zdjęcie, drugie... i wtedy usłyszała szelest paproci - ktoś nadchodził.

Odwróciła się zaskoczona.

- *Monsieur Paul!* Co za niespodzianka! Dzień dobry!

Nie miał na sobie taniej, sztywnej marynarki ani niebieskiej koszuli, bo teraz nie pracował. Po prostu w czasie sjeisty wybrał się na spacer incognito. Był ubrany jedynie w kamizelkę i granatowe spodnie. Zrezygnował też z wymiętego szarego kapelusza, którym straszyl, gdy przyszedł do hotelu. Gęste, ciemne włosy okalały łagodną twarz fotografa. W jego oczach markiza zobaczyła taki zachwyt, że musiała się odwrócić, by ukryć rozbawienie.

- No więc posłuchałam pańskiej rady i przysłałam tu obejrzeć ten widok - powiedziała beztrzesko. - Jednakże jestem pewna, że nieprawidłowo trzymam aparat. Czy mógłby mi pan pokazać, jak należy to robić?

Zbliżył się i ułożył jej dłonie w odpowiedniej pozycji.

- Tak, oczywiście - rzekła.

Zaśmiała się z cicha i odsunęła od niego, miała bowiem wrażenie, że kiedy stał obok niej i naprowadzał jej ręce, słyszała bicie jego serca, co wzbudziło w niej emocje, które pragnęła ukryć.

- Wziął pan swój aparat? - spytała.

- Owszem, pani markizo, tylko że zostawiłem go tam, w paprociach, razem z płaszczem. To moje ulubione miejsce, tuż przy brzegu urwiska. Wiosną stamtąd obserwuję i fotografuję ptaki.

- Może mi pan pokazać?

Ruszył przodem, bąknawszy: „Przepraszam”. Zaprowadził ją ścieżką na niewielką polankę, przypominającą gniazdo osłonięte paprociami, które teraz sięgały do pasa. Polanka była otwarta jedynie od strony morza.

- Ależ tu cudownie! - wykrzyknęła markiza, wchodząc do kryjówek.

Rozejrzała się, uśmiechnęła i z gracją usiadła tak naturalnie jak małe dziecko na pikniku. Podniosła z płaszcza książkę leżącą obok aparatu.

- Dużo pan czyta?

- Tak, pani markizo. Bardzo lubię książki.

Zerknęła na tytuł. Było to jedno z tanich romansideł, jakie w czasach licealnych ona i jej koleżanki przemycały w teczkach. Czegoś takiego nie czytała od lat. Ponownie zmuszona ukrywać rozbawienie, odłożyła książkę na płaszczy.

- Podoba się panu ta historia?

- Jest bardzo wzruszająca, pani markizo.

„Wzruszająca? Osobliwe...”, pomyślała i zaczęła mówić o wglądówkach, napomykając o tych, które uznała za najlepsze, a cały czas w duchu triumfowała, że tak świetnie panuje nad sytuacją. Dokładnie wiedziała, co zrobić, co powiedzieć, kiedy się uśmiechnąć i kiedy zachować poważną minę. Dziwne, że to jej przypomniało, jak w dzieciństwie przymierzała z koleżankami kapelusze matki. Mówiła wówczas: „Udawajmy damy”. Teraz także udawała, ale nie damę, jak wtedy, lecz... No właśnie, kogo? Nie miała pewności. Niewątpliwie jednak kogoś innego, bo w istocie już od dawna była prawdziwą damą, elegancko pijącą herbatę w zamkowym salonie, w otoczeniu tylu wiekowych przedmiotów i starych ludzi, że sprawiali wrażenie zmurszałych.

Fotograf prawie się nie odzywał. Słuchał tego, co mówiła markiza. Czasami skinął głową, lecz przeważnie w milczeniu napawał się dźwiękiem jej cudownie wibrującego głosu. Markiza uważała go za kibica, manekina, zasługującego na lekceważenie, podczas gdy ona jemu jawiła się błyskotliwą, czarującą kobietą, która nagle stała się sobą.

Wreszcie nastąpiła przerwa w tej jednostronnej rozmowie, a wtedy on nieśmiało wykrztusił:

- Czy wolno mi o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Mógłbym panią sfotografować, tutaj, na tym tle?

- Niech pan zrobi tyle zdjęć, ile tylko ma pan ochotę. Siedzi się tu tak przyjemnie, że kto wie, czy się nie prześpię.

- *La belle au bois dormant*\* - skomentował natychmiast, a potem się zreflektował, zawstydzony swoją poufałością, i bąknął: - *Pardon*.

Powtórzył to słowo, sięgając po aparat.

\* śpiąca królewna (fr.)

Tym razem jej nie prosił, by zmieniła pozę. Fotografował ją tak, jak siedziała, leniwie gryzącą żdźbło trawy. To on zmieniał pozycję, ustawiając się to tu, to tam. Robił zdjęcia z przodu, z profilu, ze wszystkich stron.

Poczuła sennieć. Słońce piekło jej nie osłoniętą głowę. Nadleciała zielonkawozłocista ważka i na moment zawisła w powietrzu. Markiza ziewnęła, odchyliła się do tyłu i legła na paprociach.

- Nie zechciałyby pani użyć mojego płaszcza jako poduszki, pani markizo?

Nim zdążyła odpowiedzieć, fotograf ładnie go zwinął i wsunął pod paprocie. Wygodnie oparła głowę na miękkiej rolce z szarego płaszcza, na który wcześniej patrzyła z taką pogardą.

Mężczyzna ukląkł przy niej i wymieniał film w aparacie, a ona ziewając obserwowała go spod półprzymkniętych powiek. Spostrzegła, że cały ciężar ciała utrzymywał na jednym kolanie, zniekształconą stopę odsuwając w bok. Zaintrygowało ją, czy kaleka noga sprawia mu ból, kiedy się na niej opiera. Wysoki but błyszczał się bardziej niż ten na lewej nodze. Nagle markizie przyszło do głowy, że codziennie rano, ubierając się, fotograf zadaje sobie wiele trudu, by go wyczyścić i doprowadzić do takiego połysku; być może robi to irczą.

Jakaś ważka usiadła jej na dłoni, połyskując skrzydełkami. Markiza się zastanawiała, na co ona czeka. Kiedy na nią dmuchnęła, ważka odleciała, lecz po chwili wróciła i z uporem ponownie usiadła na rękę.

Monsieur Paul odłożył aparat, ale dalej klęczał obok na paprociach. Markiza czuła, że na nią patrzy. Pomyślała: „Jeśli się ruszę, on wstanie i wszystko się skończy”.

Nie odrywała wzroku od połyskliwej ważki, wiedziała jednak, że prędzej czy później musi spojrzeć gdzie indziej lub owad odleci albo też milczenie stanie się tak nieznośne, że sama je przerwie wybuchem śmiechu i wszystko popsuje. Niechętnie, wbrew własnej woli, odwróciwszy głowę, popatrzyła na fotografa. Jego duże oczy, pełne uległości i oddania, nieruchomo się w nią wpatrywały z całą pokorą niewolnika.

- Dlaczego mnie nie całujesz? - spytała i nagle się przelekła, zaskoczona własnymi słowami.

On nic nie powiedział. Nawet nie drgnął. Wciąż na nią patrzył. Zamknęła oczy i wtedy poczuła, że ważka odleciała.

Wkrótce, gdy w końcu fotograf się pochylił, by dotknąć markizy, okazało się, że nie tego oczekiwała. Nie było żadnego gwałtownego

uścisku. Odniosła wrażenie, jakby znowu wróciła ważka, tym razem z jedwabistymi skrzydełkami, którymi muskała jej gładką skórę.

Kiedy odszedł, świadczyło to o jego takcie i delikatności. Zostawił markizę samą, by jej oszczędzić nieuniknionego skrępowania i zakłopotania, a także napięcia związanego z rozmową.

Markiza leżała na plecach wśród paproci, zasłaniając dłońmi oczy i rozważając to, co się stało. Nie czuła wstydu. Miała jasność myśli i była całkowicie spokojna. Zaczęła planować, jak wróci do hotelu, dając fotografowi dość czasu na zejście, aby nikomu się z nim nie skojarzyła, gdy ruszy jego śladem, powiedzmy za pół godziny.

Wstała, uporządkowała sukienkę, a potem wyjęła z kieszeni puderniczkę i szminkę. Nie mając lusterka, bardzo ostrożnie przypudrowała twarz. Słońce już tak nie paliło, a od morza wiała chłodna bryza.

„Jeśli pogoda się utrzyma, mogę tu przychodzić codziennie, o tej samej porze, i nikt się o tym nie dowie”, pomyślała markiza, rozczesując włosy. „Po obiedzie pani Clay i dzieci zawsze odpoczywają. To miejsce jest ukryte wśród paproci, a skoro będziemy przychodzić i wracać oddzielnie, jak dziś, nikt się nie zorientuje. Do końca wakacji zostało jeszcze ponad trzy tygodnie. Najważniejsza rzecz modlić się o upały, bo gdyby zaczęło padać...”

W drodze do hotelu markiza się zastanawiała, jak sobie dadzą radę, jeżeli pogoda się załamię. Idąc na urwisko, można wziąć pelerynę, a potem leżeć w paprociach mimo deszczu i wiatru. Oczywiście jest jeszcze suterena pod zakładem, lecz markiza nie chciała, by ktoś ją zobaczył w miasteczku, bo to byłoby niebezpieczne. Nie, dopóki nie zacznie lać, pewniejsze jest urwisko.

Wieczorem usiadła i w liście do Elizy napisała: *To cudowna miejscowość. Jak zwykle świetnie się bawię i pod nieobecność męża nie narzekam na brak opieki.* Nie podała jednak żadnych szczegółów swojego podboju, choć napomknęła o paprociach i upalnym popołudniu. Uważała, że nie stawiając sprawy jasno, pozwoli Elizie wyobrazić sobie jakiegoś bogatego Amerykanina, który dla przyjemności podróżuje bez żony.

Nazajutrz rano bardzo starannie się ubrała, długo stojąc przed szafą, nim włożyła sukienkę nieco zbyt wytworną w wypadku nadmorskich wakacji, lecz zrobiła to umyślnie, a potem, w towarzystwie pani Clay i dzieci, poszła do miasteczka. Był dzień targowy, więc tłumy ludzi wypełniały rynek i uliczki brukowane kocimi łbami. Najwięcej osób pochodziło z okolic, lecz spotykało się też wielu Anglików i Amery-

kanów, którzy zwiedzali miasteczko, kupowali pamiątki i widokówki albo siedzieli w narożnej kafejce, obserwując przechodniów.

Markiza wyglądała wspaniale w pięknej sukience, gdy szła bez kapelusza, osłaniając się parasolką, a obok podskakiwały dwie małe dziewczynki. Mnóstwo ludzi się oglądało, a nawet ustępowało jej z drogi w hołdzie dla takiej urody. Pokręciwszy się trochę po rynku, gdzie kupiła kilka rzeczy, które pani Clay włożyła do swojej dużej torby, markiza jakby mimochodem skręciła do zakładu z reklamą Kodaka i fotografiami na wystawie, w dalszym ciągu wesoło i dowcipnie odpowiadając na pytania córek.

W środku tłoczyli się klienci, czekający na swoją kolej. Markizie się nie śpieszyło, więc udawała, że przegląda albumy z miejscowymi widokami, równocześnie obserwując, co się dzieje w zakładzie. *Monsieur* Paul i jego siostra stali za ladą. On miał na sobie tanią szarą marynarkę i wykrochmaloną koszulę, tym razem ohydnie różową, znacznie brzydszą od niebieskiej, siostra zaś, jak wszystkie ekspedientki w miasteczku, była ubrana w brudną czerń i szal na ramionach.

Fotograf z pewnością zauważył, jak markiza wchodziła, bo natychmiast opuścił swoje miejsce za kontuarem, zostawiając troskę o kolejkę siostrze, podszedł z grzeczną, uległą miną i spytał, czym może służyć. W jego oczach nie było śladu poufałości ani nie wyglądał, jakby coś wiedział. Markiza upewniła się co do tego, uważnie mu się przyjrzawszy. Umyślnie wciągnęła do rozmowy panią Clay i dzieci, prosząc guwernantkę, by pomogła wybrać zdjęcia, które miały być wysłane do Anglii. Zatrzymała fotografa przy sobie, traktując go protekcyjnie, z pewną wyższością. Powiedziała nawet, że kilku zdjęć w żaden sposób nie może wysłać swojemu mężowi - markizowi - bo, jak to określiła, dzieci wyszły na nich niekorzystnie. Fotograf zaczął przeproszać. Przyznał jej rację i oświadczył, że chętnie znów przyjdzie do hotelu, by zrobić nowe, oczywiście nieodpłatnie, tym razem na tarasie lub w ogrodzie, gdzie efekt będzie lepszy.

Parę osób się odwróciło i przyglądało markizie. Czują na sobie ich wzrok pełen zachwytu, lecz ignorując to, powiedziała fotografowi, wciąż protekcyjnym, chłodnym tonem, niemal szorstko, żeby jej pokazał kilka rzeczy w swoim zakładzie, co pośpiesznie zrobił, pragnąc ją zadowolić.

Klienci zaczęli się niecierpliwie i przestępować z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać, aż jego siostra ich obsłuży. Ona zaś, oblegana przez tłum, rozpaczliwie kuśtykała za kontuarem w tę i we w tę, co ja-



kiś czas zadzierając głowę, by sprawdzić, czy brat, który tak nagle zostawił ją samą, już idzie jej na pomoc.

Wreszcie markiza ustąpiła. Już otrzymała to, czego pragnęła. Wspaniałe uczucie skrywanego podniecenia, które w niej wzbierało od chwili, gdy weszła do zakładu, znalazło zaspokojenie.

- Lada dzień dam znać, kiedy pan będzie mógł przyjść i ponownie sfotografować dzieci. Tymczasem chciałabym uregulować to, co jestem winna - powiedziała i zwróciła się do guwernantki: - Proszę się tym zająć.

Chwyliła dziewczynki za ręce i bez słowa pożegnania wolnym krokiem wyszła z zakładu.

Nie przebrała się do obiadu. Miała na sobie tę samą czarującą sukienkę, kiedy wchodziła na taras, zatłoczony bardziej niż zwykle z powodu przyjazdu jakiejś wycieczki. Pojawienie się markizy wywołało szmer zachwytu wśród licznych gości, a później, gdy siedziała przy stoliku w kącie, aż szumiało od komentarzy na temat jej urody. Natychmiast podskoczył do niej *maitre d'hôtel*, kelnerzy, a nawet sam dyrektor, uśmiechając się i płaszcząc. Słyszała swoje nazwisko, szeptem przekazywane z ust do ust.

Wszystko podkreślało jej triumf: woń znakomitego jedzenia, wina i papierosów, a także delikatny zapach jaskrawych kwiatów w donicach, żar lejący się z nieba i plusk fal pobliskiego morza. Kiedy w końcu wstała i z dziećmi weszła na piętro, przepełniało ją uczucie szczęścia, niczym primadonnę po długich, gromkich owacjach.

Pani Clay i dziewczynki udały się do swoich pokojów na odpoczynek, a wtedy markiza błyskawicznie się przebrała, zmieniła obuwie i na palcach wymknąwszy się z hotelu, skierowała się po gorącym piasku plaży w stronę ścieżki prowadzącej na cypel porośnięty paprociami.

Fotograf już tam na nią czekał, czego się spodziewała. Żadne z nich nie napomknęło o tym, po co teraz tu przyszła, ani o jej wizycie w zakładzie. Natychmiast ruszyli na małą polankę przy krawędzi urwiska, gdzie jednomyślnie usiedli. Markiza kpiącym tonem opisała tłum i straszny zamęt w czasie obiadu na tarasie, po czym dodała, że bardzo tym wszystkim zmęczona z rozkoszą stamtąd uciekła na urwisko, gdzie powietrze jest świeże i czyste.

Fotograf skwapliwie przyznał jej rację. Patrzył na markizę, kiedy mówiła o sprawach wielkiego świata, jakby jej słowa zawierały całą mądrość świata, a później, jak wczorajszego dnia, zaczął prosić, by

pozwoiliła mu zrobić jej kilka zdjęć. Zgodziła się. Po chwili z zamkniętymi oczami leżała na paprociach.

Straciła poczucie czasu na całe popołudnie, długie i duszne. Jak poprzednio, wokół niej latały ważki i słońce prażyło jej ciało. Wszystko, co się działo, sprawiało jej ogromną przyjemność, a jednocześnie z dziwną satysfakcją uświadomiła sobie, że jest całkowicie spokojna i nie ma wyrzutów sumienia, jakby się odprężała w paryskim salonie piękności podczas usuwania pierwszych zmarszczek czy mycia głowy, choć musiała przyznać, że te zabiegi dawały jej tylko pewne zadowolenie, lecz żadnej przyjemności.

Fotografznowu odszedł bez słowa, taktownie i dyskretnie, zostawiając ją samą, by mogła doprowadzić się do porządku. I znowu po jakimś czasie, gdy stwierdziła, że zniknął jej z oczu, wstała i ruszyła w długą powrotną drogę do hotelu.

Szczęście jej dopisało i pogoda się nie załamała. Codziennie po południu, jak tylko obiad się kończył i dzieci szły odpoczywać, markiza wybierała się na przechadzkę, z której wracała około wpół do czwartej, akurat na podwieczorek. Pani Clay z początku się dziwiła, że ona ma tyle energii, ale później uznała to za rzecz normalną. Skoro markiza postanowiła spacerować w porze największego skwaru, jej sprawa. Z pewnością dobrze to na nią wpływało, bo lepiej odnosiła się do gubernantki i mniej dokuczała córkom. Zapomniała o nieustannych bólach głowy i migrenach. Wydawało się, że jest naprawdę zadowolona z tych zwykłych wakacji nad morzem, jakie spędzała w towarzystwie jedynie pani Clay i dwojga małych dzieci.

Po dwóch tygodniach odkryła, że jej doznania, początkowo tak rozkoszne, z wolna tracą urok, ale nie dlatego, że *monsieur* Paul w jakiś sposób ją zawodził. Po prostu przywykła do codziennego rytuału i to, co pierwotnie było tak cudowne, przy ciągłym powtarzaniu spowszedniało, nużyło. Markiza stwierdziła, że chcąc znowu czerpać z tego przyjemność, nie powinna traktować fotografa jak manekina czy fryzjera układającego jej włosy, lecz jak osobę, której uczucia mogłaby zranić. Należałoby mu wytknąć, że nosi zbyt długie włosy i źle skrojone, tanie ubrania, a nawet że nieudolnie prowadzi zakład, do robienia zdjęć zaś używa marnego papieru i poślednich materiałów.

Mówiąc mu to wszystko, będzie uważnie na niego patrzyła i zobaczy, jak fotograf blednie, w jego dużych oczach pojawia się niepokój i ból, jak uświadomiwszy sobie swoją niższość, całym wyglądem wyra-

zi to, że czuje się odrzucony, i na ten widok w markizie znowu zapłonęły dawne emocje.

Specjalnie zaczęła skracać popołudniowe spotkania. Spóźniała się na randki w paprociach, a on na nią czekał z niepokojem w oczach. Jeśli nie była w odpowiednim nastroju, naprędce załatwiała sprawę i pośpiesznie wysyłała go w powrotną drogę, by później wyobrażać sobie, jak kuśtyka do swojego zakładu w miasteczku, zmęczony i nieszczęśliwy.

Jednakże w dalszym ciągu pozwalała się fotografować, gdyż to również stanowiło część przygody. Poza tym wiedziała, że robienie jej zdjęć jest dla niego udręką, kiedy widzi ją tak doskonałą, więc z rozkoszą to wykorzystując, czasami kazała mu przychodzić do hotelu rano, by następnie, wykwintnie ubrana i z dziećmi u boku, pozować gdzieś na przyległym terenie na oczach zachwyconej pani Clay i gości, przyglądających się z okien pokoi czy z tarasu.

Kontrast między tym, co robiła rano, kiedy fotograf, jako pracownik, utykając biegał wokół niej i na jej rozkaz przenosił statyw to tu, to tam, a intymnymi spotkaniami po południu wydawał się jedyną dla niej podniętą w trzecim tygodniu.

Wreszcie, gdy pewnego dnia znad morza powiał dość zimny wiatr i markiza nie poszła na randkę, lecz odpoczywała na balkonie, czytając jakąś powieść, tę zmianę przyjęła z prawdziwą ulgą.

Nazajutrz wróciła piękna pogoda i markiza postanowiła iść na cypel. Po raz pierwszy od ich spotkania w suterenie pod zakładem fotograf zaczął robić jej wyrzuty ostrym, nerwowym tonem.

- Wczoraj czekałem na ciebie całe popołudnie. Co się stało?
- Był brzydki dzień. Wolałam czytać na balkonie.
- Bałem się, że zachorowałaś. Już chciałem iść do hotelu, by spytać, jak się czujesz. Tak się martwiłem, że w nocy prawie nie spałem.

Z niepokojem w oczach i ze zmarszczonym czołem szedł za nią do kryjówki w paprociach. Jego przygnębienie w pewnym sensie podniecało markizę, ale jednocześnie irytowało ją to, że fotograf się zapomniał i śmiało komentował jej postępowanie. Odbierała to tak, jakby paryski fryzjer czy masażysta besztali ją za to, że nie przyszła do salonu, choć się umówiła.

- Jeśli myślisz, że codziennie muszę tu przychodzić, jesteś w wielkim błędzie. Mam mnóstwo innych zajęć.

Upokorzony natychmiast ją przeprosił. Błagał, by mu wybaczyła.

- Nie wiesz, ile dla mnie znaczysz. Od chwili, gdy cię poznałem,

wszystko w moim życiu się zmieniło. Naprawdę żyję tylko w czasie tych popołudniowych spotkań.

Jego słowa sprawiły jej przyjemność i na nowo wzbudziły zainteresowanie fotografem, równocześnie jednak, leżąc obok niego, litowała się nad nim, że jest tak oddany, tak całkowicie od niej uzależniony. Gładziła go po włosach w chwilowym przypiływie niemal matczynych uczuć. Biedactwo, przekuśtykał wczoraj taki kawał drogi, żeby się z nią spotkać, a później siedział tu na zimnym wietrze, samotny i nieszczęśliwy. Już wiedziała, co napisze w liście do Elizy.

„Obawiam się, że złamałam Paulowi serce. Chyba zbyt serio potraktował ten błahy wakacyjny romans. Cóż jednak miałam zrobić? Przecież takie rzeczy muszą się kiedyś skończyć. W żadnym wypadku nie mogę przez niego zmarnować sobie życia. Ostatecznie jest mężczyzną i jakoś sobie z tym poradzi”.

Eliza ujrzy w wyobraźni przystojnego blondyna, amerykańskiego playboya, który z markotną miną wsiada do swojego packarda i z rozpaczy odjeżdża w siną dal.

Tym razem fotograf nie zostawił markizy, kiedy skończyli. Siedział w paprociach na krawędzi urwiska, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w morze.

- Zdecydowałam o naszej przyszłości - powiedziała spokojnie.

Czuła, że w powietrzu wisi dramat. Czyżby Paul chciał się zabić? Jakie to straszne. Oczywiście zaczeka, aż ona odjedzie i wróci do domu. Pewnie nigdy by się o tym nie dowiedziała.

- Odezwij się - rzekła.

- Zakład poprowadzi siostra. Wszystko jej przekazę. Jest bardzo zdolna, więc da sobie radę. Jeśli chodzi o mnie, będę za tobą jeździł. Wszędzie. Do Paryża czy na wieś. Kiedykolwiek będziesz chciała się ze mną spotkać, zawsze znajdziesz mnie pod ręką.

Markiza przełknęła ślinę. Serce w niej zamarło.

- W żadnym wypadku nie możesz tego zrobić. Z czego się utrzymasz?

- Nie dbam o dumę. Wiem, że w dobroci swojego serca nie pozwolisz mi umrzeć z głodu, a mam bardzo skromne potrzeby. Wiem również, że bez ciebie nie potrafię żyć, więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko za tobą jeździć, zawsze i wszędzie. Wynajmę pokój blisko twojego domu w Paryżu. Na wsi też. Znajdziemy jakiś sposób, żeby być razem. Dla takiej miłości jak ta nie istnieją żadne przeszkody.

Mówił ze swoją zwykłą pokorą, ale z jego słów przebijała nieoczekiwana siła. Markiza wiedziała, że on nie udaje, naprawdę tak myśli, zrezygnuje z zakładu i pojedzie za nią aż do zamku na wsi.

- Jesteś szalony! - powiedziała gwałtownie i usiadła, nie zważając na swój wygląd i potargane włosy. - Kiedy stąd wyjadę, już nie będę miała swobody. Ze względu na zbyt duże niebezpieczeństwo wykrycia naszego związku w żaden sposób nie uda mi się z tobą spotykać. Czy zdajesz sobie sprawę z mojej sytuacji i co by to dla mnie oznaczało?

Skinął głową. Minę miał smutną, ale zdeterminowaną.

- Zastanawiałem się nad tym, lecz przecież wiesz, że jestem bardzo dyskretny. Wpadłem na pomysł, że może by się zatrudnić u was jako lokaj. Mnie by taka poniżająca praca nie przeszkadzała. Moja duma nie ucierpi, a my dalej moglibyśmy się spotykać mniej więcej jak dotychczas. Twój mąż, pan markiz, pewnie jest człowiekiem bardzo zajęтым i często nie ma go w domu, a po południu twoje dzieci niewątpliwie chodzą na spacer z tą angielską guwernantką. Jak widzisz, prosta sprawa, jeśli tylko zdobędziemy się na odwagę.

Markiza była zbyt zaszokowana, aby odpowiedzieć. Nie potrafiła sobie wyobrazić straszniejszej rzeczy ani większego nieszczęścia niż przyjęcie do swojego domu fotografa jako lokaja. Pominąwszy jego kalectwo - zadrżała na myśl o tym, jak by kuśtykał wokół stołu w ogromnej sali jadalnej - cóż za katusze by przeżywała wiedząc, że on stale jest gdzieś blisko, że po południu tylko czeka, by wejść na górę, nieśmiało zapukać do jej sypialni i rozmawiać z nią tłumionym szeptem. Upadająca byłaby obecność tej kreatury - tak, kreatury, bo naprawdę nie umiała nazwać go inaczej. Nic tylko by stale czekał i ciągle miał nadzieję.

- Obawiam się, że to, co proponujesz, jest całkowicie wykluczone - powiedziała zdecydowanym tonem. - Zarówno jeśli chodzi o pracę u mnie, jak i spotkania ze mną, kiedy wrócę do domu. Chyba masz dość zdrowego rozsądku, żeby to zrozumieć. Te popołudnia tutaj były... były przyjemne, ale moje wakacje wkrótce się skończą. Za kilka dni mój mąż przyjedzie po mnie i dzieci, co zamknie sprawę.

Chcąc podkreślić nieodwołalność swojej decyzji, wstała, otrzepała zmiętą sukienkę, uczesała się, przypudrowała nos i sięgnęła do torebki po portfelik.

Wyjęła z niego kilkadziesiąt tysięcy franków w banknotach.

- To na wyposażenie zakładu. Kup też coś swojej siostrze. I pamiętaj, że zawsze będę cię czule wspominać.

Skonsternowana zobaczyła, że twarz fotografa pokryła śmiertelna błądź. Gwałtownie zaciskając usta, zerwał się na równe nogi.

- Nie, nie! Nigdy tego nie przyjmę. Jesteś okrutna. To niegodziwość proponować mi pieniądze.

Nagle załkał i ukrył twarz w dłoniach. Płacz wstrząsał jego ramionami.

Nie mając pewności, czy zostać, czy odejść, markiza patrzyła nań bezradnie. Szlochał tak rozpaczliwie, że obawiała się hysterii. Nie wiedziała, co się może zdarzyć. Współczuła mu, nawet bardzo, ale jeszcze bardziej sobie, bo przy rozstaniu zrobił z siebie takie pośmiewisko. Płaczący mężczyzna jest żałosny. Odniosła wrażenie, że również polanka wygląda żałosnie i niechlujnie, choć niegdyś zdawała się taka zaciszna, przytulna. Koszula fotografa, wisząca na liściu paproci, przypominała rozłożoną bieliznę, by wyschła na słońcu. Nieopodal leżał krawat i tani filcowy kapelusz. Do pełnego obrazu brakowało jedynie walających się skórek pomarańczy i zmiętego sreberka z pudełka po czekoladkach.

- Uspokój się! — powiedziała z nagłą furją. - Na miłość boską, weź się w garść!

Łkanie ucichło. Fotograf odsunął dłonie od zapłakanej twarzy. Rozdygotany, tępo patrzył na markizę oczami pełnymi bólu.

- Pomyliłem się co do ciebie - rzekł. - Dopiero teraz naprawdę cię poznałem. Jesteś złą kobietą, która rujnuje życie niewinnym mężczyznom, takim jak ja. Wszystko powiem twojemu mężowi.

Milczała. Była wściekła i wytracona z równowagi.

- Tak, właśnie to trzeba zrobić - mówił dalej fotograf, wciąż jeszcze z trudem łapiąc powietrze. - Jak tylko twój mąż przyjedzie cię zabrać, wszystko mu opowiem. Pokażę mu zdjęcia, które zrobiłem tu, na tym cyplu. Udowodnię, że go oszukujesz, że jesteś fałszywa i zła. On mi uwierzy. Nic nie poradzi, musi uwierzyć. Nieważne, co mi zrobi. Nie mogę bardziej cierpieć niż teraz. Ale złamię ci życie. Przysięgam. Dowie się twój mąż, angielska guwernantka, dyrektor hotelu. Wszystkim powiem, jak tutaj spędzałaś popołudnia.

Podniósł marynarkę i krawat, zawiesił aparat na ramieniu. Markiza wpadła w panikę, strach chwycił ją za gardło.

- Posłuchaj, może jednak dojdziemy do porozumienia i razem coś wymyślimy... - zaczęła.

On jednak ją zignorował. Z bladą twarzą i zawziętą miną schylił się przy krawędzi urwiska, by podnieść laskę. Markiza, wiedzona strasz-

nym impulsem, któremu nie mogła się oprzeć, wyciągnęła ręce i z całej siły pchnęła fotografa. Nawet nie krzyknął. Przewrócił się i znikł.

Markiza osunęła się na kolana. Klęcząc bez ruchu, czekała. Na twarzy, szyi, całym ciele czuła spływający pot. Również dłonie miała mokre. Po pewnym czasie, kiedy się trochę ochłodziło, chusteczką wytarła sobie czoło, twarz i ręce.

Nagle przeszedł ją zimny dreszcz. Wstała. Wbrew obawom, nogi się pod nią nie ugięły. Popatrzyła dokoła nad paprociami, lecz nikogo nie dostrzegła. Jak zawsze, na cyplu była sama. Minęło pięć minut i wtedy się zmusiła, by podejść do krawędzi urwiska i spojrzeć w dół. Zobaczyła, że jest przypyływ. Morze łagodnie wznosiło się i opadało, na przemian zalewając i odsłaniając nabrzeżne skały. Nie zauważyła śladu ciała ani na pionowej ścianie urwiska, ani na powierzchni wody. Zatem fotograf musiał natychmiast utonąć.

Markiza odwróciła się i pozbierała swoje rzeczy. Próbowała podnieść zgniecione paprocie, aby usunąć ślady ludzkiej bytności, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ zbyt często korzystali z kryjówek. Przypuszczalnie to i tak bez znaczenia. Pewnie uznano by za rzecz normalną, że odpoczywali tu ludzie, którzy wchodzili na urwisko.

Nagle zaczęły jej drżeć kolana, więc usiadła. Odczekawszy kilka minut, popatrzyła na zegarek. Wiedziała, że zapamiętanie czasu może okazać się ważne. Jeśli ją zapytają, odpowie: „Owszem, byłam na cyplu około wpół do czwartej, ale niczego nie słyszałam”. Nie skłamię, bo to prawda.

Z ulgą sobie przypomniała, że tego dnia włożyła do torby lusterko. Pełna obaw zerknęła na swoje odbicie. Twarz miała białą jak kreda i pokrytą dziwnymi plamami. Dokładnie ją przypudrowała, ale prawie bez rezultatu. Guwernantka na pewno zauważy, że coś jest nie w porządku. Markiza nałożyła na policzki trochę różu, lecz tak się rzucił w oczy jak czerwone kółka na twarzy klauna.

„Mogę zrobić tylko jedno”, pomyślała. „Pójdę na plażę, wejdę do kabiny, rozbiore się, włożę kostium i się wykąpię. Potem, jeśli do hotelu wrócę z mokrymi włosami i mokrą twarzą, wyda się to całkiem naturalne, skoro pływałam, co także będzie prawdą”.

Ruszyła w powrotną drogę, ale nogi tak się pod nią ugiwały, jakby wiele dni spędziła w łóżku, a kiedy w końcu dotarła do plaży, wręcz się słaniała i omal nie upadła. Nade wszystko pragnęła się ukryć w swoim pokoju hotelowym, zasłonić okna, a nawet je zamknąć, i leżeć tam w mroku. Tymczasem musiała zrobić to, co postanowiła.

Przebrała się w kabinie. Już kilka osób leżało na piasku, czytając albo drzemiąc – kończyła się pora sjeisty. Markiza zbliżyła się do wody, zsunęła pantofle na sznurkowych podeszwach i włożyła czepek. Pływała w tę i z powrotem w spokojnym, ciepłym morzu, zastanawiając się, ile osobą zauważyło i obserwowało, by później mogły powiedzieć: „Co, nie pamiętacie, że widzieliśmy jakąś kobietę, która po południu zeszła z cypla?”

Zrobiło jej się zimno, lecz dalej pływała w tę i we w tę jak automat, dopóki nie zobaczyła małego chłopca, który bawiąc się z psem, pokazał mu coś przy brzegu morza. Pies pobiegł tam i zaczął obszcze kiwać jakiś przedmiot, prawdopodobnie kłodę, ale markiza ze strachu poczuła się słabo. Chwiejnym krokiem wróciła do kabiny i położyła się na podłodze, ukrywając twarz w dłoniach. Bała się, że gdyby nie wyszła z wody, mogłaby dotknąć nogą fotografa, kiedy jego ciało wypłynęłoby na powierzchnię.

Za pięć dni miał przyjechać markiz, by swoim samochodem odwieźć żonę, dzieci i guwernantkę do domu. Połączywszy się z zamkiem, markiza spytała męża, czy nie mógłby ich zabrać wcześniej. Powiedziała, że męczy ją hotelowe życie, choć pogoda w dalszym ciągu jest dobra. Skarżyła się na tłumy ludzi, hałas i coraz gorsze jedzenie. Oznajmiła, że ma już wszystkiego dość, tęskni za domem i pragnie być u siebie. Przy okazji napomknęła, że pewnie ogrody zamkowe wyglądają pięknie.

Markiz bardzo żałował, że jej się znudziło, ale dodał, że mogłaby jeszcze wytrzymać, bo to tylko trzy dni, a on, niestety, ma inne sprawy do załatwienia i nie zdoła przyjechać wcześniej. W każdym razie musi przedtem wpaść do Paryża na ważne spotkanie w interesach. Obiecał, że dotrze na miejsce w czwartek rano i zaraz po obiedzie mogą wyruszyć.

- Miałem nadzieję, że będziesz chciała zostać na weekend, tak abym i ja mógł sobie trochę popływać. Chyba pokoje są zarezerwowane do poniedziałku, prawda?

Odparła, że nie, bo zawiadomiła dyrektora, że od czwartku nie będzie ich potrzebowała i on już je wynajął komuś innemu. Przekonywała męża, jaki okropny tłok panuje w hotelu i jak wszystko straciło cały urok, a choć pewnie jemu to w ogóle by nie przeszkadzało, w weekendy jest nieznośnie. Bardzo go prosiła, żeby we czwartek postarał się być punktualny, tak aby mogli wyjechać tuż po wcześniejszym obiedzie.



Odłożywszy słuchawkę, markiza wyszła na balkon i położyła się na szezlongu. Wzięła jakąś książkę i udawała, że czyta, lecz w rzeczywistości cały czas nasłuchiwała, oczekując kroków na korytarzu, głosów w wejściu do hotelu, a wreszcie dzwonka telefonu, gdy połączy się z nią dyrektor i bardzo przepaszając spyta, czy nie zajrzałyby do jego gabinetu, bo przyszli policjanci, którzy sądzą, że mogłyby im pomóc w pewnej delikatnej sprawie... Telefon nie zadzwonił. Nie rozległy się żadne głosy ani kroki. Życie toczyło się normalnie. Godziny dłużyły się przez cały dzień, który jakby nie miał końca. Obiad na tarasie, zabiegani, nadskakujący kelnerzy, przy stolikach pełno ludzi, nowi goście zajmujący miejsca poprzednich, rozmawiające dziewczynki, którym pani Clay przypominała o manierach, a markiza przez cały czas czekała nasłuchując. Po obiedzie udała się do swojego pokoju i podczas gdy dzieci odpoczywały, leżała na szezlongu na balkonie. Później był podwieczorek na tarasie, a kiedy się skończył, dziewczynki pobiegły na plażę, by drugi raz tego dnia wykapać się w morzu, lecz markiza z nimi nie poszła. Oznajmiła guwernantce, że nie ma ochoty pływać, bo jest trochę przeziębiona, i dalej siedziała na balkonie.

Wieczorem próbowała zasnąć. Ledwie zamknęła oczy, zdawało się jej, że znów spycha fotografa z urwiska, i doznała tego samego uczucia, co wtedy. Wszystko stało się tak szybko. Wystarczyła jedna chwila i znikł. A potem nic. Nawet nie krzyknął.

W ciągu dnia spoglądała na cypel i wypatrywała sylwetek ludzi, wyteżając wzrok. Czy już jest tam policja? Jednakże na cyplu pod bezlitosnym słońcem nikt nie chodził wśród paproci.

Pani Clay dwukrotnie proponowała, by przed południem wybrać się do miasteczka na zakupy, ale za każdym razem markiza znajdowała jakąś wymówkę.

- Tam zawsze tak tłoczno i gorąco. Dziewczynki będą się źle czuły. Lepiej niech zostaną w ogrodzie. Na trawniku za hotelem jest cień i spokój.

Samajednak nie wychodziła z hotelu. Myśl o plaży czy o spacerze przyprawiała ją o mdłości i ból żołądka.

- Poczuję się lepiej, gdy tylko sobie poradzę z tym męczącym przeziębieniem - przekonywała guwernantkę.

Godzinami leżała na balkonie, odwracając strony czasopism, które czytała już kilkanaście razy.

Trzeciego dnia, tuż przed obiadem, na balkon wbiegły dziewczynki, wymachując małymi wiatraczkami.

- Popatrz, *maman!* - zawołała Helena. - Mój jest czerwony, a Celestyny niebieski. Jak tylko zjemy podwieczorek, wsadzimy je do naszych zamków z piasku.

- Skąd to macie?

- Z rynku. Rano nie bawiłyśmy się w ogrodzie, bo pani Clay wzięła nas do miasta. Chciała odebrać zdjęcia, które na dziś miały być gotowe.

Markiza czuła, że drętwieje. Siedziała jednak bardzo spokojnie.

- No, zmykajcie i przygotujcie się do obiadu.

Słyszała, jak w łazience dziewczynki rozmawiają z panią Clay, która po kilku chwilach weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Markiza z przymusem na nią spojrzała i zobaczyła, że jej końska, dość głupawa twarz jest ponura i zatroskana.

- Stało się coś strasznego - powiedziała guwernantka niemal szeptem. - Nie chcę mówić o tym przy dzieciach. Jestem pewna, że pani bardzo się zmartwi. Chodzi o biednego *monsieur* Paula.

- *Monsieur* Paula?

Markiza miała spokojny głos, lecz w jego tonie przebijało stosowne zainteresowanie.

- Poszłam odebrać moje zdjęcia, ale zakład był nieczynny - oznajmiła pani Clay. - Drzwi zamknięte na klucz, markizy podniesione. Pomyślałam, że to dziwne, więc zajrzałam do apteki obok, żeby spytać, czy przypadkiem nie wiedzą, kiedy zakład będzie otwarty. Tam mi powiedzieli, że *mademoiselle* Paul jest załamana i znajduje się pod opieką krewnych. Kiedy spytałam co się stało, poinformowali mnie, że doszło do wypadku, że biedny *monsieur* Paul utonął i że jacyś rybacy znaleźli jego ciało na brzegu, pięć kilometrów stąd.

W czasie swojej relacji guwernantka coraz bardziej bladła. Niewątpliwie była głęboko wstrząśnięta. Słyszając jej westchnienie, markiza nabrała odwagi.

- To rzeczywiście straszne - rzekła. - Czy wiadomo, kiedy to się stało?

- Nie pytałam o szczegóły ze względu na dzieci, ale zdaje się, że ciało znaleziono wczoraj. Mówili, że okropnie pokaleczone. Pewnie uderzył w skały, zanim wpadł do morza. To jest tak przerażające, że nawet nie mogę o tym myśleć. I ta jego biedna siostra, cóż ona bez niego pocznie?

W tym momencie markiza zrobiła ostrzegawczą minę i uniosła dłoń w geście nakazującym milczenie. Do pokoju wchodziły córki.

Wszystkie razem zeszły na obiad. Pierwszy raz od trzech dni markiza jadła z apetytem. Nie umiałyby powiedzieć dlaczego. Zastanawiała się, czy to możliwe, że powodem jest ulga, jakiej doznała, gdy częściowo pozbyła się niepewności związanej ze swoją tajemnicą. Już wiadomo: fotografnie żyje, ciało odnaleziono. Po obiedzie kazała pani Clay zapytać dyrektora hotelu, czy coś wie o tym smutnym wypadku, a także mu powiedzieć, że markiza jest przejęta i zmartwiona. Podczas gdy guwernantka załatwiała tę sprawę, markiza z dziećmi weszła na górę.

Wkrótce zadzwonił telefon. Właśnie tego dźwięku tak się wcześniej obawiała. Z bijącym sercem podniosła słuchawkę.

To był dyrektor. Powiedział, że właśnie rozmawiał z panią Clay i że pani markiza jest bardzo łaskawa, skoro się zainteresowała tym nieszczęśliwym wypadkiem, jaki spotkał *monsieur* Paula. Chętnie by poinformował o nim już wczoraj, gdy znaleziono ciało, lecz nie chciał niepokoić gości. Wiadomość o utonięciu w nadmorskim uzdrowisku zawsze działa deprymująco i ludzie czują się niepewnie. Tak, oczywiście, natychmiast wezwano policję. Przypuszcza się, że denat spadł gdzieś z urwiska. Podobno bardzo lubił fotografować morskie widoki. Oczywiście, wskutek swojego kalectwa mógł się łatwo poślizgnąć. Jego siostra często go prosiła, żeby uważał. To bardzo smutne. Taki porządny człowiek. Wszyscy go lubili. Nie miał żadnych wrogów. Na swój sposób był także artystą. Czy pani markizie podobały się portrety, jakie zrobił jej i dzieciom? Usłyszawszy odpowiedź, dyrektor wyraził wielkie zadowolenie. Oznajmił, że zarówno o tym, jak i o zainteresowaniu okazanym przez panią markizę, poinformuje siostrę fotografa. Ależ z całą pewnością będzie bardzo wdzięczna za kwiaty i wyrazy współczucia. Biedaczka, jest całkiem załamana. Nie, jeszcze nie ustalono daty pogrzebu...

Skończywszy rozmowę, markiza wezwała guwernantkę. Kazała jej wziąć taksówkę i pojechać do miasta leżącego w głębi łądu, jednaście kilometrów od brzegu morza. Powiedziała, że tam są większe sklepy i, jeśli dobrze pamięta, świetna kwaciarnia, gdzie pani Clay, nie szczędząc pieniędzy, ma kupić bukiet, najlepiej lilii, przypiąć do nich list, który zaraz otrzyma, i po powrocie przekazać wszystko dyrektorowi hotelu, a on zadba o to, by kwiaty dotarły do *mademoiselle* Paul.

Markiza skreśliła kilka słów: „Z wyrazami najgłębszego współczucia z powodu tak wielkiej straty”. Następnie wręczyła list i pieniądze guwernantce, która niezwłocznie poszła szukać taksówki.

Później markiza wzięła dzieci na plażę.

- Już jesteś zdrowa, *maman*? - zapytała Celestyna.

- Tak, *cherie*\*, teraz *maman* może znowu się kąpać.

Weszła z dziewczynkami do ciepłej wody i pluskała się razem z nimi.

Jutro przyjedzie Edouard i zabierze je swoim samochodem. Z każdym kilometrem białej drogi, pokrytej pyłem, markiza będzie się oddalała od hotelu. Już więcej go nie zobaczy, tak samo jak przylądka i miasteczka, a te wakacje zatrać się w jej pamięci niczym coś, co nigdy nie istniało.

„Kiedy umrę, zostanę ukarana”, pomyślała, patrząc na morze. „Nie oszukuję się. Jestem winna morderstwa. Po śmierci Bóg mnie osądzi, ale do tego czasu pozostanę dobrą żoną dla Edouarda, a dla Heleny i Celestyny dobrą matką. Od dziś spróbuję być uczciwą kobietą. To, co zrobiłam, postaram się odpokutować okazywaniem większej życzliwości wszystkim ludziom: krewnym, znajomym, służącym”.

Pierwszy raz od czterech dni dobrze spała.

Mąż przyjechał rano, kiedy jeszcze jadła śniadanie. Zobaczywszy go, była tak rozradowana, że zerwała się z łóżka i zarzuciła mu ręce na szyję. Markiza wrzuciło to przyjęcie.

- Chyba mimo wszystko moja pani za mną tęskniła - rzekł.

- Tęskniła? No pewnie! Właśnie dlatego dzwoniłam. Bardzo pragnęłam, byś przyjechał.

- I jesteś całkowicie zdecydowana wyruszyć dziś po obiedzie?

- Ależ oczywiście... Dłużej bym tu nie wytrzymała. Wszystko spakowane. Pozostało tylko włożyć do walizek parę drobiazgów.

Markiz siedział na balkonie, pijąc kawę i śmiejąc się z córkami. W tym czasie jego żona się ubrała, a potem zaczęła gorączkowo sprzątać swoje rzeczy z toaletki, kominka i nocnego stolika. W końcu pokój, który przez cały miesiąc należał do niej, znowu wyglądał pusto i bezosobowo. Wkrótce zjawi się *femme de chambre* ze świeżą pościelą, by wszystko przygotować dla nowych gości, a wtedy jej, markizy, już tu nie będzie.

- Słuchaj, Edouardzie, właściwie dlaczego musimy zostać tu na obiad? Nie byłoby przyjemniej zjeść gdzieś w drodze? Obiad w hotelu, w którym już się uregulowało rachunek, zawsze działa trochę przygnębiająco. Daliśmy napiwki, wszystko załatwione... Nie znoszę bezsensownego czekania.

\* kochanie (fr.)

- Jak sobie życzysz.

Po takim powitaniu był gotów zaspokoić każdy kaprys żony. „Biedactwo, bez mnie rzeczywiście czuła się samotna. Trzeba jej to wynagrodzić”.

Kiedy markiza malowała usta przed lustrem w łazience, zadzwonił telefon.

- Odbierzesz? - poprosiła męża. - To pewnie portier w sprawie bagaży.

Markiz chwycił słuchawkę i po chwili zawołał do żony:

- Do ciebie, najdroższa! Dzwoni jakaś *mademoiselle* Paul i pyta, czy nie mogłaby się z tobą spotkać. Przyszła, żeby ci podziękować za kwiaty, nim wyjedziesz. Czeka na dole.

Markiza nie przyszła natychmiast, a kiedy w końcu zjawiła się w pokoju, Edouard spojrzął na nią i odniósł wrażenie, że szminka nie poprawiła jej wyglądu. Żona wydała mu się mizerna i starsza. „Dziwne. Pewnie zmieniła kolor, ale ten jej nie pasuje”.

- No więc, co mam odpowiedzieć? Chyba teraz nie musisz się nią zajmować, kimkolwiek jest. Może chcesz, żebym zszedł i ją spławił?

Markiza jakby się zmieszała.

- Nie, nie - odparła niepewnym głosem. - Sądzę, że będzie lepiej, jeśli się z nią zobaczę. Widzisz, chodzi o to, że spotkała ją ogromna tragedia. Ta kobieta i jej brat prowadzili w miasteczku niewielki zakład. Fotografowałam się u nich razem z dziećmi. Pewnego dnia stała się straszna rzecz: jej brat utonął. Pomyślałam więc, że wypada posłać kwiaty.

- Jakże ładnie z twojej strony! To bardzo uprzejmy gest. Czy jednak musisz zwracać sobie nią głowę akurat w tej chwili?

- Powiedz jej... powiedz, że właśnie wyjeżdżamy.

Edouard wrócił do telefonu, lecz po krótkiej rozmowie zasłonił dłonią mikrofon i szepnął do żony:

- Ona bardzo nalega. Mówi, że ma dla ciebie jakieś zdjęcia, które chce ci przekazać osobiście.

Ogarnęła ją panika. „Zdjęcia? Co za zdjęcia?”

- Przecież już wszystko zapłacone - odparła również szeptem. - Nie wiem, o co jej chodzi.

Mąż wzruszył ramionami.

- Więc co mam jej powiedzieć? Zdaje się, że płacze.

Markiza wróciła do łazienki i pudrowała nos.

- Powiedz, żeby weszła na górę, ale dodaj, że wyjeżdżamy za pięć

minut. Tymczasem weź dziewczynki, a także panią Clay, i zaprowadź je do samochodu. Chciałabym rozmawiać z tą kobietą w cztery oczy.

Kiedy mąż wyszedł, rozejrzała się po pokoju. Zostały w nim tylko jej rękawiczki i torebka. Teraz wystarczy jedynie zamknąć drzwi, zjechać windą, pożegnać się z dyrektorem i uwolnić się od tej sprawy.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Markiza stała przy wyjściu na balkon, trzymając przed sobą splecione dłonie.

- Proszę! - powiedziała.

Weszła *mademoiselle* Paul ze śladami łez na twarzy. Była ubrana w staromodną żałobną sukienkę, niemal sięgającą podłogi. Zawahała się, a potem ruszyła naprzód, żałośnie kuśtykając, jakby każdy krok sprawiał jej ogromny ból.

- Pani markizo... - zaczęła, ale głos uwiązł jej w gardle i się rozpląkała.

- Proszę się uspokoić - łagodnie powiedziała markiza. - Bardzo pani współczuję z powodu tego, co się stało.

*Mademoiselle* Paul wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

- Tylko jego miałam na tym świecie - rzekła. - Był dla mnie taki dobry. I co ja teraz pocznę? Z czego będę żyła?

- Ma pani jakichś krewnych?

- To bardzo biedni ludzie. Nie mogę liczyć na ich pomoc, a sama, bez brata, nie zdołam poprowadzić zakładu. Brak mi sił. Zawsze miałam kłopoty ze zdrowiem.

Sięgnąwszy do torebki, markiza wyjęła dwadzieścia tysięcy franków.

- Wiem, że to niewiele, ale chyba się przyda. Niestety, mój mąż nie ma zbyt licznych kontaktów w tym rejonie, jednakże go poproszę i być może uda mu się coś załatwić.

*Mademoiselle* Paul przyjęła banknot. Dziwne, że nie podziękowała.

- To mi wystarczy na utrzymanie do końca miesiąca. Pomoże też opłacić pogrzeb. - Otworzyła torebkę. Wyjęła z niej trzy fotografie. - W zakładzie mam jeszcze więcej, są bardzo podobne. Wydawało mi się, że tak nagle decydując się na wyjazd, pani całkiem o nich zapomniała. Znalazłam je wśród innych zdjęć i negatywów mojego brata. W piwnicy, gdzie je wywoływał.

Podawała odbitki markizie.

Zobaczywszy je, markiza poczuła lodowaty chłód. Owszem, zapomniała, albo raczej nie wiedziała o ich istnieniu. Przedstawiała

trzy ujęcia w paprociach. Zobaczyła siebie, jak beztrzesko leży z pół-przymkniętymi oczami i głową opartą na zwiniętej marynarce fotografa. Słyszała wtedy trzaski migawki, które dodawały pikanterii nastrojowi tamtego popołudnia. Paul pokazywał jej rozmaite zdjęcia, ale tych nie.

Wzięła je i włożyła do torebki.

- Mówi pani, że jest ich więcej? - zapytała obojętnym tonem.

- Tak, pani markizo.

Zmusiła się, by spojrzeć tej kobiecie w oczy, podpuchnięte od łez. Dostrzegła w nich niedwuznaczny błysk.

- Czego pani ode mnie chce?

Usłyszawszy to pytanie, *mademoiselle* Paul zaczęła się rozglądać. Przeciągnęła wzrokiem po papierowych serwetkach, rozsypanych na podłodze, pełnym koszu do śmieci, nie pościelonym łóżku.

- Straciłam brata, mojego żywiciela, sens mego życia - odezwała się wreszcie. - Pani markiza miała przyjemne wakacje i teraz wraca do domu. Rozumiem, że pani nie pragnie, by te zdjęcia zobaczył mąż czy rodzina.

- Istotnie - odparła markiza. - Sama też wolałabym ich nie widzieć.

- W takim razie dwadzieścia tysięcy franków wydaje się bardzo skromną rekompensatą wobec tak miłych wakacji.

Markiza otworzyła torebkę. Znalazła tam nieco ponad dwa tysiące franków.

- Więcej nie mam. Proszę, niech pani weźmie i to.

*Mademoiselle* Paul znowu wytarła nos.

- Myślę, że dla nas obu byłoby lepiej zawrzeć bardziej stały układ. Teraz, skoro mój biedny brat nie żyje, czeka mnie niepewna przyszłość. Może nawet wolałabym się stąd wyprowadzić, bo wszystko tu budzi takie smutne wspomnienia. Zachodzę w głowę, jak zginął mój brat. W przededniu swojego zniknięcia wrócił do domu bardzo przybity. Domyśliłam się, że coś go dręczy, ale nie pytałam co. Może umówił się z przyjaciółką, a ona się nie zjawiła? Nazajutrz znowu wyszedł i już nie wrócił. Zawiadomiłam policję. Po trzech dniach znaleziono jego ciało. Nie mówiłam policjantom, że mógł mieć powody do samobójstwa, i uznałam to, tak jak oni, za wypadek. Mój brat był jednak człowiekiem bardzo wrażliwym, pani markizo, i w chwilach rozpaczliwym do wszystkiego. Jeśli myślenie o tym zacznie mi doskwierać, mogłabym pójść na policję i zasugerować, że ze sobą skończył z po-

wodu nieszczęśliwej miłości. Mogłabym nawet pozwolić na przeszkanie jego rzeczy, a wtedy znalazłoby się te zdjęcia.

Markiza z przerażeniem usłyszała zbliżające się kroki męża.

- Idziesz, najdroższa?! - zawołał, wpadając do pokoju. - Wszystkie bagaże są w samochodzie. Dziewczynki rozrabiają, bo chcą już odjeżdżać.

Ukłonił się *mademoiselle* Paul. Odpowiedziała mu dygnięciem.

- Dam pani oba moje adresy, w Paryżu i na wsi. - Markiza gorączkowo szukała w torebce wizytówek. - Za parę tygodni oczekuję od pani wiadomości.

- Może nawet wcześniej, pani markizo, jeśli stąd wyjadę i znajdę się gdzie blisko. Mam znajomych niedaleko pani zamku. Również w Paryżu. Zawsze chciałam zobaczyć to miasto.

Markiza odwróciła się do męża i posłała mu niezwykle promienny uśmiech.

- Właśnie powiedziałam *mademoiselle* Paul, że jeśli kiedykolwiek będzie czegoś potrzebowała, wystarczy mnie zawiadomić, a ja w miarę możliwości spróbuję jej pomóc.

- Oczywiście! Słyszałem o tej tragedii i bardzo pani współczuję. Dyrektor wszystko mi powiedział.

*Mademoiselle* Paul znowu dygnęła, a potem przeniosła wzrok na markizę.

- Brat był całym moim światem, panie markizie. Pani markiza wie, co dla mnie znaczył. Dobrze mieć świadomość, że mogę do niej pisać i otrzymam odpowiedź, bo wtedy przestanę się czuć samotna i opuszczona. Niech mi będzie wolno życzyć szczęśliwej drogi, pani markizo, i miłych wspomnień z wakacji, a przede wszystkim żadnych przykrości.

Jeszcze raz dygnawszy, *mademoiselle* Paul się odwróciła i utykając wyszła z pokoju.

- Biedna kobieta - powiedział markiz. - W dodatku kaleka. Z tego, co słyszałem od dyrektora hotelu, podobno jej brat też był kulawy.

- Tak...

Zamknęła torebkę, sięgnęła po rękawiczki i ciemne okulary.

- Dziwne, ale to często rodzinne - rzekł markiz, kiedy szli korytarem. Zatrzymał się i nacisnął guzik, by przywołać windę. - Nigdy nie spotkałaś Richarda du Boulay, mojego dawnego znajomego, prawda? On też utykał, chyba tak samo jak ten nieszczęsny prowincjonalny fotograf, ale mimo to był czarujący i zakochała się w nim zupełnie normalna dziewczyna. Wzięli ślub, a gdy urodził im się syn, okazało się,



że też ma jedną nogę koślawą, jak jego ojciec. Nic się na to nie poradzi. To obciążenie dziedziczne, przekazywane w genach.

Wsiadli do windy.

- Na pewno nie chcesz zmienić zdania i zostać tu na obiad? Coś błado mi wyglądasz, a wiesz, że przed nami długa droga.

- Wolałabym wyjechać.

W hallu już wszyscy na nią czekali, żeby się pożegnać - dyrektor, recepcjonistka, portier, *maitre d'hôtel*.

- Prosimy znowu nas odwiedzić, pani markizo. Tutaj zawsze będzie pani mile witana. Obsługiwanie takiego gościa to największa przyjemność. Po pani wyjeździe hotel już nie będzie ten sam.

- Do widzenia... Do widzenia...

Wsiadła do samochodu na miejsce obok męża. Odjechali. Z tyłu pozostał cypel, gorąca plaża i morze, a przed markizą ciągnęła się długa, prosta droga do domu i bezpieczeństwa. Bezpieczeństwa...?

# Pocałuj mnie jeszcze raz

Po demobilizacji, nim się jakoś urządziłem, musiałem trochę się rozjeździć i w końcu znalazłem pracę w garażu przy drodze na Hampstead, u stóp wzgórza Haverstock, niedaleko Chalk Farm. Praca ta bardzo mi odpowiadała, bo zawsze lubiłem dłubać w silnikach i łatwo radziłem sobie ze wszystkim, co miało związek z mechaniką, zwłaszcza że w REME\* właśnie tym się zajmowałem i przeszedłem stosowne szkolenie.

Najlepiej się czuję, kiedy w swoim wytłuszczonym kombinezonie leżę na plecach pod samochodem, odkręcam jakąś starą śrubę i wdychając woń smarów słyszę, jak inni mechanicy zapalają silniki, stukają narzędziami i pogwizdują. Ten zapach ani brud nigdy mi nie przeszkadzał. Gdy jako mały chłopak strasznie się utyłąłem, bawiąc się puszką po oleju, moja staruszka mama mówiła: „Nic mu nie będzie, to czysty brud”. Tak samo jest z silnikami.

Szef garażu to porządny facet, wesoły i niezbyt wymagający. Od razu się zorientował, że lubię tę robotę. Sam nie należał do najlepszych mechaników i reperacje dawał mnie, a ja byłem z tego bardzo zadowolony.

Nie mieszkalem z matką. Jej dom znajdował się za daleko, w Shepperton, i nie widziałem sensu w marnowaniu połowy życia na dojazdy do pracy. Lubię być blisko, pod ręką, więc wynająłem sobie pokój przy rodzinie, u niejakich Thompsonów, tylko dziesięć minut drogi od garażu. Pan Thompson zajmował się szewstwem, zdaje się, że naprawiał

\* Royal Electrical and Mechanical Engineers, nazwa angielskich oddziałów inżynierjno-mechanicznych (przyp. tłum.).

buty, a jego żona gotowała i prowadziła dom nad warsztatem. Jadałem u nich śniadania i kolacje - kolacje zawsze na gorąco. Nie mieli więcej lokatorów i traktowali mnie jak członka rodziny.

Jestem zwolennikiem ustalonego porządku dnia. Lubię wykonać swoją robotę i po skończonym dniu pracy wrócić do domu, usiąść z gazetą, zapalić, posłuchać jakiejś muzyki z radia, rozrywkowej albo czegoś w tym rodzaju, a potem wcześniej iść spać. Nigdy zbytnio nie interesowałem się dziewczynami, nawet w wojsku, a służyłem na Bliskim Wschodzie, w Port Saidzie.

Byłem zadowolony, że mieszkam u Thompsonów i że codziennie robię mniej więcej to samo, aż do wieczora, kiedy to się stało. Od tego czasu wszystko się zmieniło i pewnie już nigdy nie będzie jak przedtem. Chociaż właściwie nie wiem...

Thompsonowie pojechali do Highgate odwiedzić swoją zamezną córkę. Pytali, czybym się z nimi nie wybrał, ale wolałem się nie wprasać. Po robocie, zamiast siedzieć w domu, poszedłem do kina i na plakacie zobaczyłem kowboja wbijającego nóż w brzuch Indianina. Do oglądania westernów nie trzeba mnie namawiać, więc wydałem szylinga i dwa pensy. W kinie lubię siedzieć z tyłu i opierać głowę o ścianę, więc przed wejściem na salę powiedziałem bileterce:

- Ostatni rząd, proszę.

No i wtedy jej się przyjrzałem. W niektórych kinach ubierają takie dziewczyny w aksamitne czapki i tak dalej, żeby wszystkie wyglądały jednakowo. Z tą im się nie udało. Miała miedziane włosy, obcięte na chłopczycę, bo chyba tak to się nazywa, niebieskie oczy, jakie wydają się krótkowzroczne, ale widzą dalej, niż można by sądzić, i wieczorem sprawiają wrażenie ciemnych, niemal czarnych, oraz nadęte usta, jakby wszystko ją nudziło, tak że człowiek musiałby chyba podarować jej cały świat, żeby się uśmiechnęła. Nie była piegowata ani nie miała zbyt jasnej cery, lecz o cieplejszym, naturalnym odcieniu, takim bardziej brzoskwińowym. Niewysoką i szczupłą sylwetkę podkreślał obcisły niebieski żakiet, również aksamitny. Z tyłu, spod czapki wystawały włosy.

Kupiłem program właściwie bez potrzeby, bo chciałem tylko opóźnić wejście.

- Dobry ten film? - spytałem bileterkę.

- Dla amatorów zarzynania, ale zawsze można się przespać.

Nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem śmiechem, choć rozumiałem, że powiedziała to serio. Nie próbowała mi przygadać ani nie w tym guście.

- Też mi reklama - skomentowałem. - A co, gdyby twój szef to usłyszał?

Dopiero teraz na mnie spojrzała. Leniwie skierowała w moją stronę te swoje niebieskie oczy, dalej pełne znudzenia i bez śladu zainteresowania, ale była w nich powłóczystość, jakiej nigdy przedtem ani potem nie widziałem. Tak patrzy ktoś, kto się budzi z długiego snu i jest zadowolony, że cię widzi, a czasami również kot, kiedy się go głaszczcze, a wtedy mruczy i pozwala robić ze sobą wszystko, na co się ma ochotę. Spoglądała w ten sposób jedynie przez moment i na jej ustach pojawił się jakby cień uśmiechu. Przedzierając mój bilet na pół, odparła:

- Nie płacą mi za reklamę, tylko za mój wygląd i wpuszczanie takich jak ty.

Uchyliwszy kotarę, poświeciła latarką. Z początku nic nie widziałem, jak zwykle, kiedy człowiek wchodzi do ciemnej sali i dopiero po chwili zaczyna dostrzegać siedzących ludzi, gdy wzrok mu się przyzwyczai. Na ekranie zobaczyłem dwie ogromne głowy i usłyszałem głos: - Jeśli się nie przynasz, dostaniesz kulę - a potem dźwięk rozbijanej szyby i krzyk kobiety.

- Według mnie jest całkiem niezły - odezwałem się, po omacku szukając wolnego miejsca.

- To nie ten film, a tylko zwiastun następnego, który będzie w przyszłym tygodniu - odparła bileterka i błysnęła latarką, by mi pokazać pusty fotel w ostatnim rzędzie, drugi od brzegu.

Po reklamach i kronice wyszedł jakiś facet i grał na organach, a kurtyna zasłaniająca ekran mieniła się na przemian purpurą, złotem i zielenią - fajnie. Przypuszczalnie chcieli, by człowiek wiedział, na co wydał pieniądze. Rozejrzawszy się zobaczyłem, że widownia jest w połowie pusta, więc pewnie bileterka miała rację i ten film to nic nadzwyczajnego, bo przyszło tak niewiele osób.

Nim zgasły światła znowu ją zobaczyłem, jak wolno kroczyła środkowym przejściem. Niosła tacę z lodami, ale w milczeniu, jakby nie zależało jej na tym, by je sprzedać. Szła niczym lunaticzka. Kiedy się zbliżała drugim przejściem, przywołałem ją skinieniem ręki.

- Proszę za sześć pensów - powiedziałem.

Rzuciła mi pogardliwe spojrzenie, ale musiała mnie poznać, bo znowu dostrzegłem tę powłóczystość i cień uśmiechu. Obeszła fotele i stanęła za moimi plecami.

- W wafli czy rożku? - spytała.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie miałem ochoty na loda. Pragnąłem jedynie z nią porozmawiać.

- A co ty radzisz?

Wzruszyła ramionami.

- W rozkach dłużej się liże - odparła i wetknęła mi jednego w rękę, nie czekając na odpowiedź.

- Może i ty byś zjadła?

- Nie, dziękuję. Widziałam, jak się je robi.

Odeszła i zaraz ponownie zgasły światła, a ja siedziałem z głupią miną, trzymając wielkiego loda za sześć pensów. To świństwo zaczęło się topić i skapywać mi na koszulę, więc wsadziłem sobie zmrożoną papkę do ust w obawie, że spadnie mi na kolana. Musiałem zmienić pozycję, bo ktoś usiadł na miejscu z brzegu.

Wreszcie skończyłem loda, wytarłem się chusteczką i skupiłem uwagę na filmie. Western okazał się całkiem niezły. Wozy się kolebały, pędząc po prerii, ograbiono pociąg, który wiózł złoto i srebro, a główna bohaterka w jednej chwili miała na sobie spodnie do jazdy konnej, a w następnej wieczorową suknię. W filmach właśnie tak powinno być, ani trochę jak w prawdziwym życiu. Obserwując dalej akcję, wyczułem w powietrzu zapach jakichś perfum, ale go nie rozpoznałem ani nie wiedziałem, skąd dochodził. Z prawej strony siedział obok mnie mężczyzna, z lewej miałem dwa puste miejsca, na pewno tak nie pachnieli ludzie przede mną, a przecież nie mogłem się ciągle wiercić i węszyć.

Nie przepadam za perfumami. Zbyt często są marne i obrzydliwe, te jednak były inne: nie śmierdziały, nie dusiły ani nie pachniały zbyt intensywnie. Ich woń przypominała tę, co się unosi w hurtowniach na West Endzie, zanim kwiaty dotrą do kwiaciarni, gdzie po trzy szylingi za sztukę kupują je bogaci faceci dla aktorek i innych wielkich dam. Właśnie ten bardzo przyjemny zapach czułem w ciemnościach sali starego kina, pełnej papierosowego dymu, i myślałem, że oszaleję.

W końcu zdołałem ustalić jego źródło, gdy odwróciłem się do tyłu. To ta dziewczyna, bileterka, tak pachniała. Z założonymi rękami stała za mną, oparta o ścianę.

- Nie kręć się, bo zmarnujesz szylinga i dwa pensy. Patrz na ekran.

Powiedziała to tak cicho, że tylko ja ją słyszałem. Jej szept był przeznaczony tylko dla mnie. Zaśmiałem się pod nosem. Tupeciara! Fakt, że już wiedziałem, skąd dochodził ten zapach, pozwolił mi oglądać

film z większą przyjemnością. Czułem się, jakby bileterka siedziała obok i razem ze mną śledziła akcję.

Kiedy film się skończył i zapalono światła, zorientowałem się, że to ostatni seans i że już prawie dziesiąta. Ludzie wychodzili, ja jednak dalej siedziałem. Wkrótce dziewczyna znowu się pojawiła i włączywszy latarkę, zaczęła sprawdzać pod fotelami, czy ktoś nie zgubił rękawiczki albo portmonetki, co się czasem zdarza, ale nie zwracała na mnie większej uwagi niż na szmatę.

Jak już wszyscy wyszli, podniosłem się i stałem w tylnym rzędzie. W końcu zbliżyła się do mnie i powiedziała:

- Rusz się, bo blokujesz przejście.

Poświeciła latarką. Znalazła tylko pustą paczkę po playersach, ale zostawiła ją sprzątaczkom, które przyjdą rano. Kiedy się wyprostowała, zmierzyła mnie wzrokiem, zdjęła tę śmieszna czapkę, w której tak ładnie wyglądała, zaczęła się nią wachlować i mruknęła:

- Będziesz tu dziś nocował?

Później odeszła pogwizdując i zniknęła za kotarą.

Myślałem, że się wścieknę. Nigdy w życiu nie zniosłem tyle od dziewczyny. Pobiegłem za nią do hallu, ale zdążyła prysnąć tylnymi drzwiami za kasą, które portier już zamykał na noc. Wylazłem więc na ulicę i tam czekałem. Czułem się trochę głupio wiedząc, że pewnie wyjdzie razem z całą paczką, jak to dziewczyny, czyli z kasjerką, szatniarką i bileterkami z balkonu, a wszystkie będą się chichrały i może nie ośmielę się do niej podejść.

Po kilku minutach zobaczyłem ją jednak samą. Z gołą głową, ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy z paskiem, trzymała ręce w kieszeniach. Szła prosto ulicą, kołyszac biodrami i nie rozglądając się na boki. Ruszyłem za nią, ale się bałem, żeby się nie obejrzała, bo wtedy by mnie zobaczyła, lecz ona dalej drałowała, patrząc przed siebie. Widziałem, jak falują jej miedziane włosy.

Wkrótce się zawahała, przeszła na drugą stronę i stanęła na przystanku autobusowym. Było tam już kilka osób, więc nie spostrzegła, jak zająłem miejsce na końcu kolejki. Kiedy zjawił się autobus, wskoczyła przed wszystkimi, a ja po nich, choć nie miałem zielonego pojęcia, dokąd jedzie, ale mało mnie to obchodziło. Weszła na górę, usiadła z tyłu i ziewnąwszy zamknęła oczy.

Ja też wszedłem po schodkach i siadłem obok niej, cały w strachu, bo nigdy takich rzeczy nie robiłem i przypuszczałem, że mnie obruga. Kiedy wdrapał się do nas konduktor, poprosiłem go o dwa bilety po

sześć pensów, to znaczy dla nas obojga do końca trasy, ale zakładałem, że dziewczyna wysiadzie wcześniej. Facet uniósł brwi - niektórzy konduktorzy myślą, że są strasznie cwani - i powiedział:

- Tylko uważajcie, bo szarpie, jak kierowca zmienia biegi. Niedawno zrobił prawo jazdy.

Potem wrócił na dół chichocząc. Niewątpliwie miał się za Bóg wie jakiego mądrałę.

Jego głos obudził dziewczynę, która spojrzała na mnie sennym wzrokiem i zobaczyła, że trzymam dwa bilety. Po ich kolorze musiała się zorientować, ile kosztowały. Pierwszy raz tego wieczora uśmiechnęła się do mnie tak naprawdę i jak gdyby nigdy nic powiedziała:

- Cześć!

Wyjąłem papierosy, żeby poczuć się swobodniej. Poczęstowałem ją, ale nie wzięła, tylko znowu zamknęła oczy, jakby chciała dalej spać. Widząc, że na górze nie ma nikogo, oprócz jakiegoś lotnika, który siedział z przodu i czytał gazetę, objąłem dziewczynę i oparłem jej głowę na swoim ramieniu. Myślałem, że zacznie się wyrwać i mnie objedzie. Jednakże tego nie zrobiła. Zaśmiała się i wygodniej usadowiła, jak w fotelu.

- Nie co dzień mam za darmo bilet i poduszkę - odezwała się. - Obudź mnie, kiedy będziemy mijali wzgórze z cmentarzem.

Nie wiedziałem, o jakim wzgórzu i cmentarzu mówiła, ale i tak nie miałem zamiaru jej budzić. Wybuliłem dwie sześciopensówki nie po to, żeby zaraz wysiadać.

Jechaliśmy więc piętrusiem blisko siebie, co było bardzo miłe. Pomyślałem, że to znacznie przyjemniejsze niż siedzenie w domu i czytanie na łóżku wiadomości sportowych czy odwiedzanie córki państwa Thompsonów.

Wkrótce nabrałem śmiałości: przytuliłem policzek do głowy dziewczyny, którą jednocześnie mocniej objąłem, nie nachalnie, a tylko troszcząco. Ten, kto by teraz wszedł na górę, wzięłby nas za zakochaną parę.

Kiedy już przejechaliliśmy kawałek za jakieś cztery pensy, ogarnął mnie niepokój. Autobus dotrze do końca trasy, ale nie zawróci, tylko zatrzyma się na noc, a ja z dziewczyną znajdę się nie wiadomo gdzie bez możliwości powrotu. Tymczasem w kieszeni miałem sześć szylingów i ani pensa więcej. To w żadnym wypadku nie starczy na taksówkę i napiwek. Poza tym prawdopodobnie jej nie znajdę.

Dureń ze mnie, że nie wziąłem Więcej forsy. Może głupio robiłem, przejmując się tą sprawą, ale przecież od samego początku działałem

pod wpływem impulsu i gdybym mógł przewidzieć, co mnie spotka, zabrałbym pełny portfel. Niezbyt często umawiam się z dziewczynami, a nie cierpię facetów, którym brak stylu. Wystarczy się postawić w jakimś narożnym barze - teraz są dobre z tą samoobsługą - a jeżeli dziewczyna ma ochotę na coś mocniejszego niż kawa czy oranżada, oczywiście nie o tak późnej porze, to bliżej domu wiem, dokąd iść. Jest taki pub, do którego chodzi mój szef. Kupuje się tam butelkę dżinu i oni ją dla człowieka trzymają, tak że w każdej chwili, jak ma ochotę, może pójść i się napić. Słyszałem, że podobno to samo sprzedają w eleganckich knajpach West Endu, ale tam każą sobie bardzo słono płacić.

W każdym razie, z moją dziewczyną obok, jechałem autobusem Bóg wie dokąd - nazwałem ją moją dziewczyną, jakbyśmy już ze sobą chodzili - nie mając, w mordę, ani grosza, żeby ją odwieźć do domu. Zacząłem się nerwowo wiercić i grzebać po kieszeniach licząc, że może szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajdę pół korony albo nawet zapomniany banknot dziesięcioszylingowy. Pewnie dziewczynie to przeszkadzało, bo przyciągnąwszy moje ucho, szepnęła:

- Nie psuj nastroju.

No, nie wiem, jak to określić... Po prostu to mnie wzięło. Nie umiem wytłumaczyć dlaczego. Zanim to zrobiła, trzymała moje ucho już jakąś chwilę, jakby dotykanie go sprawiało jej przyjemność, a później leniwie je pociągnęła. Takie rzeczy robią dzieci. Poza tym szepnęła do mnie, jakbyśmy znali się od lat i razem jeździli na pikniki. „Nie psuj nastroju”. Taka mieszanina serdeczności z poufałością, fajniejsza jednak niż każda z nich osobno.

- Słuchaj - powiedziałem. - Bardzo mi przykro, ale zrobiłem cholernie głupią rzecz. Kupiłem bilety na trasę aż do pętli, bo chciałem siedzieć koło ciebie jak najdłużej, tylko że tam nas wywał z autobusu i do domu będzie kawał drogi, a ja w kieszeni mam zaledwie sześć szylingów.

- Masz też nogi, prawda?

- Jak to, mam nogi?

- One służą do chodzenia. Przynajmniej moje - odparła.

Wtedy zrozumiałem, że nie ma sprawy, że ona wcale nie jest na mnie zła i że wieczór dobrze się zapowiada. Od razu poprawił mi się humor i przycisnąłem ją do siebie, aby okazać, jak doceniam to, że jest taka równa - większość dziewczyn rozszarpałaby mnie na strzępy.

- O ile mi wiadomo, jeszcześmy nie minęli żadnego cmentarza - oznajmiłem. - Bardzo ci na nim zależy?



- O, będą inne. Nie jestem drobiazgową.

Nie wiedziałem, co z tym zrobić. Sądziłem, że chciała wysiąść przy cmentarzu, bo stamtąd ma najbliżej do domu, tak jak ktoś mówi: „Wysadz mnie w Woolworth”, jeśli gdzieś tam niedaleko mieszka. Po krótkim główkowaniu spytałem:

- O co ci chodziło z tym, że będą inne? Cmentarze rzadko się widuje przy trasach autobusów.

- Mówiłam tak ogólnie. Nie sil się na rozmowę. Wolę, gdy milczysz.

To nie był policzek. W gruncie rzeczy wiedziałem, o co jej chodzi. Bardzo miło rozmawia się przy kolacji z takimi ludźmi jak państwo Thompsonowie. Opowiada się wtedy, jak minął dzień, ktoś na głos przeczyta kawałek artykułu z gazety, a inny skomentuje: „Coś podobnego! No, no!” i tak to jakoś leci, aż któreś ziewnie i spyta: „A może byśmy tak poszli spać?” Również dość fajnie gada się z szefem w czasie drugiego śniadania albo koło trzeciej, kiedy nie ma nic do roboty. „Według mnie, ci faceci w rządzie robią tylko bałagan i wcale nie są lepsi od poprzednich” i w tym momencie ktoś nam przerywa, bo chce zatankować. Lubię też porozmawiać z moją starszą mamą, kiedy do niej przyjeżdżam, co robię zbyt rzadko. Ona opowiada, jak mnie prała po tyłku, gdy byłem mały, a ja siedzę na kuchennym stole, tak samo jak w dzieciństwie. Mama wówczas piecze ciastka porzeczkowe i daje mi skórkę mówiąc: „Zawsze ją lubiłeś”. To się nazywa rozmowa, to jest konwersacja.

W autobusie jednak nie miałem ochoty rozmawiać z moją dziewczyną. Po prostu chciałem ją obejmować, przytulając brodę do jej głowy. Właśnie o to jej chodziło, gdy powiedziała, że woli, gdy milczę. Ja też to wolałem.

Jeszcze tylko jedno ciut mnie męczyło, a mianowicie, czy zdołam ją pocałować, nim autobus się zatrzyma i każą nam wysiąść. Co innego obejmować dziewczynę, a co innego ją całować. Zwykle wymaga to trochę czasu na przygotowania. Najpierw trzeba się umówić, iść do kina czy na koncert, później coś zjeść i wypić, no i dopiero na zakończenie, gdy człowiek ją pozna, można się ciut poprzytulać i pocałować. Właśnie tego oczekują dziewczyny. Prawdę mówiąc, niewiele się z nimi całowałem. Kiedyś chodziłem z taką jedną, gdy mieszkalem u mamy, jeszcze przed wojskiem. Była niezła, lubiłem ją, ale miała wystające zęby i jeśli nawet przymykałem oczy, by zapomnieć, kogo całuję, nic z tego nie wychodziło. W porównaniu z tą miłą, przyzwoitą

Doris z sąsiedztwa gorsze są takie, które od razu rzucają się na człowieka, jakby chciały go pożreć. Spotyka się ich mnóstwo, kiedy się chodzi w mundurze. Są tak napalone, że cię miętoszą, jakby nie mogły się doczekać chłopa. Powiem szczerze: robiło mi się od tego niedobrze. Niech skonam, ale to fakt. Chyba urodziłem się wybredny. Zresztą, czy ja wiem?

Wtedy jednak, w tamtym autobusie, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Nie miałem pojęcia, co myśleć o tej dziewczynie - miała sennie oczy i sprawiała wrażenie, że w ogóle jej nie obchodzę, ale jednocześnie jakby mnie lubiła. Z niczym takim dotychczas się nie spotkałem i w duchu zadałem sobie pytanie: ryzykować czy czekać? Sposób, w jaki kierowca prowadził autobus, i zachowanie konduktora, który pogwizdywał i życzył dobrej nocy wysiadającym, niewątpliwie wskazywały, że ostatni przystanek jest niedaleko. Serce zaczęło mi walić i zrobiło mi się gorąco - cholernie głupia sprawa, to tylko jeden pocałunek, przecież ona mnie nie zabije - a potem... Czułem się jak przed skokiem z trampoliny. Pomyślałem: „Raz kozie śmierć”, schyliłem głowę, ręką uniosłem brodę dziewczyny i pocałowałem ją w usta jak trzeba.

Cóż, gdybym był poetą, nazwałbym to objawieniem, ale nie jestem. Mogę tylko powiedzieć, że oddała mi pocałunek, który trwał bardzo długo i ani trochę nie przypominał tego z Doris.

Wtedy autobus się zatrzymał z gwałtownym szarpnięciem i konduktor śpiewnie zawołał:

- Wsiadamy! Koniec trasy!

Słowo daję, że miałem ochotę skrócić mu kark. Dziewczyna kopnęła mnie w kostkę.

No, rusz się! - powiedziała.

Zataczając się wstałem i zbiegłem na dół, a ona za mną. Wysiedliśmy. W dodatku zaczęło padać, wprawdzie niezbyt mocno, lecz wystarczająco, by człowiek to zauważył i miał ochotę postawić kołnierz płaszcza, a my znajdowaliśmy się na samym końcu szerokiej ulicy z nie oświetlonymi, pozamykanymi sklepami, zupełnie jak na końcu świata. Oczywiście z lewej strony było wzgórze, a u jego stóp cmentarz. Widziałem ogrodzenie, za którym białą nagrobki, ciągnące się daleko, prawie do połowy zbocza. Całe hektary grobów.

- O rany! To o to ci chodziło? - spytałem.

- Być może - odparła, nie wiadomo po co oglądając się przez ramię, i wzięła mnie pod rękę. - Nie miałbyś najpierw ochoty na filiżankę kawy?

Najpierw? Zastanawiałem się, czy przed długą i męczącą drogą powrotną, czy też przed zaproszeniem mnie do domu. Właściwie wszystko jedno. Już minęła jedenasta i chętnie bym wypił kawę, a nawet zjadł kanapkę. Po drugiej stronie zobaczyłem otwarty kiosk z barem.

Podeszliśmy do niego. Stał tam już kierowca autobusu, konduktor i ten lotnik, który jechał z nami na górze. Zamawiali herbatę i kanapki. Zrobiliśmy to samo, tylko że zamiast herbaty wzięliśmy kawę. Kanapki wyglądały bardzo apetycznie - zdążyłem zauważyć, że w kiosku nie załują szynki ani bulki. Podali nam także pełne filiżanki dobrej, gorącej kawy. Pomyślałem, że chyba sześć szylingów na to wystarczy.

Spostrzegłem, że moja dziewczyna patrzy na lotnika, jakby przedtem go widziała. On też na nią spoglądał, ale nie miałem do niego pretensji. Zresztą wcale mi to nie przeszkadzało, bo kiedy człowiek jest ze swoją dziewczyną, czuje się dumny, gdy inni faceci na nią patrzą, a jej z pewnością trudno byłoby nie zauważyć.

W końcu ostentacyjnie odwróciła się do niego tyłem, oparła łokieć o bar i małymi łykami piła kawę. Ja stałem obok, robiąc to samo. Było miło i przyjemnie. To wcale nie wyglądało, jakbyśmy znaleźli się tam przypadkiem. Każdy by powiedział, że jestem ze swoją dziewczyną. To mi się podobało. Dziwne, ale budziło we mnie opiekuńcze uczucie. Można by pomyśleć, że jesteśmy młodym małżeństwem, wracającym do domu.

Wszyscy trzej trochę sobie żartowali z facetem podającym herbatę i kanapki, ale żadne z nas się do nich nie odzywało.

- Lepiej uważaj w tym mundurze, bo skończysz jak tamci - powiedział konduktor do lotnika. - Tak późno nie powinieneś wychodzić z domu sam.

Zaczęli się śmiać. Nie bardzo rozumiałem, o co mu idzie, ale to pewnie miało być zabawne.

- Od dawna jestem czujny - odparł lotnik. - Na pierwszy rzut oka widzę, z kim mam do czynienia.

- Inni też tak mówili, ale trudno się dziwić - rzekł konduktor. - Wiemy, co im się przytrafiło. Aż ciarki człowieka przechodzą. Chciałbym tylko wiedzieć, po co wybrałeś lotnictwo.

- Ze względu na mundur. W mroku łatwo go zauważyć.

Dalej podsmiewywali się w ten sposób. Wyjąłem papierosy i poczęstowałem moją dziewczynę, lecz nie wzięła. Zapaliłem.

- Potępiam wojnę za to, co zrobiła z babami - odezwał się facet

z baru, wycierając filiżankę. - Moim zdaniem, wiele z nich całkiem sfiksowało i teraz nie wiedzą co dobre, a co złe.

- To nie przez wojnę, tylko przez sport - powiedział konduktor. - Weźmy, na przykład, moje dzieciaki. Córka jest silna jak byk i w każdej chwili może dołożyć synowi. To bardzo zastanawiające.

- Racja - potwierdził kierowca. - Nazywają to równością płci, prawda? Wszystko dlatego, że one mogą głosować. Nigdy nie powinniśmy byli dawać im tego prawa.

- Gadanie! - wtrącił się lotnik. - Wcale nie dlatego im odbiło, że mają prawo głosu. Zawsze takie były. Na Wschodzie mężczyźni wiedzą, jak się powinno traktować kobiety. Trzymają je pod kluczem. To jest właściwe rozwiązanie. Dzięki temu nie mają żadnych kłopotów.

- Nie wiem, co by na to powiedziała moja stara, gdybym próbował ją zamknąć - skomentował kierowca.

Wszyscy znów wybuchnęli śmiechem.

Moja dziewczyna szarpnęła mnie za rękaw i wtedy zobaczyłem, że już wypita kawę. Kiwnęła głową w stronę ulicy.

- Chcesz iść do domu? - spytałem.

Głupio, ale takjakoś pragnąłem, by oni myśleli, że idziemy do domu. Nie odpowiedziała. Po prostu oddaliła się wolnym krokiem, trzymając ręce w kieszeniach płaszcza. Życząc tamtym dobrej nocy, ruszyłem jej śladem, ale zdążyłem spostrzec, że lotnik gapi się na nią znad filiżanki herbaty.

Szła ulicą w deszczu, który wciąż siał tak nieprzyjemnie, że człowiek miał ochotę posiedzieć gdzieś przy kominku w jakimś przytulnym domu. Kiedy zbliżyła się do ogrodzenia cmentarza, przystanąła i spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Co teraz? - spytałem.

- Nagrobki są płaskie - odparła. - Czasami.

- No i co z tego? - powiedziałem trochę zdziwiony.

- Można się na nich położyć.

Po tych słowach się odwróciła i poszła wolnym krokiem wzdłuż ogrodzenia, cały czas na nie patrząc. Zatrzymała się tam, gdzie jeden pręt był zgięty, a następny wyłamany. Spojrzała na mnie i znowu się uśmiechnęła.

- Zawsze tak jest - oznajmiła. - Jeśli dobrze poszukać, na pewno znajdzie się dziurę.

Błyskawicznie prześlizgnęła się na drugą stronę. Zbaraniałem.

- Zaczekaj! - krzyknąłem. - Nie jestem taki szczupły jak ty.

Ona jednak już odchodziła, błędząc między grobami. Jakoś przecisnąłem się przez dziurę, trochę sapiąc i stękając, a potem zacząłem się rozglądać. Jak Boga Kocham, nie do wiary, ale zobaczyłem, że ona leży na długiej płycie nagrobkowej, trzymając ręce pod głową. Miała zamknięte oczy.

Cóż, właściwie niczego nie oczekiwałem. To znaczy sądziłem, że odprowadzę ją do domu, umówię się na następny wieczór i tyle. Oczywiście, biorąc pod uwagę fakt, że było późno, postalibyśmy jakiś czas przed jej domem, bo chyba nie musiałyby od razu wchodzić. Trudno jednak uznać leżenie na grobie za normalne.

Usiadłem i wziąłem ją za rękę.

- Zmkniesz - powiedziałem.

Kiepski argument, lecz nic lepszego nie potrafiłem wymyślić.

- Jestem przyzwyczajona - odparła.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Niedaleko, za ogrodzeniem, stała latarnia, więc nie było całkiem ciemno, choć padał deszcz. Chciałbym opisać jej oczy, a nie lubię wyszukanych słów. Wiecie, jak w ciemnościach świeci fosforyzowany zegarek. Sam taki mam. Kiedy człowiek budzi się w nocy, on zawsze jest na rękę, jak przyjaciel. Oczy dziewczyny świeciły bardzo podobnie, tylko że w dodatku były śliczne. Już nie patrzyła leniwie jak kot, ale łagodnie i czule, a zarazem smutno.

- Jesteś przyzwyczajona do leżenia na deszczu? - spytałem zdziwiony.

- Wychowywałam się w trudnych warunkach. W schronach, podczas wojny, nazywali nas dziećmi ulicy.

- Nigdy cię nie ewakuowali?

- Mnie? Nigdzie na dłużej nie mogłam się zatrzymać. Zawsze wracałam.

- Rodzice żyją?

- Nie. Oboje zginęli od bomby, która zburzyła nasz dom.

Wszystko to mówiła bez tragizowania. Tak zwyczajnie.

- A to pech! - powiedziałem.

Tym razem się nie odezwała. Pragnąłem odprowadzić ją do domu, ale dalej siedziałem, trzymając jej rękę.

- Od dawna pracujesz w tym kinie?

- Jakies trzy tygodnie. Nigdzie długo nie pracuję. Wkrótce i stamtąd odejdę.

- Dlaczego?

- Nosi mnie.

Nagle wyciągnęła ręce, chwyciła mnie za twarz i przytrzymała ją w dłoniach. Zrobiła to delikatnie, wcale nie jak myślicie.

- Twoja twarz jest taka dobra i miła. Podoba mi się.

Zdumiewające. Sposób, w jaki to powiedziała, dziwnie mnie wzruszył, inaczej niż w autobusie. Zrobiło mi się głupio przyjemnie. Pomyślałem, że chyba wreszcie znalazłem dziewczynę, jakiej rzeczywiście pragnę. Nie na jeden wieczór, lecz na stałe.

- Masz jakiegoś faceta?

- Nie.

- Z żadnym regularnie się nie spotykasz?

- Nie. Nigdy.

Dziwna taka rozmowa - na cmentarzu, w dodatku z dziewczyną, która leży na starej płycie nagrobkowej niczym rzeźba.

- Ja też z żadną nie chodzę. Nigdy nie myślałem o dziewczynach w taki sposób jak inni faceci. Chyba jestem wybredny. I zależy mi na pracy. Wiesz, pracuję w garażu, jako mechanik. Naprawiam różne rzeczy, robię wszystko, co trzeba. Dobrze płacą. Już trochę zaoszczędziłem, oprócz tego, co wysłałem staruszce mamie. Mieszkam w wynajętym pokoju. Sympatyczni ludzie, ci Thompsonowie. Mój szef w garażu to także fajny gość. Nigdy nie czułem się samotny i teraz też nie, ale od chwili, gdy cię zobaczyłem, zacząłem się nad tym zastanawiać. Wiesz, już nic nie będzie jak przedtem.

Ani razu mi nie przerwała tego myślenia na głos.

- Bardzo miło jest u Thompsonów - ciągnąłem. - Trudno sobie wyobrazić sympatyczniejszych ludzi. Poza tym świetnie karmią, trochę sobie rozmawiamy po kolacji, słuchamy radia, ale ja pragnę czegoś innego. Chcę chodzić po ciebie do kina, kiedy skończy się ostatni seans. Ty, stojąc przy kotarze, będziesz wypuszczająca ludzi i mrugniesz do mnie, by dać mi znak, że wkrótce się przebierzesz i że mam na ciebie czekać. Potem wyjdiesz na ulicę, jak dziś wieczorem, ale już nie wrócisz do domu sama, tylko weźmiesz mnie pod rękę. Jeśli zechcesz zdjąć płaszcz, ja ci go poniosę, tak samo paczkę czy co innego. Potem pójdziemy na kolację do baru na rogu albo gdzie indziej, niedaleko. Tam będziemy mieli zarezerwowany stolik, bo wszyscy będą nas znali, kelnerki i tak dalej. Podadzą nam coś, co specjalnie zostawia tylko dla nas.

Wyobrażałem to sobie jasno i wyraźnie. Stolik z kartką „Zarezerwowane” na blacie. Kelnerka kiwa na nas i mówi: „Dziś mamy jajka

w sosie curry". Idziemy po tace i moja dziewczyna udaje, że mnie nie zna, a ja śmieję się do siebie.

- Rozumiesz, co chcę powiedzieć? - zapytałem. - Chodzi mi o coś więcej niż tylko przyjaźń.

Nie wiem, czy to słyszała. Leżąc i na mnie patrząc, dotykała mojego ucha i brody w ten swój dziwny, delikatny sposób, jakby mi współczuła.

- Chciałbym ci kupować różne rzeczy, od czasu do czasu kwiaty. Miło patrzeć na dziewczynę z kwiatem przypiętym do sukienki, wygląda tak czysto i świeżo. A na szczególne okazje, urodziny, gwiazdkę i tak dalej, coś takiego, co widziałaś na wystawie, ale nie weszłaś do sklepu, żeby zapytać o cenę. Może broszkę albo bransoletkę... Coś ładnego. Ja bym tam poszedł bez ciebie i to kupić. Wcale bym się nie przejmował, gdyby kosztowało więcej niż zarabiam w ciągu tygodnia.

Już widziałem jej minę przy rozpakowywaniu. Potem włoży na siebie to, co jej kupiłem, i razem wyjdziemy - ona w sukience specjalnie trochę bardziej eleganckiej, tylko bez przesady, ale przyciągającej oko. No wiecie, szykownej.

- W obecnych czasach byłoby nieuczciwe rozmawiać o małżeństwie - powiedziałem. - Facetowi trudności nie przeszkadzają, ale dziewczynie jest ciężko. Gnieźdzenie się w ciasnych mieszkaniach, kolejki, wszystko na kartki. Dziewczyny też lubią wolność, chcą pracować i woła nie być niczym związane, tak samo jak my. Ale przed chwilą, przy kiosku, oni wygadywali bzdury o tym, że dziewczyny nie są takie jak dawniej, że wszystkiemu winna jest wojna. Jeśli chodzi o traktowanie kobiet na Wschodzie... trochę widziałem na własne oczy. Przypuszczam, że ten facet po prostu się wygłupiał. Wszyscy piloci to cwaniacy, ale uważam, że on bajdurzył.

Dziewczyna opuściła ręce i zamknęła oczy. Widząc, że nagrobek jest bardzo mokry, zacząłem się o nią martwić, choć miała na sobie płaszcz, ale jej nogi w cienkich pończochach i pantofle były już przemoczone.

- Ty nie służyłeś w lotnictwie, prawda?

Dziwne. Jej głos stał się szorstki, ton ostry, jakby coś ją poruszyło, a nawet jakby się czegoś bała.

- Ja? Nie. Służyłem w REME. To fajne chłopaki. Nie zadzierają nosa, nie zajmują się żadnymi głupstwami. Z nimi wiadomo, na czym się stoi.

- Cieszę się. Bardzo się cieszę - powiedziała. - Jesteś dobry i miły.

Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie rzucił jej jakiś facet z RAF-u. Ci, których znałem, to dzikusy. Przypomniałem sobie, że dziwnie patrzyła na tamtego lotnika przy kiosku, jakby budził w niej jakieś wspomnienia. Trudno oczekiwać, żeby nie kręciła z facetami, zwłaszcza z taką urodą i takim wychowaniem w schronach, bez rodziców. Nie sądziłem jednak, żeby ktoś mógł ją skrzywdzić.

- A co ci przeszkadza lotnictwo? - pytałem. - Czy RAF zrobił ci coś złego?

- Oni zburzyli mój dom.

- To przecież Niemcy, a nie nasi.

- Wszystko jedno. I jedni, i drudzy to mordercy. Może nie?

Spojrzałem na nią. Dalej tak samo leżała na kamiennym nagrobku, ale jej głos już nie był szorstki, jak wówczas, gdy pytała, czy służyłem w lotnictwie. W jej tonie dostrzegłem jednak znużenie i smutek, jakby czuła się samotna. Tak mnie ścisnęło w dołku, że aż chciałem zrobić najbardziej idiotyczną rzecz - wziąć ją ze sobą do domu i powiedzieć pani Thompson, a to bardzo zacna dusza: „Oto moja dziewczyna. Proszę się nią opiekować”. Wtedy bym wiedział, że jest bezpieczna, że nie się jej nie stanie i nikt jej nie skrzywdzi. Właśnie w tym momencie zacząłem się bać, że ktoś przyjdzie i mojej dziewczynie zrobi coś złego.

Pochyliłem się, objąłem ją i uniosłem.

- Słuchaj, mocno pada - powiedziałem. - Zabieram cię do domu. Leżąc na tym mokrym kamieniu przeziębisz się i umrzesz.

- Nie - odparła z dłońmi na moich ramionach. - Nikt nigdy nie odprowadza mnie do domu. Wrócisz sam.

- Nie zostawię cię tutaj.

- Właśnie że tak. Jeśli mnie nie zostawisz, będę się gniewać, a ty chyba tego nie chcesz, prawda?

Patrzyłem na nią zakłopotany. Jej twarz dziwnie wyglądała w słabym świetle starej latarni, była bledsza niż przedtem, ale piękna, Jezu Chryste, jaka piękna. Wiem, że to błąźnierstwo, nie umiem jednak tego wyrazić inaczej.

- Więc co według ciebie mam zrobić? - spytałem.

- Chcę, żebyś mnie zostawił i odszedł, nie oglądając się za siebie, jak lunatyk. Droga powrotna w tym deszczu zajmie ci wiele godzin. Nie szkodzi. Jesteś młody, silny i masz długie nogi. Wróc do swojego pokoju, gdziekolwiek mieszkasz, połóż się i zaśnij, a kiedy rano się obudzisz, zjesz śniadanie i pójdziesz do pracy, jak zwykle.

- A co z tobą?



- Mną się nie przejmuj. Po prostu odejdz.

- Czy jutro wieczorem mam wstąpić po ciebie do kina? Czy moglibyśmy ze sobą, jak mówiłem... no wiesz... chodzić na stałe?

Nie odpowiedziała, a tylko się uśmiechnęła. Spokojnie siedząc, patrzyła na mnie, a potem zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i rzekła:

- Pocałuj mnie jeszcze raz.

Zostawiłem ją, jak kazała. Nie oglądałem się. Przeszedłem ogrodzenie i znalazłem się na ulicy. Wyglądało na to, że w pobliżu nikogo nie ma. Kiosk koło pętli był już zamknięty.

Ruszyłem tą samą drogą, którą przywiózł nas autobus. Prosta ulica, pewnie główna, bo po obu stronach mnóstwo sklepów, ciągnęła się bez końca przez północno-wschodnie dzielnice Londynu, których w ogóle nie znałem. Nie wiedziałem, gdzie jestem, ale nic mnie to nie obchodziło. Czułem się niczym lunatyk, dokładnie tak jak powiedziała dziewczyna.

Cały czas o niej myślałem. Maszerując, nie miałem przed oczami nic innego tylko jej twarz. Kiedy dziewczyna działała tak na jakiegoś faceta, w wojsku mówili, że on niczego nie zauważa i nie wie, co robi, a ja sądziłem, że to lipa i przydarza się tylko pijanym, a dopiero teraz wszystko pojąłem, gdy mnie samego to spotkało. Już się nie przejmowałem, jak ona dotrze do domu. Przecież powiedziała, żebym się o to nie martwił. Pewnie mieszka gdzieś niedaleko, bo niby po co tłukłaby się taki kawał drogi, choć to dziwne, że ktoś dojeżdża do pracy z takiej odległości. Może z czasem mi to wyjaśni, ale ja nie zamierzam ciągnąć jej za język. Jedno wiedziałem na pewno - jutro pójdę po nią do kina. Nikt mnie od tego nie odwiedzie. Godziny do dziesiątej wieczorem następnego dnia będą dla mnie puste.

Zatrzymałem jakąś ciężarówkę i kierowca podrzucił mnie spory kawałek, ale później skręcił w lewo, bo jechał w inną stronę, więc znowu musiałem iść. Dotarłem do domu tuż przed trzecią.

W normalnej sytuacji czułbym się źle, gdybym obudził pana Thompsona, żeby mi otworzył, i dotychczas jeszcze się to nie zdarzyło, ale rozpalony miłością do dziewczyny, nie miałem żadnych skrupułów. Wreszcie zszedł i mnie wpuścił, ale musiałem dzwonić kilka razy, by usłyszał. Biedaczysko, stanął w drzwiach zaspany, w zmiętej piżamie.

- Co się z tobą działo? - spytał. - Martwiliśmy się o ciebie. Myśleliśmy, że może wpadłeś pod samochód. Po powrocie zastaliśmy pusty dom i twoją kolację nietkniętą.

- Byłem w kinie.

- W kinie? - Spojrzał na mnie zdziwiony. - Ostatni seans kończy się o dziesiątej.

- Wiem. Później spacerowałem. Przepraszam. Dobranoc.

Ruszyłem po schodach do mojego pokoju na piętrze, zostawiwszy starszuka, który coś mruczał pod nosem, zamykając drzwi. Jeszcze tylko usłyszałem, jak pani Thompson wołała z sypialni:

- Kto to? On? Już wrócił do domu?

Sprawiłem im kłopot i przeze mnie się martwili, więc właściwie powinienem iść do nich z przeprosinami, ale jakoś nie umiałem się na to zdobyć w obawie, że o tej porze nie wypada. Szybko się rozebrałem i wskoczyłem do łóżka. W ciemnościach mi się zdawało, że moja dziewczyna leży koło mnie.

Rano państwo Thompsonowie byli milczący i nawet na mnie nie spojrzeli. Pani Thompson bez słowa podała mi jedzenie, a jej mąż nie odrywał wzroku od gazety. Kiedy zjadłem śniadanie, powiedziałem:

- Mam nadzieję, że państwo miło spędzili wieczór w Highgate.

- Owszem, bardzo przyjemnie, dziękuję. Wróciliśmy przed dziesiątą - odparła pani Thompson, a potem lekko prychnęła i naalała mężowi drugą herbatę.

W dalszym ciągu wszyscy milczeli, a w końcu pan Thompson spytał:

- Będziesz dziś na kolacji?

- Nie, raczej nie. Umówiłem się ze znajomą.

- Skoro zamierzasz późno wracać, chyba trzeba załatwić ci klucz - oznajmił, spoglądając na mnie znad okularów.

Wrócił do czytania gazety. Widziałem, że są bardzo urażeni, bo niczego im nie wytłumaczyłem ani nie powiedziałem, gdzie byłem.

Poszedłem do pracy. W garażu przez cały dzień mieliśmy kupę roboty, co kiedy indziej w ogóle by mi nie przeszkadzało. Lubię pracować i nawet często zostawałem po godzinach, ale tego dnia chciałem wyjść przed zamknięciem sklepów i o niczym innym nie myślałem, gdy wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Zbliżało się wpół do piątej, gdy podszedł do mnie szef i oświadczył:

- Obiecałem tamtemu lekarzowi, że do wieczora zreperujemy jego austina. Powiedziałem mu, że skończysz przed wpół do ósmej. Uwiniesz się z tym, prawda?

Serce mi zamarło. Liczyłem, że wyjdę wcześniej, bo chciałem coś załatwić. Pomyślałem, że gdyby szef zwolnił mnie teraz, przed zamknię-

ciem sklepów, to wróć, jeszcze zdążę z tym austinem i wszystko będzie dobrze, więc odparłem:

- Nie mam nic przeciwko nadgodzinom, ale wolałbym wyskoczyć na pół godzinki, jeśli pan zaczeka. Muszę coś kupić, nim zamkną sklepy.

Zgodził się. Wobec tego szybko zdjąłem kombinezon, umyłem się, włożyłem płaszcz i pobiegłem do sklepów u stóp wzgórza Haverstock. Znałem ten, który był mi potrzebny. Pan Thompson naprawiał swój zegarek u tego jubilera, a tam nie sprzedawali tandety, lecz solidne wyroby, ramy i sztuce z masywnego srebra.

Oczywiście, mieli też pierścionki i bransoletki, ale ja takich ozdób nie lubię. Wszystkie dziewczyny, obsługujące w kantynach, nosiły bransoletki z wisiorkami. Gapiłem się na wystawę i w końcu to dostrzegłem.

Broszkę. Niedużą, trochę większą od paznokcia kciuka, ale z ładnym niebieskim kamieniem. Miała kształt serca i dlatego mi się spodobała. Nie widziałem metki z ceną, co oznaczało, że jest droga, lecz mimo to wszedłem i poprosiłem, by mi ją pokazano. Jubiler zdjął broszkę z wystawy, przetarł ją i zaczął obracać na wszystkie strony. Wyobraziłem sobie, jak będzie wyglądała na sukience lub swetrze mojej dziewczyny i już wiedziałem, że to jest to.

- Biorę - powiedziałem i zapytałem go o cenę.

Kiedy ją wymienił, ciut mnie zatkało, ale wyjąłem portfel i odliczyłem banknoty. Jubiler włożył broszkę do pudełeczka z wata, ładnie zapakował i przewiązał ozdobnym sznurkiem. Zdawałem sobie sprawę, że muszę wziąć od szefa zaliczkę, ale to porządny facet i z pewnością mi nie odmówi.

Wychodząc od jubilera z paczuszką w kieszeni usłyszałem, jak zegar na wieży kościoła wybija za kwadrans piąta. Czas wpaść do kina, by się upewnić, czy moja ukochana pamięta o naszej wieczornej randce, a potem jak najszybciej wrócić do garażu i zreperować samochód, nim zgłosi się po niego właściciel.

Kiedy dotarłem do kina, serce mi tak waliło, że ledwo mogłem przełknąć ślinę. W wyobraźni widziałem, jak moja dziewczyna stoi przy kotarze, ubrana w aksamitny żakiet i czapczkę na czubku głowy.

Przed wejściem zobaczyłem sporą kolejkę i od razu się zorientowałem, że zmienili program. Zniknął plakat z kowbojem dżgającym Indianina, a na tym samym miejscu wisiał inny, z mnóstwem tańczących dziewczyn i facetem z laseczką. Niewątpliwie musical.

Wszedłem i spojrzałem w stronę kotary. Stała tam jakaś bileterka, ale to nie była moja dziewczyna, tylko jakaś inna, tęga i wysoka. W mundurku głupio wyglądała, a przy tym próbowała robić dwie rzeczy naraz: przedzierać bilety wchodzącym widzom i jednocześnie świecić im latarką.

Pomyślałem, że może zamieniły się miejscami i moja dziewczyna jest na balkonie. Odczekałem chwilę, a później, gdy przewalił się pierwszy tłum i bileterka była wolna, podszedłem i spytałem:

- Przepraszam, czy pani nie wie, gdzie mógłbym zamienić parę słów z tą drugą młodą damą?

Spojrzała na mnie.

- Którą drugą młodą damą?

- Tą rudą, co pracowała tu wczoraj.

Uważnie mi się przypatrzyła, jakby podejrzliwie.

- Dziś się nie pokazała. Właśnie ją zastępuję.

- Nie pokazała się?

- Nie. I ciekawe, że pan o nią pyta, bo niedawno byli tu policjanci i też się nią interesowali. Rozmawiali z kierownikiem i portierem. Nikt mi nic nie mówił, ale przypuszczam, że są jakieś kłopoty.

Serce zaczęło mi bić inaczej - już nie z emocji, lecz jak wówczas, gdy ktoś się nagle rozchoruje i zabiorą go do szpitala.

- Policjanci? - wykrztusiłem. - Czego oni tu szukali?

- Już panu mówiłam, że nie wiem, ale to na pewno miało coś wspólnego z nią. Kierownik poszedł z nimi do komisariatu i jeszcze nie wrócił. Tędy, proszę. Balkon na lewo, parter na prawo.

Po prostu tam stałem, nie wiedząc, co powinienem zrobić. Miałem wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg.

Wysoka dziewczyna przedarła kolejny bilet i odezwała się do mnie przez ramię:

- A ona to pańska znajoma?

- Tak jakby - odparłem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Cóż, moim zdaniem, to ona ma nie wszystko po kolei, więc wcale by mnie nie zdziwiło, gdybym się dowiedziała, że ze sobą skończyła i oni znaleźli jej ciało. Nie, lody sprzedajemy w czasie przerwy, po kronice.

Wyszedłem i stanąłem pod kinem. Kolejka po tańsze bilety coraz bardziej rosła. Widziałem w niej również dzieci, które rozmawiały ze sobą podnieconymi głosami. Przepchnąwszy się przez tłum, ruszyłem ulicą. Czułem się dziwnie słabo. Już wiedziałem, że mojej dziewczynie

coś się stało. Dlatego wczoraj wieczorem pragnęła się mnie pozbyć i nie chciała, żebym ją odprowadził do domu. Tam, na tym cmentarzu, zamierzała popełnić samobójstwo. Właśnie dlatego dziwnie mówiła i była taka błada, a teraz znaleźli ją martwą na nagrobku przy ogrodzeniu.

Gdybym nie odszedł, nic by sobie nie zrobiła. Trzeba było nie ulegać tym bzdurom i zostać choć pięć minut dłużej, namawiając ją i przekonywając, to w tej chwili wpuszczaliby ludzi do sali kina.

A może wcale nie jest tak źle? Może straciła pamięć i zabłądziła, a policjanci ją znaleźli, ustalili, gdzie pracuje, i sprawdzali to u kierownika kina? Gdybym o nią zapytał na policji, chyba by mnie poinformowali, co się stało, skoro bym powiedział, że to moja dziewczyna, że z nią chodzę, nawet jeśli by mnie nie poznała. Nie mogłem jednak zawieść szefa. Musiałem zreperować tego austina, ale później, kiedy skończę, pójdę na policję.

Zupełnie przybity wróciłem do garażu, ledwo zdając sobie sprawę, co robię, i po raz pierwszy w życiu zemdliło mnie od tego zapachu oleju i smarów. W dodatku jakiś facet, nim tyłem wyjechał swoim samochodem, przegazował silnik i spalinami zasmrodził warsztat.

Włożyłem kombinezon, wziąłem narzędzia i zacząłem naprawiać austina. Przez cały czas się zastanawiałem, czy moja dziewczyna jest w komisariacie, zagubiona i samotna, czy też leży gdzieś martwa. Ciągle widziałem przed sobą jej twarz, tak jak poprzedniej nocy.

Po skończonej robocie ustawiłem samochód przodem do ulicy, żeby właściciel mógł łatwo wyjechać. Tylko półtorej godziny, nie więcej, zajęło mi przygotowanie austina do drogi, łącznie z tankowaniem, ale byłem skonany, wprost śmiertelnie zmęczony, i pot spływał mi po twarzy. Zdjąłem kombinezon, trochę się obmyłem. Wkładając płaszcz, poczułem w kieszeni paczuszkę. Wyjąłem ją i popatrzyłem na nią, a później znowu schowałem. Nie zauważyłem, że wszedł szef, bo stałem tyłem do drzwi,

- Kupiłeś to, co chciałeś? - spytał wesoło, uśmiechając się do mnie.

To bardzo przyzwoity gość. Nigdy się nie unosił i dobrze nam się współpracowało.

- Tak - odparłem.

Nie chciałem jednak o tym rozmawiać. Powiedziałem mu tylko, że austin jest gotowy do jazdy. Razem z szefem wszedłem do kantoru, żeby mógł zanotować to, co zrobiłem, wraz z nadgodzinami. Poczęstował mnie papierosem z pudełka, które obok popołudniowej gazety leżało na biurku.

- Widzę, że „Szczęściara” wygrała trzy stówy - oznajmił. - W tym tygodniu jestem parę funtów do przodu.

- Dobrze panu - mruknąłem.

Wpisywał moją robotę do księgi, żeby wszystko się zgadzało.

- Postawiłem na nią jak kto głupi, a tu płacą dwadzieścia pięć do jednego. No, ale przecież na tym ta gra polega.

Milczałem. Nie jestem zwolennikiem picia, lecz właśnie w tym momencie bardzo by mi się przydał jeden głębszy. Otarłem czoło chusteczką. Pragnąłem, żeby szef wreszcie skończył pisać te liczby i pozwolił mi odejść.

- Jeszcze jednemu biedakowi się dostało - rzekł. - W ciągu ostatnich trzech tygodni to już trzeci z poharatonym brzuchem. Dziś rano zmarł w szpitalu. Zdaje się, że na RAF ktoś rzucił zły urok.

- A co, przez odrzutowce? - spytałem.

- Odrzutowce? Nie, cholera, morderstwo. Ktoś mu wypruł flaki. Nie czytasz gazet? Już trzeciego załatwiono w ten sam sposób. Wszyscy byli pilotami RAF-u i za każdym razem ofiarę znajdowano między grobami albo blisko cmentarza. Przed chwilą mówiłem gościowi, który brał benzynę, że nie tylko faceci są stuknięci i popełniają przestępstwa na tle seksualnym, ale również baby. Akurat tę pewnie dorwą, wiesz? W gazecie piszą, że już są na jej tropie i wkrótce spodziewają się aresztowania. Najwyższy czas, nim zaszlachtuje następnego.

Zamknął księgę i wsadził ołówkę za ucho.

- Napijesz się? - zaproponował. - W szafce mam butelkę dżinu.

- Nie, nie. Bardzo dziękuję. Mam... mam randkę.

- W porządku - odpowiedział z uśmiechem. - Życzę dobrej zabawy.

Idąc ulicą, kupiłem wieczorną gazetę. Z tym morderstwem zgadzało się wszystko, co mówił szef. Pisali o tym na pierwszej stronie. Młody pilot RAF-u został zaatakowany nożem prawdopodobnie około drugiej w nocy, w północno-wschodnim rejonie Londynu. Z trudem udało mu się dotrzeć do budki telefonicznej, skąd wezwał policję. Kiedy przyjechali, leżał na podłodze.

Zanim umarł w karetce, złożył zeznania. Powiedział, że zawołała go jakaś dziewczyna i poszedł za nią sądząc, że ona chce się z nim kochać. Widział ją trochę wcześniej, gdy przy kiosku z barem piła kawę z innym facetem, pomyślał więc, że rzuciła tamtego i zainteresowała się nim, a potem, jak oświadczył, zraniła go w brzuch.

Gazeta informowała, że pilot podał szczegółowy rysopis dziewczyny, i prosiła mężczyznę, z którym ją widziano, by się zgłosił na policję i pomógł w identyfikacji.

Wyrzuciłem tę gazetę, bo do niczego więcej nie była mi potrzebna. Włóczyłem się po mieście, dopóki nie uznałem, że państwo Thompsonowie już śpią, i zmęczony wróciłem do domu. Po omacku wyjąłem klucz, który specjalnie dla mnie powiesili na kawałku sznurka w skrzynce na listy, otworzyłem drzwi i poszedłem do siebie.

Pani Thompson posłała mi łóżko, bardzo ładnie z jej strony, a także zostawiła dla mnie termos z herbatą i wieczorną gazetę, ostatnie wydanie.

Złapali ją. Około trzeciej po południu. Dalej nie czytałem. Nawet nie sprawdziłem, jak się nazywała. Usiadłem na łóżku i podniosłem gazetę. Z pierwszej strony spoglądała na mnie moja dziewczyna.

Potem z kieszeni płaszcza wyjąłem paczuszkę. Rozwinąwszy ją, wyrzuciłem opakowanie i ozdobny sznurek, a później długo siedziałem, wpatrując się w maleńkie serduszko, leżące na mojej dłoni.

# Stary

Zdawało mi się, czy pan pytał o tego starego? Tak myślałem. Aha, jest pan tu na wakacjach. Ostatnio latem przyjeżdża do nas mnóstwo ludzi. Tak się jakoś składa, że w końcu zawsze udaje im się dotrzeć po skałach na tę plażę, a potem stoją tyłem do morza i spoglądają na jezioro. Dokładnie jak pan.

Prawda, że to piękne miejsce? Spokojne i odludne. Nic dziwnego, że stary postanowił tu zamieszkać.

Nie pamiętam, kiedy się u nas pojawił. Nikt nie pamięta. W każdym razie przed wielu laty. Już tu był, gdy ja przyjechałem, na długo przed wojną. Kto wie, czy nie chciał uciec przed cywilizacją, podobnie jak ja. A może tam, gdzie dawniej mieszkał, dopiekli mu sąsiedzi? Trudno powiedzieć. Od samego początku uważałem, że albo on komuś coś zrobił, albo ktośjemu, i w rezultacie miał z całym światem na pieńku. Przypominam sobie, jak zobaczyłem go pierwszy raz. Pomyślałem wtedy, że on musi mieć piekielny charakter.

Ostrzegął mnie przed nim jeden człowiek z farmy, który z uśmiechem powiedział, żebym trzymał się z daleka od tego starego, co mieszka nad jeziorem, bo on nie lubi obcych. Idąc tam, zachowałem więc ostrożność i nawet go nie pozdrowiłem. Zresztą i tak nic by z tego nie wyszło, ponieważ nie znałem jego języka. Kiedy go zobaczyłem, stał nad brzegiem jeziora i patrzył w morze, a ja, by się do niego nie zbliżyć, taktownie ominąłem kładkę nad strumieniem i dotarłem na drugą stronę jeziora plażą. Potem, czując się niezręcznie, bo bez żadnego powodu wszedłem na cudzy teren, schowałem się za kępą janowca, wyjąłem lornetkę i zacząłem starego obserwować.



Był duży i silny. Oczywiście, później się zestarzał, ale przecież mówię o okresie sprzed kilku lat. Jeszcze teraz widać, jak niegdyś wyglądał. Biła z niego moc i energia, a przy tym miał piękną głowę, którą nosił po królewsku, co nasuwało pewne skojarzenia. Nie, nie żartuję. Kto wie, czy krew, płynąca w jego żyłach, nie łączy go z jakimś królewskim przodkiem? Od czasu do czasu coś mu ją burzy, nie z jego winy, a wtedy stary wpada w szał. Wówczas jednak o tym nie myślałem. Po prostu na niego patrzyłem. Ukryty za janowcem zobaczyłem, że się odwraca, i zacząłem się zastanawiać, co się dzieje w jego głowie, czy wie, że tu jestem i go podglądam.

Gdyby postanowił na mnie ruszyć, znalazłbym się w głupiej sytuacji. Pewnie jednak z tego zrezygnował albo nic go nie obchodziłem, bo dalej patrzył w morze, obserwując mewy i przypływ, a później spokojnie poszedł do domu, do swojej żony, chyba na kolację.

Tamtego pierwszego dnia w ogóle nie widziałem jego żony. Po prostu nie było jej w pobliżu. Mieszkają na lewym brzegu jeziora, dokąd nie prowadzi żaden przyzwoity trakt, a ja nie miałem odwagi ryzykować, by tam podejść i nagle stanąć z nią oko w oko. Kiedy jednak w końcu ją ujrzałem, przeżyłem rozczarowanie. Właściwie nie było na co patrzeć. Chodzi mi o to, że nie miała w sobie nic z okazałości męża. Uznałem ją za istotę spokojną, o łagodnym usposobieniu.

Zobaczyłem ich oboje, gdy ze złowionymi rybami szli z plaży w stronę jeziora. Oczywiście, on przodem, a ona jak cień za nim. Żadne mnie nie spostrzegło, z czego byłem zadowolony, bo inaczej on prawdopodobnie by się zatrzymał, kazał jej iść do domu i ruszył tam, gdzie siedziałem na skałach. Pyta pan, jak bym zareagował, gdyby on to zrobił? Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie bym wstał i pogwizdując udawał obojętność, później bym się uklonił i uśmiechnął - w istocie zbytecznie, ale to odruch, jak pan się domyśla - a na koniec, powiedziawszy „dzień dobry”, bym się wyniósł. Nie sądzę, żeby mi coś zrobił. Chybaby po prostu odprowadził mnie wzrokiem, patrząc w swój charakterystyczny sposób, i pozwolił mi odejść.

Potem stale tam przychodziłem, zimą i latem, a oni, na tym odludziu, dalej wiedli swoją osobliwą egzystencję. Czasami łowili ryby na jeziorze, kiedy indziej na morzu. Parę razy natknąłem się na nich w porcie przy ujściu rzeki, jak obserwowali statki i kotwiczące jachty. Zastanawiałem się, które z nich proponowało, żeby tam chodzić. Być może on, nagle skuszony panującym tam ruchem, portowym życiem i tym wszystkim, z czego sam zrezygnował albo czego przedtem nie

znał, powiedział do niej: „Dziś wybieramy się do miasta”, a ona z nim ruszała, ciesząc się, że może zrobić to, co mu sprawia największą przyjemność.

Wie pan, jedna rzecz rzucała się w oczy - nie dało się tego nie zauważyć - oboje byli sobie niezwykle oddani. Widywałem, jak ona go witała, gdy wracał z całodziennego połowu ryb. Od rana siedziała w domu sama, ale pod wieczór schodziła na brzeg morza, by tam na niego czekać. Obserwowała go z daleka. Ja też widziałem, jak płynął przez zatokę prosto do plaży, a gdy wylądował, na powitanie zaczęli się ścisnąć, w ogóle nie dbając o to, czy ktoś na nich patrzy. To było wzruszające, jak pan się domyśla. Ona wyraźnie za coś go kochała. Inni mogli uważać go za piekielnika, a dla niej był całym światem. Na ten widok poczułem do niego sympatię.

Pytał pan, czy mają dzieci? Właśnie do tego zmierzałem, bo widzi pan, spotkała ich tragedia. Poza mną nikt o niej nic nie wie. Przypuszczam, że należało kogoś zawiadomić, lecz gdybym to zrobił... Starego chyba zabrali, a jego żona zostałaby tu ze złamanym sercem, ale przecież w końcu to nie mój interes. Znam dowody przeciwko staremu, tylko że niezbyt pewne. To mogło być przypadkowe. W każdym razie nikt nie prowadził dochodzenia, kiedy ich syn zniknął, więc co, miałem zostać intrygantem i donosicielem?

Spróbuję wyjaśnić, co się stało, ale niech pan zrozumie, że to wszystko się zdarzyło dość dawno temu. W dodatku czasami wyjeżdżałem albo byłem zajęty i nie przychodziłem nad jezioro. Prócz mnie nikt się nimi nie interesował, a zatem ta historia to nie żadne plotki, szeptane po kątach, tylko wyłącznie to, co ja zaobserwowałem, co widziałem na własne oczy.

Tak, nie zawsze byli sami, jak teraz. Mieli czwórkę dzieci. Syna i trzy córki. Wychowywali je w tej szopie nad jeziorem. Nie mogłem się nadziwić, jak oni sobie z tym radzą. Boże, pamiętam dni, gdy deszcz tak smagał jezioro, że powstawały fale, które się załamywały na błotnistym brzegu, tuż przed ich domem, zmieniając podmokły grunt w grzęzawisko, a do tego piekielnie wiało. Wydawałoby się, że ktoś kto ma odrobinę oleju w głowie powinien przenieść się z rodziną tam, gdzie przynajmniej żona i dzieci miałyby jakieś przyzwoite warunki. Ale nie stary. Skoro on to znosił, pewnie uważał, jak się domyślam, że i one mogą. Przypuszczam, że chciał, aby nawykły do trudności.

A trzeba panu wiedzieć, że te ich dzieci zwracały uwagę, zwłaszcza najmłodsza córka. Nie znałem jej imienia, ale nazywałem ją Maleńka,

bojeszcie musiała długo rosnać, lecz mimo to wykapany ojciec. Wciąż mam ją przed oczami. Widzę, jak pewnego pięknego dnia ten drobiazg pierwszy raz w życiu odważnie wchodzi do jeziora, o wiele wcześniej od swojego starszego rodzeństwa, i zaczyna się taplać w wodzie.

Jej brata nazywałem Chłoptaş. Był najstarszy i, tak między nami, trochę głupawy. W niczym nie przypominał swoich siostr, taki niezdra. Małe z ochotą same się bawiły, łowiły ryby, a on trzymał się z boku, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Gdyby tylko mógł, pewnie najchętniej zostałby koło domu, blisko matki. Typowy maminsynek. Właśnie dlatego tak go przezwąłem. Matka jednak się z nim nie cackała. O ile mi wiadomo, całą czwórkę traktowała jednakowo. Wszystkie swoje myśli skupiała raczej na starym niż na nich. Chłoptaş był po prostu dużym oseskiem i, moim zdaniem, głupkowatym.

Podobnie jak ich rodzice, dzieci przebywały wyłącznie w swoim towarzystwie. Śmiem twierdzić, że ojciec stale im powtarzał, by się z nikim nie zadawały. Nigdy nie chodziły na plażę, choć sądzę, że z pewnością ich kusiła, szczególnie w pełni lata, gdy sporo ludzi tam się opalało i kąpało. Przyпускаjam, że stary nie pozwalał swoim dzieciom kontaktować się z obcymi, bo miał jakieś dziwne powody, znane tylko jemu.

Małe przywykły do tego, że dzień w dzień się tam włóczyłem, zbierając drewno wyrzucone przez morze na brzeg i tak dalej. Często przystawałem i patrzyłem, jak się bawiły nad jeziorem. Jednakże nigdy z nimi nie rozmawiałem, bo pewnie zaraz wróciłyby do domu i powiedziały o tym staremu. Kiedy przechodziłem niedaleko nich, rzucały mi ukradkowe spojrzenia, jakby się wstydziły. Wszystkie prócz Maleńkiej. Ona dumnie zadzierała głowę i demonstracyjnie wywijiała koziółka.

Czasami widywałem, jak rodzina w komplecie - stary, jego żona, Chłoptaş i trzy córki - wybierała się na całodzienny połów w morzu. Oczywiście, dowodził stary. Maleńka, chętna do pomocy, kręciła się przy nim. Żona, która uważnie obserwowała pogodę, miała po bokach dwie pozostałe córki, a Chłoptaş, ten biedny głupek, jak zawsze na szarym końcu. Nigdy nie widziałem, co złowili. Zwykli długo przebywać na morzu i wracali po moim odejściu z plaży. Domyślałem się jednak, że połowy mieli udane. Pewnie żywili się głównie tym, co w ten sposób zdobywali. No cóż, mówi się, że w rybach jest dużo witamin, prawda? Być może stary miał hysia na punkcie takiego jedzenia.

Czas mijał, dzieci rosły. Maleńka straciła nieco swojej indywidualności, upodabniając się do siostr, a przynajmniej tak mi się zdawało. Stanowiły sympatyczną trójkę. Wszystkie spokojne, wie pan, grzeczne.

Jeśli chodzi o Chłoptasia, zrobił się ogromny. Wzrostem niemal dorównywał staremu, ale poza tym bardzo się od niego różnił. Nie miał w sobie nic z jego wyglądu, siły czy osobowości. Taka wielka, niezdarzna fujara. Chyba kłopot polegał na tym, że stary się go wstydził. Jestem pewien, że w domu Chłoptas nic nie robił, a do łowienia ryb w ogóle się nie nadawał. Jego siostry pracowały jak mrówki, a on zawsze się plątał i tylko bałaganił. Najchętniej trzymał się blisko matki.

Widziałem, jak stary się denerwuje, że ma syna gamonia. Irytowało go, że Chłoptas jest taki duży. Prawdopodobnie w nietolerancyjnym umyśle starego nie mieściło się to, że można być jednocześnie silnym i głupim. Oczywiście w każdej normalnej rodzinie Chłoptas już dawno by się wyprowadził z domu. Nieraz się zastanawiałem, czy oni, to znaczy stary i jego żona, kłócą się o to wieczorami, czy też w ogóle nie rozmawiają na ten temat, pogodziwszy się z faktem, że Chłoptas to nic dobrego.

Cóż, dzieci się w końcu wyprowadziły. Przynajmniej córki.

Opowiem panu, jak to się odbyło.

Pewnego dnia, późną jesienią, robiłem zakupy w miasteczku przy porcie, pięć kilometrów stąd, a tu nagle patrzę i widzę starego, jego żonę, trójkę córek i Chłoptasia. Kierowali się w stronę Pontu, który leży na końcu kanału biegnącego z portu na wschód. Pont to miejscowość z kilkoma domami, farmą i kościołem. Wszyscy byli jacyś tacy czyści i wyelegantowani, łącznie ze starym i jego żoną, więc pomyślałem, że pewnie wybierają się z wizytą. Jeśli tak, to u nich rzecz niezwykła. Możliwe, że jednak mieli tam przyjaciół czy znajomych, o których nic nie wiedziałem. W każdym razie w tamto piękne sobotnie popołudnie ich dzieci widziałem po raz ostatni.

Przez cały weekend tak strasznie wiało ze wschodu, że w ogóle nie wychodziłem z domu. Wiedziałem, że morze jest wzburzone i plażę zalewają fale. Intrygowało mnie, czy w taką pogodę staremu i jego rodzinie udało się wrócić. Najrozsądniej by zrobili zostając u przyjaciół w Poncie, jeśli tam ich mieli.

Dopiero we wtorek wiatr ucichł i wtedy znowu wybrałem się na plażę. Całą pokrywały wodorosty i drewno wyrzucone przez fale, utyłane ropą i smołą, jak zawsze, gdy wiało ze wschodu. Spojrzałem

w stronę szopy starego i zobaczyłem, że stoi z żoną nad samym brzegiem jeziora, nigdzie jednak nie widziałem ani śladu dzieci.

Trochę mnie to zdziwiło, więc czekałem w pobliżu licząc, że w końcu się pokażą. Na próżno. Obszedłem jezioro. Z przeciwnego brzegu miałem dobry widok. Nawet wyjąłem lornetkę, by się lepiej przyjrzeć. Po prostu nigdzie ich nie było. Stary wałęsał się tu i tam, co często robił, kiedy nie łowił ryb, a jego żona wygrzewała się na słońcu. Tylko w jeden sposób dała się wytłumaczyć nieobecność dzieci: zostawili je u przyjaciół w Poncie albo wystali na wakacje.

Muszę przyznać, że w tym momencie odetchnąłem z ulgą, ponieważ wcześniej przyszła mi do głowy straszna myśl, a mianowicie, że w sobotę wieczorem wskutek wichury dzieciom przydarzyło się jakieś nieszczęście i tylko stary z żoną bezpiecznie wrócili do domu. To jednak niemożliwe, bo ktoś by mnie zawiadomił. Poza tym stary nie chodziłby tak spokojnie, a jego żona nie wygrzewałaby się na słońcu. Na pewno dzieci zostały u przyjaciół albo gdzieś się wyniosły, by wreszcie znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Powstała jednak pewna pustka. Zrobiło mi się smutno. Dotychczas stale je widywałem, Maleńką i całą resztę. Miałem dziwne wrażenie, że odeszły na dobre. Niemądrze, prawda? Niemądrze dlatego, że tak się tym przejąłem, ale przecież niemal bez przerwy obserwowałem, jak rosły, a tu nagle zniknęły bez żadnego powodu.

Żałowałem, że nie znam choć kilku słów w języku starego, bo mógłbym go zawołać i powiedzieć jak sąsiad: „Widzę, że państwo są sami. Mam nadzieję, że nic złego się nie stało”.

Ale i tak nic by z tego nie wyszło. Pewnie by spojrział na mnie tym swoim dziwnym wzrokiem i kazał iść do diabła.

Jego córce już nigdy więcej nie widziałem. Po prostu nie wrócili. Raz mi się zdawało, że przy ujściu rzeki dostrzegłem Maleńką z koleżankami. Jeśli to była ona, musiała się zmienić i jeszcze urosnąć. Powiedziałem panu, co o tym myślę. Uważam, że wtedy stary i jego żona wyprowadzili dzieci w określonym celu i albo zostawili je u przyjaciół, albo kazali im, by radziły sobie same.

Wiem, że to wydaje się okrutne i pan by tego nie zrobił swojemu synowi ani swoim córkom, ale niech pan nie zapomina, że stary to twardego człowieka, który rządzi się własnymi prawami. Niewątpliwie sądził, że wyjdzie im to na dobre i prawdopodobnie rzeczywiście tak było. Gdybym tylko wiedział, co się dzieje z jego córkami, zwłaszcza z Maleńką, w ogóle bym się tym nie przejmował.

Czasami się jednak martwię, bo wiem, co się stało z Chłoptasiem.

Widzi pan, on był na tyle głupi, żeby wrócić, a zrobił to po jakichś trzech tygodniach. Tym razem wybrałem drogę przez las, biegnącą wzdłuż strumienia, który wpada do jeziora. Rzadko z niej korzystam. Obszedłem jezioro po mokradłach od północnej strony, w pewnej odległości od domu starego, i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, był Chłoptaś.

Po prostu z głupią miną stał przy mokradłach. Znajdował się zbyt daleko, żebym mógł go przywitać, a poza tym nie miałem odwagi. Zacząłem go jednak obserwować i zauważyłem, że się na coś gapi. Patrzył na starego.

Rodzice w ogóle go nie spostrzegli. Widziałem, że są na plaży, koło drewnianego pomostu. Oni tam wybierali się na ryby albo wracali z połowu, a tutaj stał ich syn ze swoją głupkowatą miną, w dodatku przerażoną.

Chciałem go zapytać: „O co chodzi?”, ale nie wiedziałem, jak to powiedzieć. Stałem więc, tak jak on, i też patrzyłem na starego.

Potem nastąpiło to, czegośmy obaj się obawiali.

Stary podniósł wzrok i zauważył syna.

Musiał coś powiedzieć żonie, bo została przy pomoście, a sam błyskawicznie się odwrócił i ruszył w stronę mokradeł, w kierunku Chłoptasia. Wyglądał przerażająco. Nigdy tego nie zapomnę. Wspaniała głowa, którą zawsze tak podziwiałem, zdawała się ucieleśnieniem gniewu i zła. Idąc, stary przeklinał syna. Powiadam panu, okropnie. Wiem, bo słyszałem.

Struchlały i spanikowany Chłoptaś bezradnie się rozglądał w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, ale nie miał się gdzie schować - na skraju mokradeł rosły tylko rzadkie trzciny. Był jednak taki głupi, że w nie wlaźł i przycupnął myśląc, że jest bezpieczny. Żałosny widok.

Zdobyłem się na odwagę i już chciałem interweniować, lecz nagle stary się zatrzymał, a później, wciąż klnąc i pomrukując, wrócił do pomostu. Chłoptaś patrzył za nim, a w końcu, biedny głupek, znowu wyszedł na mokradła z myślą o tym, jak przypuszczam, żeby walczyć o powrót do domu.

Rozejrzałem się, ale nikogo nie zobaczyłem, więc nie mogłem wołać o pomoc. Zresztą, nawet gdybym spróbował ściągnąć kogoś z farmy, na pewno by mi powiedzieli, żebym się nie wtrącał, że najlepiej starego zostawić w spokoju, kiedy wpada w furję, i że przecież Chłoptaś jest na tyle dorosły, by troszczył się o siebie sam, dorównuje wzro-

stem staremu i może odpłacić pięknym za nadobne. Ja jednak wiedziałem, że sprawa przedstawia się całkiem inaczej. On po prostu nie umiał walczyć.

Dość długo czekałem nad jeziorem, ale nic więcej się nie wydarzyło. W końcu zaczęło się ściemniać. Dalsze czekanie już nie miało sensu. Stary i jego żona poszli do domu. Chłoptaś wciąż stał na mokradłach przy brzegu jeziora.

Zawołałem do niego przyciszonym głosem: „To ci nic nie da. On cię nie wpuści do domu. Wracaj do Pontu albo tam, gdzie byłeś. Idź do kądkolwiek, bylebyś stąd odszedł”.

Spojrzał na mnie z tą swoją nienormalną, głupią miną. Od razu się zorientowałem, że nie zrozumiał ani jednego słowa.

Czułem się tak bezradny, że nic więcej nie mogłem zrobić. Poszedłem do domu. Przez cały wieczór jednak myślałem o Chłoptasiu, a rano znowu wyruszyłem nad jezioro, zabierając ze sobą gruby kij, aby mi dodawał odwagi. W każdym razie nie jako broń przeciwko staremu.

Cóż... Sądzę, że przez noc jakoś doszli do porozumienia. Zobaczyłem Chłoptasia przy matce, a stary włączył się sam.

Trzeba przyznać, że poczułem ogromną ulgę. No, bo co mógłbym zrobić czy powiedzieć? Jeśli stary nie chciał wpuścić syna do domu, to rzeczywiście jego sprawa, a skoro Chłoptaś był za głupi, żeby odejść, to także nie mój interes.

Miałem jednak wielki żal do matki. Przecież to ona powinna wytłumaczyć Chłoptasiowi, że ojciec się nie zgodzi - a stary miał akurat jeden z tych swoich nastrojów - i że najlepiej by zrobił, gdyby odszedł, póki czas. Tylko że ona nigdy nie była zbyt inteligentna i zawsze brakowało jej odwagi.

Tak czy inaczej, osiągnięte porozumienie przez jakiś czas działało. Chłoptaś trzymał się blisko matki - przypuszczam, że pomagał jej w domu, choć nie wiem tego na pewno - a stary zostawiał ich w spokoju i coraz częściej przebywał sam.

Najchętniej siedział na pomoście i w zadumie spoglądał w morze, co mi się nie podobało. Nie znałem jego myśli, ale byłem przekonany, że nie miał dobrych zamiarów. Wydawało się, że minęły wieki od czasu, gdy całą rodziną wybierali się na połów, szczęśliwi i zadowoleni. Teraz dla starego wszystko się zmieniło. W domu Chłoptaś z matką, a on tu na chłodzie sam.

Było mi go żal, a jednocześnie czegoś się obawiałem. Czułem, że taka sytuacja nie może trwać w nieskończoność, że coś musi się wydarzyć.

Pewnego dnia przyszedłem na plażę zbierać drewno - w nocy mocno wiało. Kiedy spojrzałem na jezioro, zauważyłem Chłoptasia bez matki, w tym samym miejscu, gdzie widziałem go pierwszy raz, gdy wrócił - na skraju mokradeł. Był tak duży jak jego ojciec. Gdyby potrafił wykorzystać swoją siłę, w każdej chwili mógłby się staremu przeciwstawić, ale brakowało mu rozumu. Ten wielki, silny głupek znowu stał przerażony na mokradłach, a spod domu patrzył na niego stary oczami mordercy.

Pomyślałem: „On go zabije”. Nie wiedziałem jednak, kiedy i gdzie to nastąpi, czy nocą, podczas snu, czy za dnia, przy łowieniu ryb. Matka nie zdołałaby temu zapobiec, więc uznałem, że nie ma sensu się do niej zwracać. Gdyby tylko Chłoptas okazał choć odrobinę rozsądku i odszedł...

Uważnie wszystko obserwując, czekałem do wieczora. Nic się nie wydarzyło.

W nocy padało. Następnego dnia wstał szary, zimny i mglisty nad smutnymi drzewami bez liści, jak to w grudniu. Nie mogłem iść nad jezioro aż do późnego popołudnia, a wtedy niebo się przetarło i nim zimowe słońce schowało się za horyzontem; jego promienie tworzyły na powierzchni morza świetlistą drogę.

Zobaczyłem starego z żoną. Stali blisko siebie koło swojej szopy i chyba zauważyli, że nadchodzę, bo spoglądali w moją stronę. Chłoptasia tam nie było. Nie było go też nad jeziorem ani na mokradłach.

Po kładce dotarłem na prawy brzeg jeziora i dalej szedłem nad wodą. Cały czas czułem, że stary mnie obserwuje. Patrzyłem przez lornetkę, ale Chłoptasia nigdzie nie widziałem.

Wreszcie go dostrzegłem. Ruszyłem przez mokradła tam, gdzie leżał za trzcinami.

Nie żył. Miał wielką, głęboką ranę, na grzbiecie zaschniętą krew. Musiał już długo tak leżeć, bo cały przemókł od nocnego deszczu.

Może pan sobie o mnie myśleć, że jestem głupi, ale się rozpłakałem jak idiota. Zacząłem krzyczeć do starego: „Morderca! Ty cholerny, przeklęty morderco!” Milczał. Nieruchomo stał z żoną pod tą swoją szopą i tylko na mnie patrzył.

Pewnie chce pan wiedzieć, co zrobiłem. Wróciłem do domu po łopatę i wykopałem Chłoptasiowi grób, w trzcinach, na skraju mokradeł, a potem zmówiłem za niego moją własną modlitwę, bo nie miałem pewności, w co wierzył. Kiedy skończyłem, znowu spojrzałem na starego.



**I wie pan, co zobaczyłem?**

**Stary pochylił się nad żoną i ją objął. Ona podniosła głowę i też go objęła. Wyglądało to zarazem jak requiem i błogosławieństwo, pokuta i chwalenie Boga, Na swój dziwny sposób oni wiedzieli, że źle postąpili; ale już było po wszystkim, bo pochowałem Chłoptasia. Teraz znów mogli być razem i nikt ich nie dzielił.**

**Wypłynęli na środek jeziora i nagle widzę, a tu stary wyciąga szyję, mocno uderza skrzydłami i wzbija się w powietrze, a jego żona za nim. Patrzyłem, jak kierują się nad morze, prosto w stronę zachodzącego słońca. Powiadam panu, to był jeden z najpiękniejszych widowisków, jakie oglądałem w życiu: samotna para łabędzi, odlatujących zimą.**